



Do niedawna świat za płotem wydawał mi się martwy. Teraz z rzadka pojawiają się samochody, rowerzyści i przechodnie. Przestałem więc mieć uczucie, że leżę na cmentarzu.



DZIENNIK COT

Duda między uda
str. 6

Niech żyje martwy papież
str. 22

Jak z jednym pisowcem wytrzymałem 9 miesięcy.

Człowiek z dykty

MICHAŁ MARSZAŁ

Wielu z nas ma ukochane fragmenty przyrody nieożywionej, za którymi tęskni. Dla jednych są to góry, dla innych morze, a dla jeszcze kolejnych dawno pochowana matka na Powązkach. Ja na szczęście – bez względu na to, czy jest pandemia, czy nie – w drodze do domu, na pocztę, autobus czy po bułki, za każdym razem widzę swój ulubiony obiekt:



Dr inż. Stefan Traczyk zawisł na tablicy przy najważniejszej ulicy mojej miejscowości zniechcąca chwilę po tym, gdy Andrzej Duda 6 sierpnia 2019 r. ogłosił termin wyborów parlamentarnych. Licząc od dnia pojawienia się tego numeru „NIE” w kioskach, było to 262 dni, czyli niemal 9 miesięcy temu. Co można zrobić przez 9 miesięcy, tego chyba inteligentnym Czytelnikom tłumaczyć nie muszę...

Początkowo, jak często w znajomościach bywa, na wdzięki dr. inż. Traczyka nie zwracałem uwagi. Takich jak on wisiało wokół wielu. Na drzewach, zamiast liści, wisiały nawet postkomuniści. Wszyscy bili się o mandaty poselskie.

Z czasem, mijając słup, zacząłem się zastanawiać, kim jest przydrutowany do niego dr inż. Stefan Traczyk i czego się tak, kurwa, cieszy, gdy ja dmucham co rano do roboty. Z twarzy wyglądał, nie przyzierając, jak każdy inny doktor inżynier. Okulary sygnalizowały, że miałem do czynienia z człowiekiem czytającym, który roztrwoniał gałki oczne na lekturę licznych prac doktorskich i inżynierskich. Chciał, aby po-

strzeżać go przez ten pryzmat – inaczej nie pisałby na plakacie, że jest doktorem inżynierem.

Krótki włos oznaczał, że jest to człowiek praktyczny, przywiązany do klasycznych polskich kanonów męskiego piękna. Elegancki strój, przyozdobiony w zwis męski prosty, symbolizował zaś wysoką pozycję społeczną doktora inżyniera. Wytworzone ubiory od zarania dziejów odgrywały bardzo ważną rolę społeczną – pozwalały odróżnić capów bez szkoły od osób, które nie brudziły sobie rąk pracą.

Po trzydziestu kilku spacerach dr inż. Traczyk na stałe zagościł w moim umyśle. Bywało nawet, że przechodząc, mówiłem mu „dzień dobry”. „Pod Traczykiem” umawiałem się z rodziną i znajomymi. W dni wolne i weekendy myślałem, co u Traczyka słychać i czy aby go zaraz ktoś nie odinstaluje.

...

13 października 2019 r. Polacy ruszyli do urn. Do Sejmu, oprócz Mariusza Błaszczaka czy Jana Grabca, z tego okręgu dostał się nasz nieodżałowany redakcyjny kolega Andrzej Rozenek.

Dr inż. Stefan Traczyk otrzymał oszałamiające 0,78 proc. głosów. Zakrzyżykowały go 4674 osoby, czyli ponad 8 razy mniej niż Rozenka.

Zgodnie z polskim prawem plakaty takie jak dr. inż. Traczyka muszą zostać uprzątnięte przez pełnomocników wyborczych w ciągu trzydziestu dni od dnia wyborów. Inaczej grozi im 500 zł mandatu, a nawet skierowanie sprawy do sądu, gdzie beknąć można już na 5 tys. zł. Wyjątek – po zmianie kodeksu wyborczego w 2018 r. – stanowią prywatne nieruchomości, obiekty itp., na których gęby pretendentów mogą sobie wisieć do woli. Słup stojący przy ulicy, na którym wisiał Traczyk, wedle moich ustaleń do prywatnych nie należał. Mało tego – na powieszenie plakatu na słupie też trzeba mieć zgodę jego właściciela. Czy Traczyk ją uzyskał?

Choć tego typu dykty używane są podczas wyborów coraz rzadziej, gdyż zaśmiecają przestrzeń publiczną, rekordzista, którego udało mi się namierzyć, powiesił w mieście aż 240 takich straszdeł. Kandydował w Krakowie, pełniąc funkcję dyrektora Zarządu Zieleni Miejskiej.

...

Jeśli któryś polityk nie pała chęcią posprzątnięcia po sobie – a tak bywa często – przykry obojętnością spada na władze gmin lub miast, obciążając następnie kosztami sztabu wyborcze.

Mijały dni, tygodnie, miesiące. Padał deszcz, śnieg i grzało słońce. Długopisy rozdane wybor-

ROK 2021.
Matżeństwo Dudów oddaje swoje zużyte maseczki na WOSP



rys. TOMASZ WATKIN

com dawno zdążyły się wypisać. Traczyk trwał na posterunku. Morda zzieleniała mu przez zimę, ale uśmiech nie schodził z ust.

Oczywiście wówczas wiedziałem o Traczyku już dużo więcej. Kandydat ten, startujący z 13. miejsca na liście PiS pod hasłem „Szczęśliwa 13” i pod partyjnym sloganem „Dobry czas dla Polski”, z wykształcenia jest doktorem inżynierem leśnictwa. Na świat przyszedł 54 lata temu, należy do Prawa i Sprawiedliwości, a oczkiem w głowie jego istnienia – nie zgadnienie – jest ochrona środowiska!

Kandydat od wiszącej u mnie na wsi przez prawie 200 dni po wyborach dykty na swojej kampanijnej stronie pisał, że my, Polacy, „**chcemy oddychać czystym powietrzem, pić zdrową wodę oraz korzystać z dobrodziejstw natury**”.

„**Ochrona środowiska naturalnego to zarówno moja praca, jak i pasja**” – reklamował się. „**Znam współczesne zagrożenia i wiem jak im przeciwdziałać**” – obiecywał.

Traczyka przed wyborami reklamował wicepremier Jacek Sasin, nazywając go człowiekiem świetnie zorganizowanym, bardzo kompetentnym i godnym zaufania. A hasło „Szczęśliwa 13” zainspirował ponoć sam Jarosław Kaczyński.

Traczyk tak oddany był sprawie dbania o wspólną przestrzeń, że w lutym 2019 r. minister środowiska Henryk Kowalczyk powołał go do Państwowej Rady Ochrony Przyrody, gremium działającego przy ministrze jako organ opiniodawczo-doradczy, stawiający sobie za cel m.in. popularyzowanie ochrony środowiska i ocenianie stanu ochrony przyrody w Polsce.

...

W Państwowej Komisji Wyborczej sprawdziłem, że w lokalu wyborczym, przy którym Traczyk powiesił swój plakat, zagłosowały na niego

4 (słownie: cztery) osoby z prawie 17 tysięcy uprawnionych w gminie do głosowania.

Można więc założyć, że

dzięki tej reklamie Traczyk uzyskał tylko 4 głosy więcej niż inny startujący z tego okręgu leśnik Jan Szyszko. Ale ten akurat w dniu wyborów nie żył i głosów mu nie liczono.

Początkowo sądziłem, że być może kandydat Traczyk zapominał, gdzie rozwieszał plakaty i to, że od wielu miesięcy mieszkańcy tacy jak ja muszą patrzeć na obskurną sklejkę, nie jest do końca jego winą. Od sprzątnięcia tego typu śmieci mamy wszak w miejscowości urząd gminy, który towar powinien odebrać, a kandydatowi wystawić za to rachunek. Tak się jednak nieszczęśliwie składa, że wójtem gminy też jest polityk PiS – i ten też nie kiwnął w sprawie palcem, choć od siedziby urzędu do plakatu Traczyka jest w linii prostej jakieś 100 m. Starając się ograniczyć wyjątki, i tak kilka razy w tygodniu mijam więc kandydata PiS, któremu uśmiech nie schodzi z twarzy, choć jest coraz bardziej obsrany i brudny.

Sam zdjąć dykty nie mogę, zgodnie bowiem z prawem jeśli jej właściciel oszacowałby straty na więcej niż 500 zł, groziłaby mi kara do nawet 5 lat pozbawienia wolności.

W ciągu minionych tygodni na plakacie doszło do jednej zastanawiającej zmiany. Ktoś – widocznie zirytowany jak ja miejscowy śmieszek – przykleił do plakatu proekologicznego kandydata Traczyka ogłoszenie z napisem „**Antyki kupię**”. Tak więc to może być już warte więcej niż 500 zł. □

michal.marszal@redakcja.nie.com.pl



Czytanka dla prezydenta Dudy i innych świętoszków.

Wszystko zostało w piwnicy

MACIEJ MIKOŁAJCZYK

Zwykli Polacy: „Nie utrzymywać kurwy z naszych podatków, tylko powiesić; Świnie bez duszy rozbieszyć i przerobić na kaszanke; Spalić sukę żywcem na stosie”.

Minister Ziobro, orędownik zwykłych Polaków: „Wniosę kasację, bo kara jest zbyt niska w stosunku do czynu”.

Paradoks: Czynu w postaci uduszenia, podeptania i spalenia noworodka by nie było, gdyby 33-letnia Mariola P. o antykoncepcji i płciowości wiedziała tyle, ile o dziewictwie Najświętszej Maryi Panny.

Dom

Solniki Małe – wioska 18 km od Oleśnicy i 50 od Wrocławia. Kościół Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny góruje nad okolicą. W cieniu kościoła rodzina P., model 2 plus 4 plus wujek. 7 osób w dwóch pokojach, brak łazienki, drewniany kibel na zewnątrz. Polska dobrotytu. Mariola od dzieciństwa śpi z wujem w jednym łóżku. Wuj nie pracuje, pije. Tato nie pracuje, pije. Bracia nie pracują, piją. Mama zapieprza na dwóch etatach, nie ma więc czasu pić.

Mariola nawet chciałaby dostać jakąś robotę, w jakimś supermarkecie na przykład, ale skończyła podstawówkę, a rynek pracy nadmiernie nie pożąda osób o takim wykształceniu. Opiekuje się wujkiem. I ma swoją tajemnicę. Gdy tato zasypia, wujek też już chrapie, a mama tyra w pocie czoła, wymyka się z domu. Kilometr idzie polną drogą – aż do kapliczki Serca Jezusowego. Przy kapliczce w autach czekają na nią napaleni miastowi.

Seksy

Mariola poznaje ich w necie przez różne portale erotyczne. Lubi bezpośrednich; gdy któryś kluczy, prawi farmazony typu „Powinniśmy się lepiej poznać”, to się nie umawia. Jak zapyta wprost: „Chcesz seksu, mała?”, to odpowiada: „Przyjedź pod Jezuska za wsią”.

Czasem obciąga, ale najczęściej idzie na całość, bo taki stosunek jest najprzyjemniejszy. Pieniądzy nie bierze, bo przestałyby się szanować. Gumek nie cierpi, bo nie jest bezwstydną tirówką.

Dowodów osobistych nie sprawdza, bo nie jest z policji, nawet więc nie wie, jak mają na imię ci, co w nią wchodzi. Mówią: „Jacek jestem”. Albo Tadeusz, kto ich tam wie? Bywa, że seksów pod Jezuskiem ma 5 w tygodniu. Bywa, że gdy się komuś spodoba, to przyjeżdża do niej mieszając albo 2, ale potem znika. Mariola nie płacze, bo związków poważnych nie chce. Ciężko też nie chce, no bo jak

zapewnić przyszłość dziecku zrobionemu pod kapliczką przez fałszywego Jacka albo Tadeusza?

Dziecko

Gdy okres się spóźnia, wciąż chodzi pod figurkę, ale bez większej przyjemności, bo głowę ma zafrasowaną. Czuje, że w brzuchu coś się rusza, wpisuje w Google „dziecko kopie”, komórka podpowiada, że jak kopie, to najwyższa pora pójść do ginekologa. Mariola nigdy nie była u ginekologa. Po tych kopniakach pod sercem też się nie wybiera.

worka. Już z lekka cuchnie. Worek zanosí na pole, tam gdzie mieszkańcy wioski palą śmieci. Szmaty stają w płomieniach. Mariolka wraca do domu, kładzie się koło wujka. Nie wie, że ogień przygaśnie, bo mżawka poleci z nieba.

Nazajutrz rano sąsiadka przycina krzewy róż. Gałęzie chce puścić z dymem, idzie więc z nimi tam, gdzie zwyczajowo mieszkańcy wioski puszczają z dymem. W popiele widzi lalkę zawiniętą w szmaty. Lalka ma nadpaloną mordkę, co za głupek pali lalki, zastanawia się, grzebiąc kijem w tłącym się ognisku. Lalka jakaś

szła do domu. Płacz usłyszałam tylko raz, jak się urodziło, to wtedy wzięłam te łachy i rzuciłam. Jak się zorientowałam, że jestem w ciąży, to wiedziałam, że legalnie wyskrobać się nie da, a pokątnie żeby wyskrobać, to trzeba mieć pieniądze. Nie myślałam, że tak zrobię z tym dzieckiem po urodzeniu, nie miałam żadnych planów, nie. Czekałam, aż się urodzi i wtedy miałam zdecydować, co dalej, ja nawet nie wiem, kto jest ojcem, gdyż spotykałam się z różnymi mężczyznami poznanymi przez internet. W tej piwnicy to dziecko wyszło ze mnie na płasko na szmaty. Tak po dziesięciu minutach wyszło łóżysko. Wyrwałam pępowinę z siebie, wyrwałam ją rękami. Nie odrywałam dziecku pępowiny. Wszystko zostało w piwnicy. Po porodzie przytkałam dziecko tymi szmatami, co tam były, i tym niebieskim materacem. Nadepnęłam na ten materac, jak wychodziłam. Nadepnęłam na niego, jak szybko szłam” – wyznaje. Do podpalenia zwłok nie przysłała się.

Wyrok

Prokuratura oskarżyła Mariolę o to, że „dokonała zabójstwa swojego nowo narodzonego dziecka płci męskiej w taki sposób, że w krótkim czasie po urodzeniu przykryła je odzieżą i materacem, co doprowadziło do jego uduszenia w wyniku unieruchomienia klatki piersiowej z jednoczesnym zatknięciem ust i nosa”.

W trakcie procesu przewodnicząca sądu sędziowskiego zapytała Mariolę, czy słyszała o oknach życia i czy możliwe jest mieszczenie podczas ciąży. Na obydwie pytania Mariola odpowiedziała twierdząco, wyjaśniając, że do okna życia nie mogła dziecka podzucić, bo w wiosce go nie ma, a na podróż nie miała pieniędzy. Sąd Okręgowy we Wrocławiu skazał Mariolę P. na 15 lat pułki. Odwołanie wniosła obrona. Sąd apelacyjny obniżył karę do dziesięciu lat z powodu licznych okoliczności łagodzących („Nie była wcześniej karana, pochodziła z dysfunkcyjnej rodziny, nie miała wykształcenia ani środków do życia, brakowało jej wsparcia w rodzinie i pozytywnych wzorców zachowania”).

Wśród zwykłych Polaków zawrzało. „Jakie okoliczności łagodzące?!”.

Słuchający zwykłych Polaków Zbigniew Ziobro zapowiedział kasację do Sądu Najwyższego. Prokurator Generalny słowa dotrzymał. Sąd Najwyższy polecił ponowne rozpatrzenie sprawy. Wyrok jeszcze nie zapadł.

Prezydent Duda twierdzi, że jest przeciwnikiem przepisów dopuszczających aborcję eugeniczną i jeśli na jego biurku znajdzie się stosowny projekt, bez wahania go podpisze. Jeżeli marzenie prezydenta się spełni, suk wartych stosu przybędzie. Na razie projekt zakazujący aborcji z powodu choroby płodu i zabraniający edukacji seksualnej w szkołach trafił na biurko sejmowej komisji polityki społecznej i rodziny.

mikołajczyk@redakcja.nie.com.pl



Krwawienia wciąż nie ma. Coś tak przytyła, pyta mama, to od piwa, odpowiada Mariola. Tato brzucha nie zauważa. Wujcio w łóżku czasem kładzie rękę na brzuchu, ale kopnieć nie czuje.

Google informuje, że ból brzucha to początek porodu, dlatego poczuwszy ból, Mariola wymyka się z domu. Tym razem nie podąża ku Jezuskowi, lecz schodzi do piwnicy. Odchodzi wody płodowe. Z internetu wie, że teraz musi przeć; kładzie się na zgnitym materacu od wyra i prze. Po godzinie słychać płacz. Z Marioli wyłazi łożysko, ona wyrwa pępowinę. Szmatami wyciera krew. Nakrywa nimi dziecko. Przyciska. Cicho się robi. Na wszelki wypadek depcze po zakrwawionych szmatkach. Wraca do domu. Je kolację, ogląda telewizję, kładzie się koło wujka. Wujek chrapie.

Ognisko

Mariola żyje jak przedtem, czyli zmienianie wujkowi pampersów, pranie, gotowanie, piwo z koleżanką w wolnym czasie... Może pali ciut więcej i nerwy jej puszczają z byle powodu, no i pod figurkę nie chodzi, bo po porodzie nie nadaje się do miłości, ale poza tym nic nowego. Do piwnicy nikt nie zagląda, bo nic tam nie ma prócz starych ciuchów i rupieci, ale gdy zrobi się ciepło, zacznie śmierdzieć, fetor może kogoś zwabić, myśli. Piątego dnia dziecko pakuje do

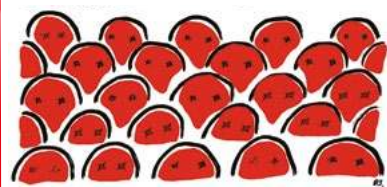
dziwna się wydaje, dlatego sąsiadka leci po miotłę, zgarnia z plastikowej facjatki popiół, odwija szmaty. Jezus Maria! – wrzeszczy. Jezusmarie słyszy Mariola. „DNA ze spalonych zwłok noworodków” – wpisuje w komórce. Dowiaduje się, że nawet gdy się dziecko na popiół spali, nitka zaprowadzi do matki.

Policja w tłącym się ognisku znajduje noworodka płci męskiej z pewnością. „Nieodpętnienie charakteryzuje poród potajemny” – zapisują funkcjonariusze w notatce służbowej. Przeszukują okolicę. W piwnicy należącej do rodziny P. znajdują zakrwawiony materac. Mariola trafia na dołek.

Wina

Zeznaje, że z noworodkiem nie ma nic wspólnego, bo nigdy nie była w ciąży, a ponieważ jest panną, ostatni, a zarazem pierwszy w życiu stosunek miała przed trzynastu laty. Zdradza ją ciało. Biegły ginekolog, widząc powiększone gruczoły piersiowe i brodawki, wyciek siary, rozstępy oraz macicę w fazie zwijania się, nie ma wątpliwości, że „badana jest w piątym dniu połoгу”. Badanie DNA dowodzi, że noworodek z ogniska to syn Marioli.

Mariola przyznaje się do zabójstwa. „Ja to zrobiłam normalnie, wzięłam te łachy, rzuciłam na dziecko i przydusiłam. Kiedy dusiłam, to nie patrzyłam, czy jeszcze żyje, po-

TRYBUN@
LUDZI

Jakie plany na majówkę?

Facebook

Jędrzej Kacprzyk: A weź nawet nie wkurwiał...

Kaja Godek – Antykoncepcja: Do Holandii na skrobanek.

Kuba Wołgajew: Na rajską muszlę.

Nie.codziny stan koronawirusa w Polsce: Ja tak jak co roku w lesie grilla robić będę, a już się bałem, że rząd zakazu nie znieśnie.

Kacper Ruczkowski: Wstać, przeżyć, iść spać.

Adrian Martynowicz: Jebać PiS.

Dominik Paczkowski: Los Balcones, Costa di Canapa, De Kuchenias, może jakiś szybki wypad na Mount Biedront.

Dawid Kokoszka: Wyżyna Łózka, Wodospad Muszli Kłozetowej, Wodogrzmot Umywalki, Jaskinie Piwnicy, Góra Chłodziarko-Zamrażarki, Wulkan Kuchenki, Wzniesienie Fotela, Jezioro Wann.

Wojciech Piekarek: Szyję maseczki i nie mogę przestać.

Filip Tytus Wojtasiewicz: Na złość PiS będę uprawiać seks niepatriotyczny, bo pozbawiony prokreacyjnego wymiaru.

Robert Andrzej Jankowski: A to już maj jest? Który mamy rok?

Daniel Jankowski: Ja już się tak na zaś ustawię w kolejce do fryzjera.

Rena von Sichselbst: Rodzaj aktywności: wytrzymać. Charakterystyka środowiska: z samą sobą.

Artur Paszkowiak: Zajądąć popcorn i oglądać, jak pisiory pogrążają się w organizacji wyborów.

Michał Błajejewski: Tym razem nie będę stał w kolejce przed popularnym dyskontem 15 minut, tylko godzinę.

Zbigniew Czarniecki: Na Tarasos i Trawnikos do Domosu się udam.

Michał Rusky: Pierwszego piję, trzeciego zmartwychwstanę.

Jerzy Korba: Odświeżę garnitur z matury do trumny.

Łukasz Grajewski: Będę grał w grę.

Olga Jastrzębska: Drukowanie sfalowanych kart wyborczych, gdzie wszystkie głosy będą na Bosaka.

Pesime Simini: Depresyjne chłanie zamienię w wesołe letnie pijaństwo.

Wojciech Smarzewski: Będzie co świętować – ostatnia majówka w tym roku.

Marta Szela-Kleśny: Lasy otwarte, idę sobie wybrać gałąź...

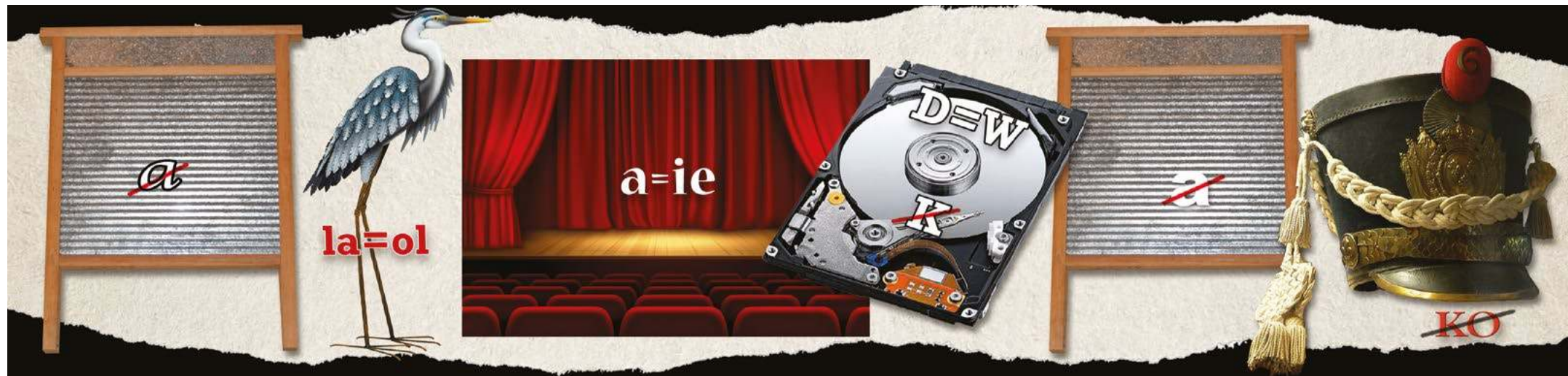
Forum

Ociec dyrektor: 1 maja – wywiesić flagę, 3 maja – dopiąć kir, 4 maja – zdjąć flagę.

IroB: Spędzić korespondencyjnie przydzie chyba.

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE” i Facebooka.

REBUS 1



Uwaga natury filozoficznej: jakkolwiek czasy są bezprecedensowe, kondycja ludzka pozostaje taka sama. Zjawiska, z którymi mamy do czynienia w erze pandemii koronawirusa, psychologia społeczna bada i opisuje od półwiecza. Nie są to opisy optymistyczne.

Sposób, w jaki postępuje dziś władza – w tym „panowie władza” – opisują 2 najsłynniejsze, choć też poniekąd niesławne eksperymenty: behawioralne studium posłuszeństwa, przeprowadzone przez Stanleya Milgrama na uniwersytecie Yale w 1961 r. oraz stanfordzki eksperyment więzienny Philipa Zimbardo z roku 1971. Ten pierwszy tłumaczy, co dzieje się z politykami i urzędnikami, posłuszenie realizującymi opętającą koncepcję przeprowadzenia wyborów w szczycie pandemii; drugi wyjaśnia zachowania funkcjonariuszy policji i innych służb, którym powierzono sprawowanie kontroli nad obywatelami – a także dziwną bierność samych obywateli.

Nauczyciele i uczniowie

Milgram, niespełna 30-letni wówczas doktor psychologii po Harvardzie, zainspirowany procesem Adolfa Eichmanna, postanowił zbadać to, do jakiego stopnia prawdziwe jest tłumaczenie: „Tylko wykonywałem rozkazy”. Pomysł był taki, żeby gotowość do czynienia zła na polecenie osoby z autorytetem przebadać najpierw, niejako kontrolnie, na grupie miłujących wolność i indywidualizm Amerykanów, a później powtórzyć to badanie na Niemcach, których uczonego podejrzewał o większą skłonność do dyscypliny. Drugi etap eksperymentu nigdy nie doszedł do skutku. „Znalazłem w Ameryce tyle posłuszeństwa, że nie musiałem już jechać do Niemiec” – wyjaśnił Milgram.

Badanie jest powszechnie znane, przypomnę więc w największym skrócie: badani, przekonani, że ich rola sprowadza się do asystowania w – prowadzonym przez uczonego w białym kitlu – eksperymencie dotyczącym skuteczności kar w procesie nauki, mieli porażać prądem nieznanym, gdy ci mylili się w odpowiedziach, odpytani z par słów, które powinni zapamiętać. Badany – nazwany „nauczycielem” – miał do dyspozycji 30 przycisków, które, jak mu powiedziano, aplikowały coraz silniejsze wstrząsy, zaczynając od 15, a kończąc

Polacy posłuszniacy

Efekt Lucyfera i Kaczyńskiego.

na 450 woltów. Dla większej jasności były one też opisane słowami: od „słabego wstrząsu”, poprzez „umiarkowany”, „silny”, „intensywny”, „bardzo...” i „niezwykle silny” aż do hasła: „Niebezpieczeństwo: poważny wstrząs”. Na końcu przy 435 V i 450 V było tylko „XXX”. „Nauczyciel” nie widział „ucznia”, który miał być w pokoju obok, słyszał natomiast jego odpowiedzi, a także najpierw protesty, prośby i błagania o litość, potem wrzaski bólu, a potem już nic, co sugerowało, że frajer zemdlął albo wykorkował. Nad głową „nauczyciela” stał „eksperymentator” – wspomniany uczonego w białym kitlu – i stanowczym tonem nakazywał mu kontynuować porażanie „ucznia” prądem. Oczywiście prądu nie było, „uczeń” był aktorem, a jego odpowiedzi i wrzaski były nagrane.

Wynik badania okazał się absolutnie nieprawdopodobny: 65 procent „nauczycieli” doszło do końca skali, czyli zaaplikowało „uczniowi” 450 V; 80 procent przekroczyło granicę 300 V. Nikt – ani jedna osoba – nie przerwał badania na poziomie „intensywnego wstrząsu”, mimo iż uczeń tego żądał, mówił, że ma kłopoty z sercem, wzywał pomocy i wrzeszczał z bólu.

Co jeszcze ciekawsze – w naszym obecnym kontekście – nawet wśród tych nielicznych, którzy postawili się „autorytetowi” i przerwali badanie, nikt nie próbował wejść do sali, w której siedziała ofiara, nie sprawdził, czy nie potrzebuje pomocy, nie pobiegł odwiązać jej od fotela, do którego przedtem ją przywiązywał. Nikt nie wezwał pogotowia, mimo iż słyszał wrzaski, a później ciszę ze strony człowieka chorego na serce. Nikt nie zawiadomił władz Uniwersytetu Yale, że w jego piwnicach razi się ludzi prądem.

Silniejszy moralnie

Pomyślałam sobie o tym dziwnym zjawisku, gdy słuchałam pryncypialnych wypowiedzi Jarosława Gowina, który „stał przed własnym sumieniem, narodem i historią” i re-

zygnował ze stanowiska wicepremiera – jednocześnie jednak nie zrobił nic, żeby ten eksperyment przerwać, mimo iż głosy jego posłów są niezbędne do utrzymania rządowej większości i jakichkolwiek zmian w kodeksie wyborczym. Gowin, odchodząc z rządu, może uznać się za człowieka o morale silniejszym niż ci wszyscy, którzy w nim zostają i których kręgosłup został przez Kaczyńskiego złamany – ale w sferze moralnej jest to różnica między tym, który zaaplikował ofierze 300 V i uciekł do domu, a tym, kto posłusznie doszedł do 450 V. Czyli nie tak zasadnicza.

Wszyscy uczestnicy eksperymentu na jakimś etapie zaczęli mieć wątpliwości co do tego, czy należy nadal razić prądem wrzeszczącego w pokoju obok człowieka – podobnie jak, jeśli wierzyć medialnym doniesieniom zza kulis władzy, wątpliwości co do majowych wyborów miało wielu członków rządu, w tym premier i minister zdrowia. Ale większość badanych ulegała stanowczemu tonowi autorytetu, który powtarzał im, że „eksperyment wymaga, aby kontynuowali” – podobnie jak czynownicy z PiS na wszystkich szczeblach ulegają Jarosławowi Kaczyńskiemu. Choć przecież, podobnie jak badani przez Milgrama słyszeli wrzaski zza ściany, dowodzeni przez Kaczyńskiego słyszą i rozumieją, że wybory w maju będą albo niebezpieczne, albo nieuczciwe, a najprawdopodobniej jedno i drugie; wybory korespondencyjne z jednej strony kompletnie nie spełniają demokratycznych wymogów, a z drugiej nadal wymagają zagęszczenia ryzykownych kontaktów międzyludzkich ponad miarę niezbędną do „zaspokojenia podstawowych potrzeb życiowych”.

Władza władzy

Druga strona tego medalu to narastający autorytaryzm policjantów i innych funkcjonariuszy, którzy nagle dostali prawo kontrolowania aspektów życia obywateli dotychczas pozostających poza jakimkolwiek

nadzorem władz. Większość z nich zachowuje się powściągliwie i racjonalnie, ale coraz częściej słyszymy o wybrykach, które z jakiegokolwiek ochroną kogokolwiek nie mają nic wspólnego. Internet przebojem zdobywają filmiki, na których funkcjonariusz wrzeszczy na faceta, który wyszedł z trójki dzieci na placik przed blokiem, czy rzuca młodą dziewczynę twarzą na chodnik, bo siedziała na ławce i twierdziła, że nie ma powodu osobistego.

Policjanci wykazują się też sporą inicjatywą, nadając swoim własnym przemysleniom i opiniom rangę obowiązującego prawa. Mój ulubiony przykład pochodzi ze stacji benzynowej na warszawskiej Woli, gdzie policjanci wystawiali mandaty tym, którzy mieli trzy czwarte baku, a tym, który pół, już nie – uznali bowiem, że dopełnienie baku pełnego w trzech czwartych nie zaspokaja podstawowej potrzeby życiowej. Jest to pogląd może nawet logiczny, tylko kompletnie nie stanowi podstawy prawnej do jakiegokolwiek działań. Podobnie zabawna była interwencja policji z Mikołowa, która żądała paragonów od ludzi czekających na odbiór ryby na wynos ze smażalni, podejrzewając, że spora ich część tak naprawdę wcale nie przyszła po jedzenie, tylko żeby posiedzieć nad zalewem. I znów: podejrzenie mogło być słuszne, ale nie istnieje żaden przepis, który upoważniałby policjanta do żądania od obywatela posiadania i okazania paragonu oraz przedstawienia szczegółowego menu swojego posiłku. „Chce pan dostać mandat 500-złotowy, czy pan zdradzi, jakie to jest zamówienie?” – grozi gliniarz facetowi w smażalni. Inni policjanci – ludzie piszą o tym do Rzecznika Praw Obywatelskich – żądają np. okazania zawartości siatek z zakupami i wedle własnego uznania stwierdzają, czy zakupy te były rzeczywiście niezbędne.

Klawisze i więźniowie

Eksperyment Zimbardo polegał na zamknięciu 24 normalnych, młodych, zdrowych psychicznie

i fizycznie ludzi w symulowanym więzieniu, gdzie losowo podzielono ich na więźniów i klawiszy. Eksperyment, zaplanowany na 2 tygodnie, przerwano po sześciu dniach, bo zwierzęcenie części „klawiszy” i pokorny stupor, w jaki popadła większość „więźniów”, przeraził psycholożkę Christinę Maslach, przy okazji narzeczoną Zimbardo, która czysto naukową metodą perswazji („Wybie-raj: albo ja, albo ten eksperyment”) skłoniła uczonego do wcześniejszego zakończenia studium. Sam Zimbardo – co przyznawał potem wielokrotnie – kompletnie stracił dystans do przedmiotu badań i podobnie jak inni jego uczestnicy uwierzył, że znajdują się w prawdziwym więzieniu, a on jest jego dyrektorem; próbował nawet ukryć „więźniów” w innym budynku, bo usłyszał plotki, że przyjaciele z wolności przyjdą ich odbić.

Najciekawsze było jednak to, że większość uczestników błyskawicznie dopasowała się do sytuacji i zaczęła traktować ją śmiertelnie serio. Jedna trzecia „klawiszy” zaczęła wykazywać autentycznie sadystyczne tendencje, reszta podzieliła się na „surowych i sprawiedliwych” oraz tych, którzy usiłowali, w ukryciu przed innymi, pomagać „więźniom” – ale ton nadawali sadyści. Z drugiej strony większość „więźniów” popadła w stan absurdalnego podporządkowania i skwapliwie asystowała „klawiszom” w prześladowaniu nielicznych opornych.

Zdaniem Zimbardo morał płynący z tej historii jest taki, iż w odpowiednich okolicznościach wszyscy jesteśmy skłonni do bezwzględności, okrucieństwa i nadużywania władzy. Przepisy czasu epidemii, powierzające tysiącom policjantów arbitralną i nieznajdującą definicji w prawie władzę nad najmniejszymi szczegółami życia obywateli, muszą ze swej natury prowadzić do nadużyć. Ich relatywnie niewielka liczba – a w każdym razie niewiele ujawnionych przypadków – może być dowodem na wyjątkową dojrzałość i szlachetność polskiej policji, ale może także wynikać z faktu, że, obywatel RP, podobnie jak więźniowie u Zimbardo, wczuli się w rolę osadzonych i mało kto próbuje się stawiać.

AWŁ

KORONAUCI



2 barbarzyńskie projekty ustaw to niejedynie zmiany, które chcą wprowadzić do polskiego prawa fundamentaliści katolicy. Instytut Kultury Prawnej Ordo Iuris przygotował opracowanie „W kierunku prawa przyjaznego rodzinie. Propozycje rozwiązań z zakresu polityki społecznej, w tym założenia i projekty ustaw”.

Niewinnie brzmiąca treść broszury to spis żądań, które przekształca Polskę w państwo podporządkowane ideologii pi-sowsko-katolickiej, gdzie uprzywilejowany będzie model wielodzietnej rodziny utrzymywany z dotacji publicznych i uzależniony ekonomicznie od władzy państwowej. Ponieważ ludzie z Ordo Iuris oplotli ministerstwa, agendy rządowe, a nawet Sąd Najwyższy, istnieje duże prawdopodobieństwo, że proponowane zapisy staną się wkrótce obowiązującym prawem. Oto najważniejsze zmiany postulowane przez ekstremistów.

Utрудnienie procedury rozwodowej. Obecnie rozwiązanie małżeństwa przez sąd następuje stosunkowo bezproblemowo i zależy głównie od tego, czy strony są skłonne do zawarcia porozumienia. Ordo Iuris za wzór do naśladowania stawia Malte i Irlandię, gdzie między złożeniem pozwu rozwodowego a jego rozpatrzeniem musi upłynąć okres kilkuletniej separacji. Oprócz przymusowej separacji zostaną wprowadzone obowiązkowe posiedzenia pojednawcze, mediacje, kierowanie stron na terapię małżeńską. Na każdym etapie postępowania małżonkowie będą indoktrynowani o „negatywnych” skutkach rozwodu.

Promocja małżeństwa i płodzenia liczego potomstwa. Nowożeńcy otrzymają ulgi podatkowe oraz preferencyjne kredyty, np. w wysokości 150 tys. zł. W przypadku urodzenia trójki dzieci kredyt zostanie całkowicie spłacony przez rząd. Rodziny wielodzietne zwolnią się z płacenia podatku dochodowego do wysokości pierwszego progu podatkowego.

W ramach programu „500 plus” pieniądze będą wypłacane rodzicom nie od momentu urodzenia dziecka, ale chwili zapłodnienia (sic!). Jak twierdzi Ordo Iuris, „Konstytucja nie różnicuje ochrony prawnej dzieci ze względu na fazę rozwoju, w której się znajdują”, a „prawo pracy rozpoznaje skutki ciąży już na podstawie zaświadczenia lekarskiego potwierdzającego jej rozpoczęcie”, zatem „nie ma przeszkód, by ten efekt był zauważalny także w przypadku świadczenia »500 plus«”.

To jednak nie wszystko! Pieniądze nie będą przekazywane w równej wysokości na każde dziecko, ale w zależności od stanu posiadania.

Ostrzegamy!
Religijni ekstremiści
nie zatrzymają się
na całkowitym
zakazie
aborcji i edukacji
seksualnej.

Turbokatolicyzm

Im więcej dzieci, tym większy zastrzyk gotówki. Np. na trzecie i kolejne dziecko byłoby to 1000, 1500 lub 2000 zł.

Dyskryminacja rodzin niepełnych i związków jednopłciowych. Zlikwidowane zostaną wszelkie ulgi i ułatwienia dla rodziców samotnie wychowujących dzieci. Według fanatyków religijnych niedopuszczalna jest sytuacja, „w której rodzic rozwodzi się i angażuje w związek nieformalny”. Koniec z zasiłkami rodzinnymi, uprzywilejowaniem w rekrutacji do przedszkoli, rozliczaniem podatku dochodowego wspólnie z dzieckiem czy dopłatami do czynszu.

Zakaże się związków jednopłciowych, a obecnie obowiązujące niejednoznaczne przepisy ulegną zmianie – tak, by małżeństwa polskich gejów i lesbijek z obcokrajowcami nie były uznawane w Polsce. Żeby dokopać „zbokom”, którzy mają partnerów za granicą, ich drugie połówki nie otrzymają zezwoleń na pobyt czasowy nad Wisłą.

Likwidacja żłobków. Aby pozbyć się raz na zawsze tego marksistowskiego modelu wychowania, zostanie wprowadzony bon wychowaw-

czy, czyli stały zasiłek finansowy. Podobnie jak w przypadku „500 plus” rodzice dostaną co miesiąc określoną kwotę pieniędzy (np. 700 zł) na wychowanie dziecka i sami zdecydują, w jaki sposób zapewnić mu opiekę. Zamiast posyłać bachora do żłobka będą mogli się nim sami zająć lub oddać pod opiekę dziadków, krewnych lub kogokolwiek. Bon obowiązują na każde drugie i kolejne dziecko, zatem władza również w ten sposób „zachęcałaby” do płodzenia.

Koniec z przeciwdziałaniem przemocy w rodzinie. W pisowsko-katolickiej Polsce pod ochroną znajdują się nie maltretowani psychicznie i fizycznie, ale swoście pojmovana „autonomia rodziny”. Państwo przymknie oko na przemoc w rodzinie, udając, że nie ma problemu. Zdaniem Ordo Iuris „bardzo ważne, by przepisy służące przeciwdziałaniu przemocy (...) nie tworzyły nieproporcjonalnie szerokiej przestrzeni ingerencji władz publicznych w życie rodzinne”. Pracowników socjalnych pozbawi się prawa interwencyjnego odebrania dziecka z rodzin patologicznych w sytuacji zagrożenia jego życia i zdrowia, a ich uprawnienia przejmą zależne od władzy policja i sądy.

Zakaz wstępu do szkół dla organizacji pozarządowych. Aby usunąć ze szkół wszelkie „nieprawomyślne” organizacje, które zatrują umysły małych dzieci lekcjami o seksualności człowieka, tolerancji, ekologii itp., wprowadzi się straszak na dyrektorów, którzy będą zobowiązani do zlustrowania tego, kto i w jaki sposób prowadzi zajęcia. W tym celu dyrektorzy prześlą rodzicom prospekty informacyjne z wyczerpującą prezentacją programu działalności edukacyjnej danej organizacji wraz ze wskazaniem jego recenzentów naukowych i rekomendacji udzielonych programowi przez inne podmioty; wskazaniem osób prowadzących zajęcia wraz z prezentacją ich zawodowych biogramów oraz doświadczenia; prezentacją materiałów graficznych oraz pomocy dydaktycznych wykorzystywanych podczas lekcji.

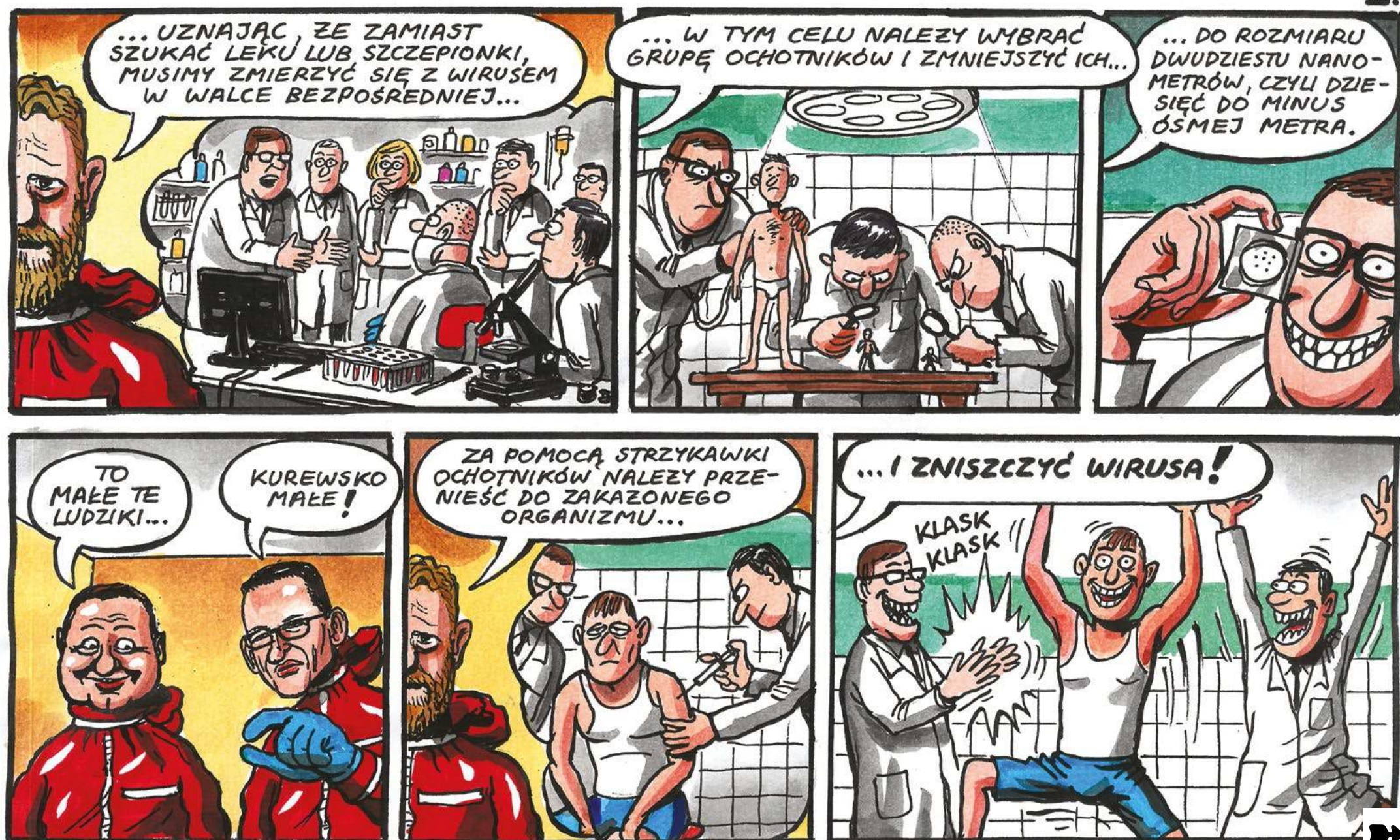
Gdyby rodzice dziecka poczuli się urażeni prowadzonymi lekcjami, mieliby zagwarantowane prawo wytoczenia powództwa cywilnego, a sąd przyzna im odpowiednią kwotę tytułem zadośćuczynienia pieniężnego za doznaną krzywdę solidarnie od organu prowadzącego szkołę i organizacji pozarządowej. Łatwo przewidzieć, że w tej sytuacji żaden dyrektor nie będzie ryzykował i nie wpuści do szkoły podejrzanych ideowo edukatorów.

Głosowanie rodzinne. Ekstremiści religijni wywrócą do góry nogami proces wyborczy. Rodzice przy urnie otrzymają dodatkowe karty do głosowania w zależności od liczby posiadanego potomstwa.

Wszystkie proponowane postulaty zostaną zapisane w ustawie konstytucyjnej dla rodziny – akcie prawnym o randze dorównującym ustawie zasadniczej, którego późniejsze ewentualne zmiany bądź uchylenie wymagałyby zastosowania większości odpowiedniej dla zmiany Konstytucji RP, tj. w Sejmie większości co najmniej 2/3 głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów oraz w Senacie bezwzględnej większości głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby senatorów.

Wydawać się może, że pomysły Ordo Iuris są szalone, ale w tym szaleństwie jest metoda. Polityka PiS obdarowywania wybranych grup społecznych profitami finansowymi wskazuje na to, że jeśli tylko uzależni się znaczną część społeczeństwa od władzy, to można liczyć na poparcie dające zwycięstwo w każdych wyborach.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl



Przepiękna literatura piękna. I cała o prezydencie.

Duda między uda



Po wypłynięciu informacji o rzekomym romansie prezydenta z szalenie zakochaną w nim młodą Jolantą – i równie dających do myślenia zachowaniach głowy państwa, takich jak nocne pisanie z nastolatkami na Twitterze czy lajkowanie im zdjęć na Instagramie – w polskiej literaturze młodzieżowej pojawił się nowy nurt. Andrzej Duda stał się bohaterem wyobraźni nieletnich dziewcząt i chłopców, oczekujących jednak im bajek o Bogu czy ojczyźnie, ale czegoś z wyższej półki. Czego? Oto garść poświęconych prezydentowi tytułów: „Love Story Andrzej Duda”, „Andrzej Duda to mój chłopak”, „Harem Andrzeja Dudy”, „Jak smakuje twoja miłość, tatku?” czy – przyznacie, najłepszy – „Andrzej Duda Uga Buga”.

Najpopularniejsze teksty, takie jak dzieło „Porwana przez Prezydenta”, przeczytano prawie 200 tys. razy. „Andrzej Duda między moje uda” – niemal 250 tys.

A.

Prowadzone przez Bibliotekę Narodową statystyki czytelnictwa nie pozostawiają złudzeń. Do przeczytania przynajmniej jednej książki w ciągu roku przyznaje się od lat zaledwie 37 procent Polaków. Mniej chętni do lektur są głównie mężczyźni i ludzie starsi. Młodzi w przedziale 15–24 lata czytają najwięcej – o wzmożeniu może decydować przymus poznawania szkolnych lektur. 45 procent małolatów nie zagląda do książek wcale.

Tak się jednak szczęśliwie składa, że w ostatnich latach wśród ciemnoty pojawił się kaganek. Rosnącą popularnością zaczynają cieszyć się serwisy, w których początkujący autorzy mogą próbować dotrzeć ze swoją twórczością do czytelników, a ci raczyć się w zamian niszowym, niezapłatnym jeszcze pieniądzem pisarstwem.

Tak oto powstaje młodzieżowa literatura erotyczna, w której główną rolę odgrywa kochany Duduś.

B.

„Andrzej Duda ratuje Dżesikę z płonącego domu. Dziewczyna zakochuje się po uszy w prezydencie RP. Andrzej zauważa to i odwzajemnia te uczucia. Czy ta miłość ma szansę przetrwać?” – pyta zalotnie pierwsza z autorów, Martyna. (Uwaga: pisownia wszystkich fragmentów oryginalna).

„Usta pomalowała czerwona szminka, zrobiła perfekcyjną kreskę na oku, założyła najładniejszą bieliznę, krótką sukienkę. (...) Andrzej wszedł kulturalnie do domu wycierając buty. (...) Usiadł na kanapie obok dziewczyny. Przez

chwile panowała niezręczna cisza, gdy nagle Dżesika zaczęła przybliżać się do prezydenta i usiadła mu na kolanach” – fantazjuje autorka.

„Andrzeju to nie przeszkadzało. Prezydent schylił się (oczywiście na siedząco, gdy Dżesika siedziała mu na kolanach), żeby związać buta, a dziewczyna wykorzystała okazję i złapała Andrzeja za pośladka. Zaczęli się całować” – tak rozpoczyna się historia pięknej znajomości, zawartej po uratowaniu przez Dudę dziewczyny z płonącego domu.

I kończy się happy endem: „Była pewna, że nie jest w ciąży. A jednak! Wynik pozytywny! Dwie kreski! Spanikowana Dżesika szybko zadzwoniła do Andrzeja i powiedziała żeby szybko przyjechał. (...) Andrzej był załamany. Przecież miał żonę! (...) Od razu po powrocie powiedział swojej żonie, że chce się rozwieść, a papiery rozwodowe już są w drodze. Powiedział także, że kocha inną. Żona Andrzeja była załamana, ale pogodziła się z tym i już na drugi dzień zaczęła pakować swoje rzeczy”.

C.

Nie wszystkie opowiadania wyrażają podziw dla prezydenta. Niektórzy autorzy nieśmiało z niego drwią: „Obudziłam się przez dźwięk mojego telefonu, to był ten sam facet, który pisał do mnie wczoraj, nie odpisałam mu tylko wstałam i poszłam się ubrać, wybrałam krótkie spodenki wraz z krótkim rękawem i dekoltem, nikt teraz się nie może do niego przyciągnąć, ponieważ mam już 17 lat (...) po zjedzeniu tostów poszłam na górę usiadłam na mięciutkim dywanie i otworzyłam list, o mało się nie zeszczesałam, był to list od ANDRZEJA DUDY, napisał że...”.

Zaintrygowany czytelnik musi zrobić przewrót, gdyż autorka przeżywa kryzys twórczy. Literatura w serwisie Wattpad, najpopularniejszym tego typu na świecie, najczęściej pisana jest na raty, bo – jak wiadomo – nastolatki to istoty bardzo zajęte.

„Przepraszam, że takie krótkie, ale dziś nie miałam pomysłu i źle się czuję, ale obiecuję, że następny rozdział będzie bardzo długi, ponieważ będę go pisała na laptopie, a tak mam go rozładowanego, więc jeszcze raz przepraszam” – tłumaczy światu, kto wie, może nawet przyszła Olga Tokarczuk.

Opowieść nabiera dynamiki: nastolatka zbiera opinie od matki, ale i tak pakuje walizki i umawia się z Andrzejem. Ten przyjeżdża po nią sportowym samochodem. I, jak by to powiedzieć: „Wysiadł... Nie był elegancko ubrany, tylko

w koszulkę (...) jakieś dresy skarpetki i japonki, wyglądał OBŁĘŚNIE!!! Ale nie chciałam mu tego mówić, bo nie wypada, niech się ubiera, jak chce, no ale jak chyba po kogoś przyjeżdża, to może jakoś elegancko, a nie jak jakiś menel z mojej klatki schodowej”.

W oczekiwaniu na sceny seksu czytelnik dowiaduje się jeszcze, że para dotarła do jego domu, tam pokazał jej pokój i łazienkę, poinformował, że mama dziewczyny zgodziła się na jej nocleg. Później spożyli obiad z gościnnym udziałem Beaty Szydło, następnie dziewczę się podmyło (nie Beata, ale nastolatka), położyła do łóżka i... Tu niestety trzeba uzbroić się w cierpliwość, gdyż autorka znów czeka na przyływ weny.

D.

Bardzo popularnym motywem wśród młodych kobiet, najwyraźniej niewyedukowanych jeszcze przez ruch #metoo, jest opisywanie scen przemocy i gwałtu.

Rodzima autorka dzieła o tytule „Punish me, daddy” („Ukarz mnie, tatusiu”) tak werbalizuje fantazje podczas wycieczki autokarowej do Andrzeja Dudy:

„– To nie jest normalne proszę Pana. Nie usłyszałam żadnej odpowiedzi od niego, pociągnął mnie w stronę ściany a następnie otworzył jakieś ciemne drzwi, które prowadziły na zaplecze (...). Czując jak nagle przycisnął mnie do ściany zmrzyłam oczy drząc ze strachu po czym usłyszałam cichy oraz opanowany ton.

– Dlaczego to robisz? Dlaczego mnie kusisz? Cała zdrewniałam, nie wierząc w aktualną sytuację, w której się znajdowałam ja sam na sam z głową naszego Państwa. Jego chłodny oddech drażnił moje wilgotne wargi nasze usta od siebie dzieliły dosłownie milimetry”.

To nawet nie literatura erotyczna. To pornografia: „Po pewnej chwili zsunęłam z niego wraz ze spodniami bokserki a moim oczom ukazał się okazały, duży oraz zadbany członek. (...) Ujmując w swoją drobną dłoń jego penisa wysuwając koniec języka, dzięki czemu drażniłam nim jego główkę, nie odrywając wzroku od jego męskiej twarzy, przesuwałam nim po całej jego długości (...) Biorąc go stopniowo do swoich ust zaciskałam wokół niego dokładnie swoje pomalowane na kolor ciemno czerwony usta, poruszając głową w górę i w dół, drażniąc go dokładnie językiem od środka, słyszałam jego ciche stęknięcia pod nosem, zapewne spowodowane z przyjemności jaką go w tej chwili obdarowywałam”.

Tu, niestety dla głównej bohaterki, następuje komplikacja zdarzeń. Schadzka przerywa wy-

chowaczyni. Na szczęście po kilku dniach udaje się dokończyć konsumpcję: „Łapiąc za jego członka w dłoń, przesunęłam po nim kilka razy, dłonią spluwając na jego główkę. Siedząc nago na łóżku wyglądałam pewnie cholerznie uroczo, a zarazem niewinnie, gdy pozbył się z siebie koszuli, rzucając ją gdzieś koło łóżka, usiadłam na niego okraciem przez co jego czubek sztywnego penisa bezproblemowo zahaczał o moje kroczce (...). Odczuwając jak wszedł we mnie po same jądra, zapełniał mnie od środka idealnie, powodując chwilami lekko odczuwalny, lecz przyjemny ból. Pochylając się nad Jego ciałem oparłam swoje czoło o Jego, czując jak zaczął się brutalnie we mnie poruszać, pisnęłam na cały pokój, nie kontrolując tego, przez co pewnie zostałam ukarana okropnie mocnym klapsem w jeden z pośladków, zaciskając swoje mięśnie wokół niego”.

Po wszystkich autorka dzieła o polskim prezydencie z pewnym wstydem, ale i sprytem marketingowym okazuje wdzięczność czytelnikom: „Kochani, dziękuję za tak wiele pochwał, pomimo iż sama czasem czuję się źle, gdy to piszę, bo nie jest to typowe i na miejscu opowiadanie. Ale coś, co jest kontrowersyjne, najchętniej ludzie do tego wracają. Dziękuję jeszcze raz + rozdziały nie będą miały ustalonego terminu”.

E.

Młodzież homoseksualna w amatorskiej twórczości o Andrzeju Dudzie też znajdzie coś dla siebie. Opowiadanie „Jak smakuje twoja miłość, tatku?” to historia chłopca rozkochanego we własnym ojcu.

„Wpatrywałem się w przepiękny zachód słońca, lecz myślami byłem przy nim. Przy moim tatku. Andrzeju. Andrzeju” – opowiada podmiot liryczny. Tu następuje jednak jakże częsty w literaturze konflikt wewnętrzny bohatera:



„Mam wszystko ale nie mam jego miłości. Jak do mężczyzny. Czemu akurat ja jestem jego synem? To chore”.

„Ah, zapomniałbym. Jego dupka... Oczywiście ta na brodzie. Do niej mam największą słabość. To mój czuły punkt. Tak. To moja chora fascynacja. Chore uczucie do własnego ojca. Mam tylko nadzieję, że on tak samo kiedyś do mnie poczuje to samo co ja” – liczy główny bohater.

I po komplikacjach dopina swego: „Po chwili trwającej dla mnie wieczność, zrobił to. W końcu mnie pocałował. Jego pocałunki na początku były subtelne, lecz szybko przeobraziły się w zmysłowy taniec naszych języków”.

Rodzi się suspens: „Gdy już byłem blisko spełnienia poczułem w okolicy klatki piersiowej okropny, przeszywający ból. Życie przeleciało mi przed oczami. W głowie miałem zupełną pustkę. Powoli osunąłem się po ścianie, zostawiając na niej czerwone ślady krwi. Ostatecznie upadłem z hukiem na zimną podłogę. Ledwo dostrzegłem przyczynę mojego bólu. Był nim nóż, który tkwił we mnie. Spojrzałem na Andrzeja. Śmiał się, wymachując przy tym na boki całym swoim ciałem. Gdy ujrzał, że na niego patrzę, schylił się w moją stronę. Czuję, że już odchodzę z tego świata. Zamknąłem oczy, wyczekując na pewną śmierć. Jednakże w ostatniej chwili usłyszałem głos mojego zdradzieckiego ojczulka, który dźwięczał mi w uszach do końca. – Tak właśnie smakuje moja miłość”.

Pederastycznych wątków literackich jest więcej. Opowiadanie „Andrzej Duda między moje uda” (przypomnę: prawie 250 tys. odsłon; do tego wysoka pozycja w rankingu całego serwisu) tak reklamowane jest przez autora: „Andrzej D. wiecie spokojne życie prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Ma wszystko, żonę, pieniądze, władzę. Ale co się stanie gdy pozna zagubionego Bronisława? Czy ich miłość ma szansę przetrwać?”.

F.

Można oczywiście przyjąć, że to wszystko robienie sobie z prezydenta jaj, niemniej twórczości o innych polskich politykach – i w ogóle o innych postaciach życia publicznego – na takich serwisach jest jak na lekarstwo.

Wynika to najpewniej z tego, że swoim zachowaniem Andrzej Duda dał rozpalonym nastolatkom sygnał, że coś w tych fantazjach może być na rzeczy. A młodzież, która nasłuchiwała się od starszych o niespotykanym w dziejach łamaczu konstytucji, pragnie wyobrazić go sobie także jako łamacza serc.

MICHAŁ MARSZAŁ

michal.marszal@redakcja.nie.com.pl

Knajpa pod Magistrem

Gdy w knajpie zamawiam piwo, pyta mnie się, jakie, bo do wyboru jest kilka albo kilkanaście gatunków. Ludzi przestało to dziwić. Mnie wciąż dziwi.

Należę do uprzywilejowanej kasty, która może robić zakupy od 10.00 do 12.00. Większą część długiego życia spędziłem w PRL. Wówczas nie pytano, jaki gatunek piwa podać, bo najczęściej nie było żadnego.

Każdy, kto miał kiedyś kaca – a więc prawie każdy – wie, że piwo jest artykułem pierwszej potrzeby. Nawet bez kaca miło jest posiedzieć przy piwku i pogawędzić o tym czy owym. Szukało się więc takich miejsc, w których szansa nabycia złocistego trunku była największa, gatunek schodził na plan dalszy, bo każde piwo smakuje podobnie – piwem.

Na falach. Gdy byłem studentem na Uniwersytecie Warszawskim, gruchnęła nagle wieść, że piwo – w dowolnej ilości – sprzedawane jest na statkach żeglugi śródlądowej. Z uniwerku na przystań niedaleko, kupowaliśmy od razu kilka powrotnych biletów do Miocin i pływaliśmy sobie tak w tę i z powrotem. Za oknem powoli przesuwali się malownicze krajobrazy, a my, sącząc piwo, byliśmy coraz szczęśliwsi. Nic, co piękne, nie trwa wiecznie. Piwo na statkach białej floty po jakimś czasie zlikwidowano.

Ser. W ten sposób doszliśmy do Magistra. Magister prowadził biznes w niewielkim przeszklonym pawilonie na warszawskim placu Starynkiewicza. U Magistra piwo było zawsze, ale szkopał tkwił w zakąsku. Nie tylko na placu Starynkiewicza, lecz w większości lokali w PRL piwa bez zakąski nie podawano. Zazwyczaj agenci ułatwiali sobie sprawę. W ładzie chłodniczej tkwił poskręcany ze starości kawałek żółtego sera posypanego papryką. Zapłacić za zakąskę było



trzeba, konsumować – niekoniecznie. Dyżurny serek mógł tak leżeć tygodniami.

Ku pamięci. Magister prowadził interes uczciwie. Zasada była prosta: pierwszy kufel bez zakąski, do każdego następnego kufła obowiązkowa porcja kaszanki. Wyjątków nie było. Pseudonim Magistra wziął się stąd, że ponoć rzeczywistość skończył jakieś studia. Jeśli tak, były to ponad wszelką wątpliwość nauki ścisłe. Miał pamięć absolutną. Wystarczyło rano wypić piwo, przyjść wieczorem, żeby napić się kolejnego i słyszało się wypowiedziane z zimną obojętnością słowa: – Owszem, ale to już drugie, więc z kaszaneczką.

Nietrudno sobie wyobrazić, jaki ruch panował w przeszklonym pawilonie. Kolejka smakoszy piwa stała na długo przed otwarciem lokalu. W jaki sposób Magister potrafił wszystkich zapamiętać? Niepojęte. Dziś mógłby startować w jakimś głupawym teleturnieju na amerykańskiej licencji, w którym ludzie popisują się nadzwyczajnymi umiejętnościami. I z pewnością by wygrał.

Kaszanczka. Ponieważ nie wszyscy klienci byli trzeźwi, w dodatku dalece nie każdy miał tytuł magistra, dochodziło czasem do awantur. Wówczas zza baru padała

wypowiedziana tym samym lodowatym tonem przestroga: – Wstrzymaj się sprzedaż piwa w lokalu.

Magister nawet nie musiał podnosić głosu. Stojący w kolejce spragnieni klienci sami natychmiast zaprowadzali porządek.

Lokal Magistra cieszył nie tylko piwoszów. Obiegały go gołębie. Ponieważ nikt nie był w stanie zjeść kilku czy kilkunastu porcji kaszanki (przecież nie przychodziło się tam na jeden kufelek), ze śmietnika obok pawilonu wysypywały się sterty tego przysmaku.

Gołębie truchtały po trotuarze tak obżarte, że tusza nie pozwalała im fruwać.

Strategia. Jak to zwykle bywa w naszym narodzie – znaleźli się jednak tacy, którym piwo i kaszaneczka u Magistra były solą w oku. Chodzi o mieszkańców pobliskich kamienic. Pisali listy do Milicji Obywatelskiej, do Komitetu Dzielnicowego PZPR i gdzie się tylko dało, w których domagali się zlikwidowania przybytku. Chodziło im o to, że klienci obsikiwali okoliczne klatki schodowe. A co mieli robić? Wiadomo, że piwo jest moczopędne.

Pewnie stosowne czynniki wkroczyłyby do akcji, gdyby nie strategiczne położenie pawilonu. W pobliżu mieściły się aż 3 redakcje: „Trybuny Ludu”, „Przeglądu Sportowego” (swego czasu w obu pracowałem) i „Expressu Wieczornego”. Nietrudno zgadnąć, że dziennikarze wszystkich tych redakcji byli wiernymi klientami Magistra i pokornie wsuwali kaszanke. Chłopaki z „Expressu...” dali odpór na łamach zakusom lokatorów. Nie pamiętam już wszystkich argumentów użytych w artykule, ale było tam na pewno coś o miejscu, w którym można kulturalnie napić się piwa i że takich miejsc brakuje w stolicy.

Wyjątek. Prasa była w tamtych czasach potęgą. Po interwencji „Ekspresia” okoliczni mieszkańcy dali spokój Magistrowi. Zmieniło się tylko jedno: Dziennikarze „Expressu Wieczornego” mogli do woli popijać piwo bez obowiązkowej kaszanki. I znów zagadka: w jaki sposób Magister poznawał, że ktoś pracuje w popularnej popołudniówce? Przecież nie nosiliśmy plakietek z nazwiskami, jak to się teraz czasem dzieje w korporacjach.

Ja. Nie wiem, kiedy i w jakich okolicznościach doszło do zagłady lokalu, bo zmieniłem redakcję, nie mam pojęcia, jak ten uzdolniony człowiek odnalazł się w nowej kapitalistycznej rzeczywistości. Na miejscu przeszklonego pawilonu stoi jakiś biurowiec. Tyle tylko wiem.

W czasopiśmie i książkach nie brak opisów warszawskich lokali z czasów PRL, takich jak „Ściek”, „SPATIF”, „SDP”, „Architekti”, gdzie wejść można było tylko po okazaniu stosownej legitymacji. Nie zapomina się o „Kameralnej” (dużej i małej) oraz „Kamieniołomach” i barwnych postaciach, które tam urzędowały. Nie mówiąc o kawiarniach literackich. A kto, oprócz mnie, upomni się o Magistra?

WOJCIECH MITTELSTAEDT

w.mittelstaedt@op.pl



Sikawki na kwintę

Totalny burdel, czyli kto ponosi odpowiedzialność za rozprzestrzenienie zarazy w Szkole Głównej Służby Pożarniczej w Warszawie.

Cała Polska emocjonuje się dramatyczną sytuacją w elitarnej uczelni kształcącej kadry strażackie. Na razie kozłem ofiarnym został prorektor – zastępca komendanta ds. operacyjnych st. bryg. Jarosław Zarzycki – który miał lekceważyć informacje podchorążych o ich złym samopoczuciu oraz bagatelizował występujące u studentów objawy koronawirusa.

Jak mówił w Sejmie szef MSWiA Mariusz Kamiński, Zarzycki wprowadzał w błąd przełożonych, sugerując, że podchorążowie mogą symulować chorobę, licząc na możliwość wyjazdu do domu na święta. Powołano specjalny zespół, który ma wyjaśnić sprawę odpowiedzialności.

„Pierwsza osoba straciła swoją funkcję, jeżeli będzie potrzeba, stracą następne. Jeśli uznamy, że są winni, że stchórzyli, że nie stanęli wobec tego wyzwania na wysokości zadania. Nikt tu nie będzie nikogo ukrywał” – obiecywał Kamiński.

O tym, że w Szkole Głównej Służby Pożarniczej dzieje się źle, było wiadomo od dawna. Alarmowali studenci w mediach społecznościowych i nikt się tym nie przejmował.

Na niezależnym profilu facebookowym służb mundurowych „Mundurowi Dziękuję Rządowi” 12 marca pojawił się taki wpis (pisownia oryginalna): „Od poniedziałku [9 marca] wszyscy podchorążowie bez przepustek (z małymi wyjątkami). Jeszcze do wczoraj, kiedy minister zawiesił zajęcia, na teren uczelni swobodnie wchodziły osoby cywilne, w tym cywilni studenci. Władze zdecydowały, że studenci mundurowi, mimo decyzji ministra, mają mieć zajęcia. Decyzja sensowna, zakładając całkowitą izolację obiektu. Jednak studenci cywilni nadal mogą wchodzić na teren uczelni, celem dokończenia badań do prac dyplomowych, a pracownicy 8-godzinni normalnie przychodzą do pracy. Władzom szkoły nie przeszkadzał fakt mieszania się ze sobą ludzi. Wczoraj weszło w życie zarządzenie

Rektora-Komendanta, wprowadzające kontrole temperatury ciała. Pomiary zaczęły się o 8.00, kiedy większość pracowników szkoły była już na miejscu. W ciągu dnia u 3 podchorążych wykryto podwyższoną temperaturę. Decyzją d-cy pododdziałów pozostali oni w miejscu zakwaterowania z poleceniem »monitorowania temperatury« – mając nieograniczony kontakt z pozostałymi 350 podchorążymi. Władzom nie przeszkadza fakt mieszania się podchorążych na zaprawach i apelach. Sytuacja na uczelni od dawna wymaga wychodzenia poza jej teren – przejście między obiektami – więc wszyscy pracownicy i studenci i tak poruszają się po terenie zewnętrznym. Na stołówce wszyscy pobierają sztucze z tego samego pojemnika. Absurd goni absurd...”.



5 kwietnia pojawił się kolejny wpis: „Na jednym z pododdziałów podchorążowie mają wysoką gorączkę, źle się czują, u niektórych brak smaku i węchu. Niektórzy już od tygodnia, część z nich od wtorku [2 kwietnia]. We wtorek kilku miało tak mocne objawy, że musieli zdyktować im służby. (...) Zgłaszają przełożonym, a ci temat uciszają. Dziś zadzwonili sami w końcu do GIS [Głównego Inspektora Sanitarnego]. Zostali objęci kwarantanną na sali gimnastycznej, reszta akademika dalej mieszka normalnie, mimo że mieli ze sobą kontakt. GIS powiedział, że mogą im zrobić testy tylko w sytuacji, jeżeli lekarz z jednostki oficjalnie stwierdzi objawy. Lekarz odmawia. Powszechnie podejrzewa się, że powodem jest tchórzostwo wobec przełożonych. Prorektor (...) Zarzycki uważa tych chłopaków za symulantów. (...) Cała szkoła ma ze sobą kontakt, chociażby na stołówce”.

Generał Ryszard Grosset, były zastępca Komendanta Głównego Państwowej Straży Pożarnej, umieścił wymowny komentarz: „Jeśli to prawda, to konsekwencje powinny być piorunujące...”.

Jak wynika z relacji studentów, winnych zaniedbań jest wielu, począwszy od komendanta rektora nadbryg. Pawła Kępki, poprzez podległych mu oficerów, a na lekarzu jednostki kończąc. Komendant Kępka uchodzi za pupila pisowskiej władzy. Uczelnią kieruje od września 2016 r. decyzją ówczesnego szefa MSWiA Mariusza Błaszczaka. Generalskie szlify dostał w maju 2017 r. od prezydenta Andrzeja Dudy. Strażacy pamiętają mu służalczą postawę, gdy latem 2017 r. Błaszczak skierował podchorążych, aby pod osłoną nocy stawiali barierki przed Sejmem, które miały oddzielać ludzi demonstrujących w obronie Sądu Najwyższego.

Było to pierwsze w III RP wykorzystanie strażaków do działań politycznych.

Kępka jest specjalistą z zakresu ochrony ludności i zarządzania kryzysowego, ekspertem NATO ds. opracowania metodyki oceny ryzyka i podatności na zagrożenia ze strony czynników chemicznych, biologicznych, radioaktywnych i promieniotwórczych. Fachowiec, który uczył innych, jak dbać o bezpieczeństwo przed wirusami, nie zdał najważniejszego egzaminu, narażając zdrowie i życie kilkuset podległych mu studentów i pracowników uczelni.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

O tym, co robi z Polską zaraz po pokonaniu Andrzeja Dudy, „NIE” rozmawia ze **STANISŁAWEM ŻÓŁTKIEM**, kandydatem na urząd Prezydenta RP.

– Łatwo było zebrać 100 tys. podpisów?
– Bardzo trudno i żmudnie. W lutym mieliśmy jedynie 5 tys. Pod koniec marca 113 tys., z czego ze względu na różne braki formalne musieliśmy pominąć 5 tys. Ostatecznie 108 tys. podpisów złożyliśmy w Państwowej Komisji Wyborczej. Obecność na karcie wyborczej już jest wielkim sukcesem moim i wspierających mnie partii.

– Było wziąć kilku rzutkich Ukraińców...
– Rozumiem, do czego pan pije. Co do pana Jakubiaka, to widać miał jakieś cudowne sposoby.

– Czy w ogóle organizowanie w Polsce wyborów podczas pandemii jest uczciwe?
– Nie jest. Powiem więcej: jeśli obecne restrykcje uznać za słuszne, to organizację wyborów trzeba uznać za zbrodnię.

– I Pan w tej zbrodni ma zamiar wziąć udział?
– Nie w moich rękach są i restrykcje, i termin wyborów. Ja tylko kandyduję i niezależnie od rodzaju wyborów postanowiłem głosować.

– Na Dudę?
– Na siebie. W każdym innym wypadku byłbym hipokrytą.

– PiS będzie robiło machloje podczas wyborów?
– Obawiam się oszustw.

– Ratunkiem dla Polski od wszelkiego zła jest według Pana wyprowadzka z Unii Europejskiej?

– Oczywiście, dlatego założyłem partię Polexit, mającą doprowadzić do opuszczenia przez Polskę brukukskich struktur. Moje kandydowanie w wyborach prezydenckich daje mi większe możliwości dotarcia z przekazem do Polaków i doprowadzenia śladem Wielkiej Brytanii do referendum w sprawie polexitu. Oczywiście ewentualny sukces wyborczy dałby mi nieporównywalnie większe możliwości nie tylko w tej sprawie.

– To słucham: co takiego Panu ta Unia Europejska zrobiła?

– W latach 2014–2019 byłem posłem do Parlamentu Europejskiego. Nabyłem dużo informacji ukrytych przed ogółem i sumienie nakazuje mi próbować poinformować o prawdziwych kosztach



BIAŁO-CZERWONY ŻÓŁTEK

tach naszej obecności w UE i o prawdziwych planach UE wobec Polski.

– Czyli?

– Unia Europejska chce likwidacji polskiego przemysłu i stworzenia z Polski regionu będącego kolonią dla Niemiec i Francji.

– To mówili już Giertych i Lepper w 2003 r.

– Proszę potraktować to poważnie. Unia odebrała Polsce suwerenność, czyli możliwość stanowienia własnego prawa – bo poza prawami związanymi z wojną PiS-u z opozycją ponad 90 proc. uchwalanych przez nasz Sejm ustaw jest implementacją praw nakazanych przez UE. Ale świadomość tego ma niewielka część społeczeństwa.

– Według badań CBOS 89 procent Polaków popiera obecność Polski w UE, a jedynie 7 procent jest zdecydowanie przeciw. Czy warto opierać na tym program wyborczy?

– To nie jest program wyborczy! Mnie mniej interesuje wygrana w wyborach niż próba powiedzenia Polakom prawdy o UE. Jeśli Polacy nie znają prawdy, to dlaczego mieliby mieć coś przeciw UE?

– A jaka jest prawda?

– Unia wypłacała nam do tej pory formalnie więcej pieniędzy, niż my wpłacaliśmy do UE, to fakt. Ale Polacy nie wiedzą, że ta różnica jest znacznie mniejsza, niż nam się to przedstawia, a na dodatek wszystkie ewentualne „zyski” zostają z nadadkiem zawłaszczane przez ich transfer do niemieckich i francuskich firm oraz przez zwiększone koszty spowodowane prawem unijnym.

– Niech zgadnę: będzie jeszcze gorzej?

– Oczywiście! Od 2021 r. będziemy wpłacać do UE podobną kwotę, jaką nam zwróca – jednak będziemy tylko petentami do tych środków, a transfer do niemieckich i francuskich firm pozostanie. Już w 2019 r. wprowadzono przepisy odbierające Polsce swobodę sprzeciwu przy tworzeniu prawa unijnego. Każda próba nieposłuszeństwa wobec Komisji Europejskiej jest natychmiast finansowo karana. Posłowie mający negatywne nastawienie do UE mają zakaz tworzenia grup politycznych w Parlamencie Europejskim i w konsekwencji ograniczone prawo wypowiedzi. Poprzez ACTA 2 wprowadzono niejako cenzurę negatywnych komentarzy o Unii Europejskiej i...

– Wolniej proszę, bo nie nadążam notować.

- Przyznanie pierwszego w historii UE rocznego budżetu na unijne wojsko – na początek 6,5 mld euro – też służyć ma dyscyplinowaniu



i mody z tym związane. Uważam, że ludzie mają na zmianę klimatu bardzo niewielki wpływ. Natomiast nawet gdyby klimat się nieco ocieplił, to byłoby to dla mnie i dla świata korzystne, po co więc miałbym z tym walczyć?

– Przez kilka lat był Pan europosem. Aż tak było w Brukseli źle? Czy jest coś, co się Panu w Unii Europejskiej podoba?

– Mogłem wchodzić do Parlamentu Europejskiego osobnym wejściem po niebieskim dywanie – obok normalnego wejścia dla wszystkich innych i miałem idiotyczne bałdowalcze przywileje, co ku mojemu zdumieniu większości posłów się podobalo. Ja tej atmosfery nie znosiłem. Co do samej UE, to jej idea była piękna – wolny przepływ towarów, usług i idei, wolność osobista i gospodarcza, zmniejszanie podatków i wszelkich obciążeń obywateli Unii. Dziś ja pozostał z tego jedynie wolny przepływ towarów i usług. I to jedynie, co w Unii Europejskiej mi się podoba, chociaż nawet w tej sprawie ceną jest obostrzenie przepływu towarów i usług z resztą świata.

– Wyjście z UE i co dalej? Jak wyglądałby nasz kraj po poplexie?

– W relacjach gospodarczych z UE niewiele by się zmieniło – przykładem Wielka Brytania. Jak handlowaliśmy z Niemcami i innymi, tak dalej będziemy handlowali. Nasz przemysł i wszystkie firmy stałyby się natomiast bardziej konkurencyjne, bo nieobciążone sztucznymi i kosztownymi regulacjami. A przemysł nie byłby niszczone opłatami za uprawnienia do emisji CO₂. Dzięki zwiększeniu konkurencyjności i zrzuconiu zakazów unijnych moglibyśmy naprawdę otworzyć się na gospodarczą współpracę z resztą świata.

– Mając wizy do większości państw świata?

– Po Europie i tak podróżowalibyśmy jak dzisiaj dzięki układowi z Schengen, tak jak Szwajcaria czy Norwegia, które w UE nie są. Bardziej prawdopodobne – choć nie jest to konieczne – że polexit zapoczątkowałby nową, nie tak zdegenerowaną Unię Europejską. No i znowu byłibyśmy niepodległym krajem, a nie kolonią Niemiec.

– Czy Polska jako samotny gracz znaczyłaby coś w świecie?

– Tylko po wyjściu z UE możemy coś znaczyć w świecie. Przecież teraz nic nie znaczymy, bo jesteśmy prowincją i petentem UE, a po ostatecznym zrobieniu z nas kolonii inne kraje nawet przestaną udawać, że coś znaczymy.

– Pieniądze zarobione w UE chce Pan wydać na wyjście Polski z UE?

– Oczywiście.

– Czy Pana zdaniem PiS chce wyprowadzić Polskę z UE? Znajduje Pan w tej sprawie sojusznika w Dudzie i Kaczyńskim?

– Nie. PiS moim zdaniem udaje sceptyka w stosunku do Unii i gra jej na nosie. Bruksela jest potrzebna PiS-owi, bo zawsze można na nią rzucić winę za swoje niepowodzenia. Dla wprowadzania dyktatury zawsze potrzebny jest wewnętrzny i zewnętrzny wróg. Może to być PO albo koronawirus, ale to nie wystarczy. Potrzebna jest także UE. PiS będzie przedstawiał wyborcom, że Unia jest „be”, ale kogoś, kto poważnie myśli o polexicie, będzie zwalczać z całych sił.

– Działal Pan z Korwin-Mikkem, jest Pan znanym orędownikiem wolnego rynku. Czy firmom, które nie radzą sobie z przetrwaniem podczas pandemii, państwo powinno pomóc czy też pozwolić im upaść?

– W większości przypadków to nie firmy nie radzą sobie z przetrwaniem podczas pandemii, ale rząd zakazał ich działalności lub wprowadził przepisy uniemożliwiające im działalność. Jeśli rząd – będący reprezentantem wszystkich – zrobił to w imieniu wszystkich, to dlaczego tylko te firmy mają zapłacić za dobrostan całego narodu? W takim przypadku wszyscy muszą się złożyć na te straty. Czyli tym firmom należy pomóc – z pieniędzy wszystkich podatników.

– W jaki sposób?

– Nie powinna to być pomoc jak leci – obejmująca także cwaniaków – ale odszkodowania dla wszystkich poszkodowanych firm, pracowników itp. Osobną sprawą jest to, że w przeciwieństwie do tego, co mówi rząd, to właśnie stan klęski żywiołowej reguluje tę sprawę, nakazując wypłatę odszkodowań za nakazy rządu powodujące straty. Stany nadzwyczajne nie tylko dają uprawnienia do wprowadzania restrykcji, które teraz są wprowadzane bezprawnie i często bez sensu, ale właśnie chronią obywateli przed bezprawnym ich krzywdzeniem.

- Z Pana strony internetowej wynika, że wpłacił Pan razem z żoną na swój fundusz wyborczy ponad 150 tys. zł. Podpowiedzieć Panu lepsze sposoby na zmarnowanie takich pieniędzy?

– Choć oczywiście szanse na zwycięstwo są bardzo małe, to jednak „Pan Bóg kule nosi”. Te środki idą przede wszystkim na możliwość po-informowania Polaków o złych stronach naszej przynależności do Unii Europejskiej. I dlatego niezależnie od wyniku wyborów pieniądze te wydałem na słuszny cel.

Rozmawiał MICHAŁ MARSZAŁ
michal.marszal@redakcja.nie.com.pl



Najbardziej popularna posłanka PiS na Śląsku jest jak Napoleon Bonaparte. Daje przykład, jak zwyciężać mamy.

Wzięcia i skuteczności Barbarę Dziuk może pozazdrościć nawet premier Morawiecki. W ostatnich wyborach startował w okręgu katowickim. Premierowi dokopał w Katowicach Borys Budka, który był lepszy o 1219 głosów, mimo że premier zorganizował w stolicy województwa śląskiego defiladę, obiecał miliardy i co chwila ogłaszał a to otwarcie Centrum Nauki, a to Centrum Alpinizmu.

W tych samych wyborach Dziuk startowała w bardzo ważnym okręgu gliwicko-tarnogórskim, gdzie za sprawą Jerzego Buzka Platforma Obywatelska jest potęgą. PiS przyznało jej dopiero 7. miejsce na liście. W trakcie kampanii Dziuk objechała wszystkie wiejskie festyny i bez trudu dostała się do parlamentu, ciągnąc partyjną listę w górę i sprawiając, że PiS ma tutaj aż czworo posłów.

Dziś, przy maszynie do szycia, Dziuk wspiera koronawirusa w jego walce z zastawianymi przez rząd pułapkami. Szyjąc maseczki z przepuszczającego patogen materiału, apeluje do wyborców, żeby biedakowi pomogli: „Sytuacja jest bardzo poważna. Sami musimy sobie poradzić, instruując się, aby zapobiegać nierozprzestrzenianiu się koronawirusa wśród mieszkańców okolicy, regionu i Polski”.

Jej zamieszczane na Facebooku przesłanie obejrzały już tysiące ludzi. Ktoś skomentował: „Jak na tak długi czas zamknięcia salonów kosmetycznych, piękne paznokcie”. Odpowiedziała: „Ja potrafię sama. Zawsze, całe życie sobie radziłam”.

Apolityczna skrzynka pocztowa

Tylko bardzo nieuważni obserwatorzy życia publicznego mogli uważać, że przewodnicząca parlamentarnego zespołu ds. *nordic walking* dopiero w kwietniu 2020 r. miała swoje 5 minut. Na facebookowym profilu zamieściła przedwiekanocne orędzie na temat bezpieczeństwa pocztowców: „W okresie epidemii koronawirusa życzenia świąteczne wysyłam online, ponieważ chronię pracowników Poczty Polskiej”.

Pod tym wpisem Anna T. zapytała: „A jak się to ma do głosowania korespondencyjnego?”.

Dziuk, która jako członkini PiS oczywiście głosowała za chorym po-

Tańcząca z kijami

Posłanka z PiS-u ciut poniżej średniej parlamentarnej.



mysłem partii, odpowiedziała: „To są dwie różne sprawy”.

Wpis był szeroko i głośno komentowany. Dziuk zarzucono zakłamanie oraz hipokryzję. W zasadzie nie powinna się tym przejmować, gdyż po obu tych cechach rozpoznać można rasowego polityka.

Nie wiedzieć czemu Dziuk swój wpis jednak usunęła. Pozostał inny – z tego samego dnia: „Pójdzie na wybory bezpieczniejsze niż obecnie chodzenie do sklepu na zakupy”. Pod spodem zamieściła link do artykułu zaczynającego się następująco: „Straszenie Polaków zagrożeniem życia przy wyborach to błaga”.

Proste czynności biurowe

Ktoś mógłby pomyśleć, że Dziuk jest wirusologiem, epidemiologiem lub przynajmniej lekarzem. Nic podobnego. Wykształcenie wyższe zdobyła w wieku 39 lat. W 2007 r. stała się ekonomistką dzięki Wyższej Szkole Zarządzania i Administracji w Opolu. Szkoła ma filię w Tarnowskich Górach, gdzie Dziuk mieszka. Za semestr nauki trzeba zapłacić 1,7 tys. zł.

W tamtym czasie Dziuk była dyrektorką biura posłanki Nelli Rokity w Tarnowskich Górach. Odbierała telefony, umawiała spotkania, przeglą-

dała korespondencję. Zajmowała się prostymi czynnościami biurowymi. Miała bardzo dobre serduszko, wrażliwe na nieszczęście innych. Zajmowała się różową wstążeczką – organizowała marsze kobiet ostrzegających inne kobiety przed możliwością zachorowania na raka piersi.

Różowa wstążeczka zaciągnęła ją do PiS. Do koła powiatowego partii w Tarnowskich Górach przyjmował ją starosta Józef Burdziak, którego potem wyrzuciła z PiS. Już jako posłanka złożyła wnioszek do centrali PiS w Warszawie, aby wydano go z partii. Co się stało na wiosnę 2016 r.

Przejrzysta mapa geodezyjna

Jako powiatowa działaczka PiS Dziuk otrzymała propozycję kandydowania do sejmiku województwa śląskiego. Dyrektorka biura Nelli Rokity była wygadana i ludzie ją znali. Już jako radna wojewódzka chwyciła za papier firmowy sejmiku i do wójta Zbrosławic napisała pismo z wnioskiem o przekształcenie pewnej działki rolnej na budowlaną. Wójt jej uwagi odrzucił. Argumentował, że nie była właścicielką ziemi, nic więc jej do tego. Lokalna prasa zarzuciła Dziuk nieczyste intencje i twierdziła, że atak ma kontekst polityczny. W tym czasie Dziuk była

już pisowską kandydatką do Sejmu. Centralne Biuro Antykorupcyjne sprawę działki przekazało prokuraturze w Tarnowskich Górach i policji. Policja wezwała autora doniesienia, 86-letniego zatwardziałego działacza PiS, na przesłuchanie. W komendzie zobaczył prawniczkę reprezentującą Barbarę Dziuk. Funkcjonariusz oznajmił, że prawniczka ma uczestniczyć w przesłuchaniu i będzie zadawać pytania.

„Chuja mi zrobicie i stąd wychodź” – powiedział i wyszedł.

Na tym sprawa się zakończyła.

Zakasane rękawy

Po wyborze na posłankę Dziuk zażądała od starosty tarnogórskiego, aby prezesowi szpitala powiatowego podwyższyl pensję z 10 do 15 tys. zł brutto. Napisała nawet oficjalne pismo – na papierze poselskim. Wówczas szpital miał olbrzymie długi i deficyt 8,5 mln zł. W szpitalu trwał spór zbiorowy, bo pielęgniarki i położne również domagały się podwyżek. Żądały dodatkowych 500 zł brutto dla tych, które zarabiałły poniżej najniższego ówczesnego wynagrodzenia wynoszącego 1750 zł. Przyniosły do starosty 250 takich wniosków.

W Sejmie Dziuk miała sporo dokonkań. Podnosiła ręce za wszystkimi pisowskimi projektami. Poparła zakaz handlu w niedziele. Czepiała się jej o to właściciela sklepów z okręgu wyborczego posłanki.

„Ja też kiedyś byłam bezrobotna i ludzie nie mają się użalać nad sobą. Niech zakasają rękawy i sobie znajdą inną pracę” – odpowiedziała posłanka.

13 lutego 2020 r. doszło do zamachu. Dziuk zaatakowano różową wstążeczką. Złośliwy Senat odebrał telewizji rządowej przyznane przez Sejm 2 mld zł i przeznaczył na leczenie nowotworów. Wspomnianego dnia posłanka podniosła rękę za odrzuceniem senackiej poprawki do budżetu. Lokalny społecznik i samorządowiec Michał Sporoń wytknął jej to publicznie: „Organizuję w Tarnowskich Górach huczne marsze różowej wstążeczki. To hipokryzja – bo w trakcie głosowań nad budżetem państwa opowiedziała się za przekazaniem 2 mld zł na TVP zamiast na zwalczanie i leczenie nowotworów”.

Oddział udarowy

Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Tarnogórskiej doprowadziło do tego, że zabytkowa kopalnia srebra została

wpisana na listę światowego dziedzictwa kulturowego UNESCO. Dziuk ogłosiła swoje kolejne zwycięstwo: „Decyzja o wpisaniu 28 pogórnich zabytków na listę światowego dziedzictwa UNESCO to oczywiście sukces Polski i naszego regionu, ale także mój osobisty”.

Stowarzyszenie wydało oświadczenie: „Dołączenie do grona najważniejszych zabytków świata to sukces nas wszystkich tarnogórzan. Pani również nam kibicowała, ale proszę nie podpisywać się pod naszą pracą”. Prezes stowarzyszenia napisał: „Jest Pani jedną z nielicznych osób publicznych, która nam do tej pory nie pogratulowała”.

Innym razem posłanka poinformowała: „Dzisiaj przeżyłam wspaniały koncert Piotra Polka na rzecz powiatowego Szpitala Wielospecjalistycznego nr 3. Bardzo ważna sprawa, ponieważ moim staraniem, wspólnie z NFZ, mam nadzieję, że już niedługo otworzymy oddział udarowy”.

Lokalny społecznik Sławomir Głaz poczuł się w obowiązku, aby odpowiedzieć: „Patrząc, czytam i oczom nie wierzę. Pododdział udarowy w zasadzie zaczął już powstawać. W swoim krótkim poście nie wspomniała Pani, że to tylko i wyłącznie dzięki inicjatywie Stowarzyszenia Na Zdrowie, na czele z Beatą Poprawą, pododdział ten powstanie. Fotografując się na tle naszego banera, doskonale Pani zdaje sobie z tego sprawę”.

Szczodra maszyna drukarska

W styczniu 2020 r. Dziuk wystąpiła z projektem godnym tytułu magistra ekonomii. Zaproponowała, aby Narodowy Bank Polski wyemitował nowy banknot.

Na 500-złotowym jest król Jan III Sobieski. Posłanka postuluje, aby na kolejnym banknocie pojawił się Lech Kaczyński.

Banknot miał się ukazać w tym roku ze względu na 10. rocznicę katastrofy smoleńskiej. Dziuk przewidziała epidemię, krach gospodarczy, tarczę Morawieckiego i rosnącą inflację. Tego, czy banknot będzie o nominale 1000-złotowym, a może wyższym, na razie nie wiadomo.

MATEUSZ CIEŚLAK
mcieslak@redakcja.nie.com.pl



To nie jest kraj dla młodych ludzi.

Pisięta



Bohaterem zbiorowej wyobraźni opozycji stał się pisowski ministerialny narybek w wieku niematuzałomowym. Podstawową winą dwojga nowych wiceministrów finansów, Piotra Patkowskiego oraz Anny Chałupy, jest ich wiek. Drugą zbrodnią jest niewyjąciowy wygląd. Kryteria oceny godne rozgromienia PiS w kolejnych wyborach. Opozycja po raz kolejny w zwalczaniu PiS sięga po metody, które normalnie zwalczą nie mniej zaciekle niż Kaczyńskiego.

Aniołek Morawieckiego. Zdjęcia Piotra Patkowskiego (rocznik 1991) – nowego rzecznika dyscypliny finansów publicznych – młodzieńczo wyglądającego blondyna z charakterystyczną zaczeską, obiegły media społecznościowe lotem błyskawicy. Specyfiką internetu są szybkie reakcje, błyskotliwe riposty i wymyślne porównania. Zanim więc większość z komentujących zapoznała się z biogramem wiceministra juniora, zdążyli już na podstawie fizjonomii ocenić jego kompetencje, zasugerować erotyczną ścieżkę kariery i skonstatować, że „skoro tacy ludzie rządzą w Polsce, to jak ma być dobrze...”. W kilka godzin nikomu nieznany młodzieniec zafunkcjonował w obiegu jako nazista, gej, gamoń, maskotka czy Harry Potter. Niewykluczone, że coś z tego jest prawdą, ale dowiedzieć się tego można po więcej niż 5-sekundowym researchu polegającym na obejrzeniu fotografii. Niektórzy psychologowie twierdzą, że na zrobienie pierwszego wrażenia mamy zaledwie 11 sekund. Potem już zawsze będziemy według tego wrażenia sądzić. Wiceminister Patkowski w 11 sekund został obejrzany, oceniony, skomentowany, przerobiony i puszczony dalej w internetowy świat.

Gdy już ucichły gromkie chichoty z powodu młodzieńczego wyglądu nowego urzędnika w Ministerstwie Finansów, pojawiły się pierwsze nieśmiałe głosy, że może to jednak nie do końca fair tak wyśmiewać w sumie niewinnego chłopaka. Począto więc grzebać w jego biografii, aby na papierze znaleźć dowody niekompetencji. Dziennikarze śledczy przetrzepali profil na Facebooku. Okazało się, że niespełna 30-letni minister polajkował takie profile jak „Jebać vegetarian i Wegan 2: Weterani Mięsnej Krucjaty” czy „Gardzę studentami gdziekolwiek jestem”, co może akurat sugerować dobrą orientację w *social mediach*. Poważniejsi komentatorzy wzięli na warsztat argumenty poważniejsze. To, że nie posiada wykształcenia ekonomicznego (jest prawnikiem), rzeczy-



Patkowski



Chałupa

wście może przemawiać przeciwko jego kandydaturze na specjalistę od finansów. Choć są i tacy, co twierdzą, że astrologię wymyślono po to, żeby ekonomia wyglądała przy niej na poważną naukę.

Skorupka Petru. „Czy w wieku 28 lat można być takim ekspertem w dziedzinie finansów, z doświadczeniem i dorobkiem zawodowym, który uzasadniałby powołanie na stanowisko wiceministra finansów? Czy w czasach kryzysu ekonomicznego wywołanego #koronawirus ta nominacja Was uspokoiła?” – pytała na Twitterze Katarzyna Lubnauer. W ustach czy też z klawiatury ust byłej przewodniczącej Nowoczesnej słowa te pobrzmiwają niczym przytyk w stronę byłego szefa Ryszarda Petru. On też przed trzydziestką został asystentem Leszka Balcerowicza. Przeglądając się finansom Nowoczesnej oraz skutkom reform Balcerowicza, rzeczywiście można nabrać podejrzeń, że osoba w tym wieku nie może być ekspertem w dziedzinie finansów. Sama posłanka Lubnauer nie ma pod tym względem czystego sumienia. Szefem jej biura poselskiego był aktualny łódzki radny Koalicji Obywatelskiej Damian Raczkowski, lat 27. Po jednej stronie mamy więc młodych, ambitnych i pięknych, po drugiej niekompetentnych sługusów partii, których mianuje się

młodo, aby zyskać dożywną lojalność i psia wierność. Do tego pewnie homoseksualiści, naturalnie.

„Ten chłopiec wślwił się przed dwoma laty w Lublinie nadzorowaniem Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej prof. Jerzego Kłoczowskiego, skąd wyrzucano wtedy m.in. prof. Mirosława Filipowicza, Rafała Wnuka i mnie. Nasza ówczesna księgowa instytutowa relacjonowała nam swoje z nim rozmowy o budżecie Instytutu i o tym, co to w ogóle jest takiego ten budżet” – przypominał się Markowi Radziwonowi. To, że absolwent prawa nie wiedział, co to jest budżet, jest równie prawdopodobne jak opowieści Magdaleny Ogórek na Twitterze o tym, że przypadkowi ludzie na ulicy zaczepiają ją i wylewnie dziękują za działalność medialną i naukową. Z anegdotami jednak trudno polemizować. Zwłaszcza gdy przebijają przez nie żal po utraconej fusze.

W tle oczywiście pojawiały się porównania do Misiewicza i Jannigera – pupilków Antoniego Macierewicza. Nie zabrakło aluzyjnych napomknęć, że ministrowie Kaczyńskiego mają tendencję do dobierania sobie cherubinków na współpracowników. W innych okolicznościach takie homofobiczne zaczepki są wprawdzie niedopuszczalne, ale jeśli idzie o dosranie PiS-owi, to wszystkie chwytły dozwolone.

Cynamonowa Chałupa. Oberwało się też, choć nieco łagodniej, drugiej wiceminister finansów powołanej przez Morawieckiego. Jako że ta karta dobrze szła, wdzięcznym obiektem drwin została Anna Chałupa. Niemal 10 starsza od Patkowskiego (rocznik 1983), ale nadal nie dość posunięta w latach i zaawansowana w atrakcyjności dla wymagających komentatorów. Ona wprawdzie jest po ekonomii, ale zgubiła ją prywatne pasje. „Od 1999 działała w Stowarzyszeniu Harcerstwa Katolickiego »Zawisza«. Przez 7 lat drużynowa 2. Drużyny Bolesławieckiej św. Anny, była szefowa środowiska bolesławieckiego i Ogniska św. Klary. Jeszcze niedawno asystentka komendantki chorągwi dolnośląskiej ds. zielonej gałęzi i asystentka namiestniczki harcerek. Prywatnie pasjonatka gór, kuchni i kultury włoskiej. Wielbicielka gitary, cynamonu, Kubusia Puchatka, nocnych rozmów i szeroko pojętej komunikacji międzyludzkiej. Z natury optymistka, marzyciel, śpioch, zbieracz rzeczy wszelakich, a zwłaszcza papierków od czekolady, ulotek filmowych i ulubionych książek” – taką wizytówkę przygotowała dla odwiedzających jej media społecznościowe. Po takiej introdukcji uznana została za infantylną i niegodną stanowiska, bo

kto to słyszał, żeby wiceminister jarał się Kubusiem Puchatkiem i zbierał papierki po czekoladzie?

Dzieci Kaczyńskiego. Nominacje Patkowskiego i Chałupy przykryły nawet transfer współzałożyciela CBA Ernesta Bejdy do PZU. Nie można wykluczyć, że to cyniczna zagrywka wierzuszki partii, która rzuciła opinii publicznej na pożarcie żółtodzioby, żeby odwrócić uwagę od innych decyzji. Jaka jest polityka kadrowa PiS – każdy widzi. „Korupcja, nepotyzm, koleśnictwo” – piętnowane przez Jarosława Kaczyńskiego w czasach rządów PO – stały się standardem jego decyzji personalnych. Nie ma co się spodziewać, że z młodych pisowców na służbie Morawieckiego wyrosną mężowie stanu, ale to nie wiek o tym stanowi. W tym otoczeniu nawet najuczciwszy młokos prędzej czy później stanie się jak reszta pisowców. Upadek Misiewicza nie był spowodowany metryką, ale ciągłkami do wątpliwych etycznie i politycznie zachowań, co jest przypadłością działaczy w każdym wieku. Jako że zwalczanie dobrej zmiany powinno być nadrzędnym celem każdego normalnego Polaka, to i narzędzia trzeba dobierać takie, by samemu nie narazić się na śmieszność.

To pisałem ja, niespełna 28-letni

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com



Kierownik zarazków

Na pierwszej linii frontu walki z zarazą stoi facet zamieszany w aferę łapówkarską, który twierdził, że koronawirusa nie należy się obawiać.

Jarosław Pinkas jest Głównym Inspektorem Sanitarnym od 2018 r. Wcześniej był wiceministrem zdrowia i ministrem w kancelarii premiera. W lutym 2020 r., gdy epidemia w Chinach rozpętała się na dobre, a polski wywiad alarmował rząd o nadciągającej epidemii, Pinkas przekonywał, że zagrożenie jest bliskie zera.

„Z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że Polsce nie grozi żadna epidemia. Oczywiście należy spodziewać się przypadków zachorowań, ale proszę być spokojnym, trzymamy rękę na pulsie” – mówił w „Gazecie Polskiej Codziennie”.

Na kilka dni przed wykrzykiem pierwszego przypadku koronawirusa w Polsce szef GIS mówił portalowi DoRzeczy.pl: „Polacy to mądry naród, który potrafi czytać i wyciągać wnioski. Polska wie, że na stronie GIS oraz Ministerstwie Zdrowia są pełne informacje traktujące o tym, iż koronawirusa w naszym kraju nie ma. Wirus, który jest przedmiotem naszej rozmowy, może zostać zniwelowany jedynie wiedzą i rozsądkiem, których nam nie brakuje. Dlatego apeluję: spokój, spokój i jeszcze raz spokój”.

Z kolei politykom opozycji, którzy wskazywali na nieudolność służb państwowych w walce z zarazą, Pinkas radził, aby „włożyli sobie łód do majtek”, lekarzom zaś alarmującym o nieprzypotowaniu szpitali – aby „zmienili szpital”.

Nie wiadomo natomiast, czym się kierują, bo raczej nie rozsądkiem, podwładni szefa sanepidu, którzy nakładają gigantyczne kary wedle własnego widzimisię: 12 tys. zł za jazdę na rowerze po zamkniętym bulwarze, 12 tys. zł za spacer w niedozwolonym miejscu, 10 tys. zł za picie piwa w parku czy 5 tys. zł za bieganie po ulicach. Ulgo (karą 10 tys. zł) potraktowany został ksiądz, który w Sromowcach zorganizował mszę dla 60 osób, ryzykując ich życiem i zdrowiem.

Od jakiegoś czasu Główny Inspektor Sanitarny milczy jak zakłęty, choć powinien nadal uspokajać przerażonych Polaków. Siedzi jednak cicho, gdyż po kompromitujących wystęпах medialnych podobno dostał zakaz wypowiadania się.

Pinkas nie nadaje się do zajmowania tak odpowiedzialnego stanowiska nie tylko dlatego, że brakuje mu pokory i zdolności do trzeźwej oceny sytuacji, ale także dlatego, że ciągnie się za nim niewyjaśniona afera łapówkarska. Gdyby sprawa dotyczyła polityka opozycji, PiS krzychałoby o gigantycznym skandalu i układach mafijnych.

W 2008 r. na polecenie prokuratury Pinkas został zatrzymany przez Agen-



Rys. TOMASZ WIATER

cję Bezpieczeństwa Wewnętrznego (ABW) i decyzją sądu trafił do aresztu w związku z podejrzeniem przyjmowania łapówek od firmy zajmującej się diagnostyką laboratoryjną.

Sprawa dotyczyła okresu, gdy Pinkas był zastępcą dyrektora Instytutu Kardiologii w Warszawie.

Według prokuratury przytulił co najmniej 55 tys. zł i wieczne pióro o wartości 3 tys. zł

w zamian za m.in. ułatwienie spółce wygrania przetargu w instytucje.

Pinkas zaprzeczał, że brał łapówki. Potwierdził jedynie znajomość z przedstawicielami firmy oraz to, że dostał od nich drogie pióro na urodziny, które traktował jako formę „odwdzięczenia się ludzi, którzy byli traktowani jako przyjaciele, byli partnerami w zarządzaniu instytutem, bo przejęli laboratorium”. Wyznał, że dostał od nich jako „dowody sympatii” kolejne pióro „Visconti” i 2 bilety na koncert.

W 2015 r. Pinkas został nieprawomocnie uniewinniony. Prokuratura nie pogodziła się z takim wyrokiem. Sąd apelacyjny (który wytknął liczne błędy sądowi pierwszej instancji) nakazał powtórzenie procesu. W lipcu 2016 r., gdy miał się on rozpocząć na nowo, niespodziewanie na rozprawie prokurator Krzysztof Chojnacki, ten sam, który oskarżał i złożył apelację, zachował się w sposób irracjonalny i wycofał akt oskarżenia wobec Pinkasa. Sąd w tej sytuacji nie miał innego wyjścia, jak tylko umorzyć sprawę, a Pinkas mógł rozpocząć życie z czystą kartą.

Co ciekawe, prokurator Chojnacki nie podzielił losu innych prokuratorów, którzy prowadzili śledztwa przeciwko politykom PiS, i nie został zdegradowany przez Ziobrę. Przeciwnie, mianowano go prokuratorem Prokuratury Regionalnej w Łodzi i delegowano do łódzkiego Wydziału Prześiępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej.

ANDRZEJ SIKORSKI
NIE@redakcja.nie.com.pl

Nie sprowadzisz do Polski lekarstwa na koronawirusa, nawet gdyby takie było. Urzędnicy odeślą je z powrotem.

Pod koniec marca zelektryzowała wszystkich informacja, że jest lek na chińską zarazę. Lek powstał, aby leczyć reumatyzm i młodzieńcze zapalenie stawów. Nazywa się Actemra, produkuje go szwajcarski koncern Roche.

Roche ogłosił, że leczenie Actemrą przyniosło interesujące efekty. Eksperymentalną terapię przeprowadzono w Chinach oraz we Włoszech.

Chińska Narodowa Komisja Zdrowia potwierdziła bardzo dobre efekty leczenia chorych na COVID-19 szwajcarskim lekarstwem. Zachwyty płynęły również z Włoch. L'Agenzia Nazionale Stampa Associata przekazała, że podanie Actemry dwóm ciężko chorym przyniosło znakomite wyniki.

Actemra dostępna jest również w Polsce. Należałoby raczej stwierdzić, że była. Agencja Oceny Technologii Medycznych już w 2010 r. zarekomendowała Narodowemu Funduszowi Zdrowia refundację tocilizumabu – substancji czynnej Actemry. Od tej pory był on zapisywany pacjentom z reumatyzmem.

RoActemra (pod taką nazwą występuje lek w naszym kraju) teoretycznie więc powinna być do kupienia w polskich aptekach. Lecz pytani o nią farmaceuci bezzadnie rozkładają ręce.

Pan Leszek ma znajomego profesora w Zurichu. Tak się składa, że Zurich to miasto szwajcarskie, tak jak Roche. Profesor prowadzi własną klinikę i nie tylko może wypisać receptę na Actemrę (do zrealizowania w szwajcarskiej aptece), ale nawet Actemrę ma w lodówce.

Pan Leszek cierpi na ciężką postać cukrzycy, jest więc w grupie wysokiego ryzyka. Gdy profesor oznajmił, że może panu Leszkowi sprzedać Actemrę za równowartość 800 zł, pan Leszek nie wahał się ani chwili.

Profesor z Zurichu powiedział panu Leszkowi, że sprzeda mu tylko jedno opakowanie leku, wstrzykiwanego dożylnie. Gdy koronawirus zaczął panu Leszka podgrzewać od wewnątrz, dusić i zmuszać do kasłania, pan Leszek wyjmie z pudełka strzykawkę z żółtawą zawartością, walnie sobie zastrzyk i całkiem możliwe, że koronawirusa unicestwi. Jak w rosyjskiej ruletce – strzelić można raz tylko, ale za to skutecznie.

Prawo unijne i polskie pozwala każdemu z nas na sprowadzenie do kraju pięciu dawek lekarstwa na własny użytek, bez urzędowych zezwoleń.



Rys. TOMASZ WIATER

Lekarstwo korespondencyjne

Jedzie się autem za granicę, kupuje lekarstwo i wrzuca do bagażnika.

Plan taki w czasach epidemii mógłby się powieść, pod warunkiem że po przekroczeniu każdej granicy odbędzie się 2-tygodniowa kwarantanna. Wyprawa do Szwajcarii po Actemrę w najlepszym razie trwałaby 4 tygodnie w jedną stronę i 4 w drugą.

Na szczęście są samoloty. Pasażerskie nie latają, ale pocztowe owszem. Pan profesor był tak miły, że zapakował Actemrę do koperty i wysłał do Polski, korzystając z usług firmy kurierskiej. Wkrótce koperta wylądowała w podkatowickich Pyrzowicach. Po czym równie szybko odleciała z powrotem.

Firma kurierska doskonale wiedziała, co zawiera przesyłka. Zawartość została opisana w liście przewozowym. Nadawcą był Swissmedical Center. Firma przewiozła ją do Polski, kasując za to opłatę. Następnie odesłała do Szwajcarii, również pobierając za to pieniądze. Pana Leszka poinformowano, że sam sobie jest winien, iż lekarstwa nie dostał. Przepisy, których na okres stanu epidemii nikt przecież nie zawiesił (bo po co), każdemu pozwalają przewieźć z zagranicy 5 opakowań leku. Ale ściągnąć go za pośrednictwem poczty nie wolno.

W Urzędzie Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych jest jeden mały pokóik, w którym wydaje się jednorazowe zezwolenia dla takich ludzi jak pan Leszek. Gdyby je miał, mógłby odebrać lek nadesłany pocztą. Ale pan Leszek nie zadzwonił się do pokoiku. Być

może dlatego, że dając dobry przykład, resort zdrowia, któremu urząd podlega, rozesłał większość urzędników do domów i kazał im pracować zdalnie.

Pan Leszek wkurzył się nie na żarty. Chodzi o jego życie. Zamówił ekspertyzę prawną. Dowiedział się, że jeszcze 26 lutego (gdy epidemia dotarła do Europy) Ministerstwo Zdrowia wydało komunikat: „Zasady wwozu (przywozu) leków do Polski w ilości odpowiadającej 5 najmniejszym opakowaniom odnoszą się wyłącznie do osobistego działania osoby przywożącej, tzn. dotyczy to tylko przypadku dokonania samodzielnego przewiezienia przez granicę do Polski. Przedmiotowe uprawnienie nie obejmuje stanów faktycznych odnoszących się np. do przesyłek pochodzących z zagranicy (przeznaczonych dla klientów w Polsce w wyniku np. złożenia przez nich zamówienia na leki w zagranicznej aptece internetowej albo na portalu zakupowym). Przywóz produktów leczniczych za pośrednictwem usług kurierskich czy pocztowych nie mieści się w zakresie semantycznym pojęcia »przywóz« ani też nie gwarantuje spełnienia przesłanki »na własne potrzeby«, gdyż weryfikacja powyższego nie jest wówczas możliwa”.

Przepis jest idiotyczny i uzasadnienie jego stosowania też jest idiotyczne. Ale najgorsze ze wszystkiego, że w czasach, gdy ludziom nie wolno pojechać za granicę, nie zawieszono obowiązywania idiotycznej regulacji.

MATEUSZ CIEŚLAK
mcieslak@redakcja.nie.com.pl

Katarzyna S. mieszka na warszawskim Mokotowie. W kamienicy mieszkali jeszcze jej rodzice. Zna sąsiadów od dziecka. Taśmowo pisze im różne pisma urzędowe. Lubi ich. Lubiła.

...

Katarzyna S. jest adwokatką. Z pochodzenia jest Serbką i każdy nowy rok rozpoczyna w Belgradzie. Nowy rok 2020 też witała tam razem z mężem i z dziećmi. Do Warszawy wrócili 3 stycznia. O koronawirusie nikt jeszcze wówczas nie słyszał.

17 marca do jej drzwi zapukał gość z sanepidu – po ponad dwóch miesiącach po powrocie z zagranicy... Wypytywał o grudniowy pobyt w Serbii. Mówił, że sąsiedzi dzwonili. Nakazał 2-tygodniową kwarantannę. Testów im nie zrobiono, bo nie wyglądali na chorych.

Siedzieli w domu. Pod koniec odosobnienia znów pojawił się gość z sanepidu. Stwierdził, że trzeba zrobić

Sąsiad cię odkazi

Wirus nie jest taki zły. Wyzwała w suwerenie taką troskę o bliźniego, że nic, tylko pisać donosy.

test. Dopóki nie będzie wyników, nie mogą wyjść z domu. Nie wychodzili. Po tygodniu okazało się, że wynik jest negatywny. Sanepid jednak stwierdził, że badanie musi być dwukrotne. Czekali jeszcze tydzień.

Gdy kolejny test wyszedł negatywny, kobieta poszła do sklepu. Pierwsze od dłuższego czasu samodzielne kupowanie ziemniaków sprawiło jej przyjemność. Zanim doszła do windy w kamienicy, dobiegli do niej panowie w białych kombinezonach. Po tym, że zachowywali się wyjątkowo chamsko, wynioskowała, że to policja. Nikt o nic nie pytał; wrzucili ją do oznakowanego samochodu i zawieźli



Rys. TOMASZ WIATER

do szpitala na oddział zakaźny. Po drodze spisali notatkę i poinformowali, że trafi na 3 lata do więzienia, bo celowo naraziła innych na zakażenie. Tłu-

maczenie nic nie dało. Katarzyna S. została na oddziale zakaźnym, aż do uzyskania wyniku. Po trzech dniach wróciła do domu.

Od tamtej pory Katarzyna S. albo jej mąż, wychodząc do sklepu czy do apteki, byli za każdym razem zatrzymywani, zanim wrócili do domu. Wystarczyło, że któreś opuściło mieszkanie, zaraz jakiś sąsiad dzwonił na policję albo do sanepidu – że przerwali kwarantannę.

Każde kilkakrotnie trafiło na oddział zakaźny w szpitalu, gdzie na szczęście po dwóch zatrzymaniach ich zapamiętano i nie zrobiono im kolejnego testu.

Za każdym razem donos obywatelski składał inny sąsiad.

...

Bożena T. z warszawskiego Grochowa ma dwóch synów, dwie synowie i czworo wnucząt. Święta zwykle spędzali razem. W tym roku Bożena zdecydowała, że wszyscy zostaną w swoich domach. Nie oznacza to, że świąt nie organizuje. Synowie mają odebrać od niej mazurki, sałatkę jarzynową i obiad – jaki zwykle robiła na

Dialogi dam w drodze do kościoła

Daniszevska: – Zdziwiona czym, Wołku? Że jesteś taka stara czy że dożyłaś?

Wołk-Łaniewska: – Nie, dożyć to zawsze miałam zamiar. W odróżnieniu od mojej mamusi, która będąc nastolatką, postanowiła popełnić samobójstwo w swoje 30. urodziny, bo po co starcom żyć na świecie. Tylko jakoś mnie zdziwiło, że to tak szybko...

– Nie chcę być niemila, ale ta egzystencjalna refleksja jakoś do ciebie nie pasuje. Ale wszystkiego najlepszego tak czy inaczej.
– Dzięki.

– Przechodząc dalej: wyobraź sobie, Wołku, co mi się przydarzyło. Przez 3 tygodnie leżałam w wyrze. Stękałam i użalałam się nad sobą.
– To akurat do ciebie pasuje...

– Uroczą jak zwykle... Widzę, że podeszły wiek nie łagodzi twojego charakteru. Łysy uciekł ode mnie pod telewizor z jakimś gównem. Kupiłam sobie nawet pieluchomajtki, bo wygrzebywać się spod kołderek, kocyków, kotów i psów nie jest ani łatwo, ani szybko. Aż tu poprzedniej niedzieli otwieram oczy, a nade mną stoi jakiś facet. Nieco się zdziwiłam...
– I zakładałam, że ten mężczyzna nad twoim łóżkiem to nie był twój mąż?

– Otóż to. Morda u niego żydowska, włosy skundlone. Zdziwienie moje było tym większe, że wspomniany przez ciebie mąż nikogo na teren nie wpuszcza.
– Rozumiem, że nadal mówisz o facecie? Poznałam po wzmiance o włosach...

– Ubrany w coś na kształt worka. Nawet się nie zdenerwowałam, bo wyglądał miło. Nie dostawiał się, tylko patrzył. No to ja na niego też. No i tak byśmy na siebie patrzyli do usranej śmierci, gdyby nie zagadnął. – Chodź, Daniszevska, zmartwychwstajemy. – A dla czegoż to? – pytam rezolutnie. – Wielkanoc była tygodnie temu. – Bo dzisiaj jest niedziela i pora zmartwychwstać – odparł.
– Był czarny?



– Jaki?
– Ciemnoskóry? Smagły chociaż? No wiesz, ten facet, który wypromował modę na niedzielne wstawanie, był raczej czarniawy, choć przeważnie domalowują mu blond włosy i błękitne oczęta...

– A jaka to różnica, jaki był?
– Nie wiem, tak się dopytuję z czczej ciekawości. Nigdy nie spotkałam Jezusa...

– To akurat wszyscy wiedzą, pomimo że szatański. Mój Jezus okazał się pożyteczny. Zwlekłam się z wyrażenia i tak powstały dialogi w weszłym tygodniu. W tym tygodniu już



go nie było, ale woła pracy pozostała. Mało tego: poczucie winy, jeśli się nie zagadnie do ciebie.

– Wobec mnie?

– Chyba kpisz! Kto by się tam tobą przejmował? Wobec Czytelników, oczywiście. Wiesz przecież, że nie ma nic gorszego niż poczucie winy. Staram się go nigdy nie mieć.
– Wina jest jak worek cegieł. Wystarczy go jebnąć na ziemię.

– Słucham?

– Tak mówi Szatan. A dokładnie Al Pacino w roli Szatana, ale dla mnie te dwie postacie już zawsze pozostaną nierozdzielnie ze sobą splecione. Bo pomyśl: skoro Jezus jest wysokim szczupłym błękitnookim Aryjczykiem, to Szatan musi być mały czarniawy kolesiem o urodzie śródziemnomorskiego kieszonkowca...

– Trochę mnie niepokoją twoje religijno-estetyczne przemyslenia. Ale rozumiem, skąd to się bierze: nie da się nie gapić w telewizor. Ponieważ regały z książkami się już znudziły, okazały się też wtórne, bo ty je też śledziłaś, zaczęłam przyglądać się twarzom. Przyglądać się, bo słuchać nie ma o czym. Wszyscy mają to samo do powiedzenia. I tu odkryłam rzęsy. Matko nieistniejącego, co one sobie na te oczy przyklejają! Swego czasu miałam śmieszne przeżycie. Córkę moja urodziła się z długimi rzęsami. Po tatusiu. Wchodzę kiedyś do łazienki, a ona nożyczkami do paznokci skracając sobie te rzęsy. Okazało się, że jej przeskakują w patrzniu. Może nawet do dzisiaj skracają. Na pewno sobie tego gówna nie przykleja. A teraz od bazaru do tafałnu sztuczne kotary coraz dłuższe i coraz bardziej zakręcone.
– Russian volume.

– Co?

– Tak się to nazywa – „russian volume”. To wtedy, gdy do jednej własnej rzęsy dokleja się 15 sztucznych. Taki wachlarzyk, ale w sumie daje efekt raczej żaluzji antywłamaniowej.

– Ja na ten widok dostaję dreszczy. Nawet pomalować rzęs nie mogę, bo natychmiast rozmazuję je po całej twarzy. Swego czasu poznałam miłą, zwariowaną, atrakcyjną dziewczynę. Dzisiaj widzę napompowanego botoksem hipopotama, twarz jej chciałaby pęknąć.
– Botoksem się nie pompuje. Botoks to toksyna botulinowa, czyli jad kiełbasiany, który wstrzykuje się w różne miejsca, po to żeby sparaliżować nerwy i osłabić mimikę, wobec czego nie robią się zmarszczki. To coś od pompowania to kwas hialuronowy.

– Co ty powiesz?

– Powiem, bo wiem. Dawno nie robiłam i mam transeje na czole, a pięćdziesiątka za pasem...

– Do tego lwia grzywa na głowie.

– U kogo? U mnie?

– E tam, ty zawsze taką miałaś, przyzwyczaiłam się. U wzmiankowanej zwariowanej, a teraz napompowanej. Kto to wytrzyma! Ja to sobie sama obcinam włosy: raz krócej, raz dłużej, w miarę psychicznej potrzeby. Swoich się brzydzę, a co dopiero cudzych. Jak w tym spać! No i te rzęsy... Mało że przyklepione, to jeszcze oblepione tuszem.

– A weźże ty się odpierdol od cudzej urody! Co ci zawadza, że se kobita żaluzję na oko przyklei albo usta nadmie do rozmiaru sterowca? Jej ryj czy twój?

– Ale nos mój. Mój nieżyjący przyjaciel Zdzisio Ambroziak przyleciał kiedyś do mnie ze skargą. – Te baby perfumują się litrami! Czy one sądzą, że faceci nie mają nosów?

– Ty, no ale przez telewizor nie czujesz, czym się one polewają. A poza tym te, co się obklejają, obstrzykują i oblewają, przeważnie także się myją. Takie czasy nastały.

– A taki sztuczny włos jak wpadnie do zupy! Przez te loki nawija się makaron. Wystarczy posypać parmezanem.

– Uszanujcie, typy głupie, siwy włos kucharzki w zupie.

– A to co?

– Taki wierszyk, który mój tatuś wyniósł ze swojej sportowej młodości.

– Uroczy. O koronawirusie nie będziemy rozmawiały, bo wiemy tyle, co wszyscy, czyli gówno.

– Ala ja muszę o maseczkach!



– O czym?

– O maseczkach. Maseczki szybko wyśfrowują się na prowadzenie w moim osobistym rankingu słów. Już się zrównały z pieniżkami. Kurwa, czy ci kretyni – mam na myśli naszych kolegów po fachu – nie czują, że śmiertelne oburzenie brakiem „maseczek” brzmi kompletnie niepoważnie? Brakiem „środków ochrony osobistej” – to rozumiem, ale „maseczek”? A najbardziej mnie ucieszyło, gdy wyszło na jaw, że władzuchna nasza ukochana w lutym pogoniła po dychu 63 tys. całotwarzowych masek neoprenowych, takich przyłbic ze szklanym ekranem, filtrem w formie trąby i systemem uprząży całkiem jak z fantazji BDSM – i dziennikarze też ogłosili, że rząd sprzedał „maseczki”.

– À propos: o wyborach też nie będziemy rozmawiały, niech sobie rządzą, ile chcą. A facet z dupą zamiast twarzy może zostać nawet królem. Mam to w dupie. W każdym razie w pocztowych zabawkach nie wezmę udziału. Zbyt szanuję naszego listonosza.

– A ja owszem, bo uważam, że komuna była fajna, ale tradycja bojkotu wyborów akurat jest cokolwiek dziecienna. Nikt się nie przejmie twoją korespondencyjną nieobecnością.

– Mam też, Wołku, dobrą wiadomość. I ja, i Jurek dostaliśmy trzynastą emeryturę. Żeby ich obsrało. Umyło i znowu obsrało. □

daniszevska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

Wielkanoc. Tylko niech dostarczą jej niektóre produkty, żeby nie musiała wychodzić. Synowie trochę się krzywili, ale Bożena T. się uparła.

Cały piątek piekła schab i boczek. Wyszedł pyszny. I pachniał na klatce... W sobotę zrobiła mazurki i dorzuciła ciasto czekoladowe.

W niedzielny poranek przyszedł jeden z synów i zabrał jedzenie.

Gdy około południa Bożena T. miała zamiar się zdrzemnąć, ktoś zapukał do drzwi. Dwaj policjanci. Zanim usłyszała, który jak się nazywa i jaki ma stopień, funkcjonariusze już byli w mieszkaniu i zagłądali do pokoi. Nie znaleźli nic i nikogo. A znaleźć mieli wielkie nielegalne zgromadzenie rodzinne. Skąd się wzięli? Któryś z sąsiadów zgłosił, że Bożena tłukła 8 kotletów schabowych, a przecież mieszka sama.

To było piąte tego dnia na tej ulicy zgłoszenie naruszenia rozporządzenia o izolacji w czasie świąt. W czterech przypadkach policjanci zastali tylko stałych domowników. W jednym syn

przyjechał do ojca z sąsiedniej dzielnicy. Nielegalnie.

• • •

Henryk N. ma 71 lat. Od prawie 40 lat uprawia działkę w Rodzinnych Ogródkach Działkowych w Żąbkach. Jest tam prawie codziennie. 17 kwietnia też był.

Trudno mu się schylać, większość prac wykonuje więc na kolanach. Skupiony na ziarenkach nasion sałaty, nie słyszał, że ktoś stoi za jego plecami.

– Dlaczego nie ma pan maseczki? – usłyszał tubalny głos.

Zobaczył rosnącego mężczyznę ubranego w ochronny kombinezon, maskę i gogle.

– Mam w samochodzie, zaraz wezmę – zaczął się tłumaczyć.

– Za późno – stwierdził zamaskowany mężczyzna i zaczął wypełniać blok ciekawych mandatów.

Potem poszedł na sąsiednią działkę, gdzie młode małżeństwo z dzieckiem przesadzało krzewy.

Po pytaniu o maseczkę skupił się na innym „przestępstwie”.

– Dlaczego dziecko nie jest w domu?

Rodzice coś powiedzieli o świeżym powietrzu, o ruchu, ale mężczyzna po wypełnieniu mandatu kazał im natychmiast wracać do domu. Wrócili.

Ofiarą tego niezrozumiałej kontroli padło jeszcze kilku działkowców. Głównie emerytów, którzy bez maseczek grzebali w ziemi.

Trudno zrozumieć, co w ogródkach działkowych robili zamaskowani kontrolerzy z sanepidu... Okazało się, że przyczyną kontroli był donos obywatelski. Jeden z działkowców poinformował, że na działkach gromadzą się tłumy, a jedna rodzina jest chora na koronawirusa.

Tłumów nie było, zakażonej rodziny kontrolerzy nie znaleźli, niepotrzebnie ubrali się w nieprzepuszczające powietrza kombinezony i zrobili sobie bezsensowną przejażdżkę.

Niepotrzebnych interwencji funkcjonariusze i pracownicy sanepidu robią wiele. Wszystko dzięki prawo-

rzadnym obywatelom, życzliwym sąsiadom i zaniepokojonym współpracownikom.

W sanepidzie odbiera się ponad 300 donosów telefonicznych i kilkaset zgłoszeń internetowych dziennie. Podobnie dzieje się na policji. Najwięcej zgłoszeń dotyczy prze-rwanej kwarantanny albo „nielegalnej” wizyty gości.

Od momentu ogłoszenia izolacji także telefon numeru alarmowego nie przestaje dzwonić. Pracownicy 112 są wykończeni. Większość zgłoszeń to bzdury:

„• Sąsiad za ścianą kaszle, a w wakacje był we Włoszech, jakby nie mógł na Mazury. Ja tam zawsze jadę do Pizy;

• Słyszałam, jak sąsiadka mówiła do córki, żeby kupiła jej apap. Ona na pewno ma gorączkę. Może nawet już kaszle;

• Sprzedawca w osiedlowym sklepie nie zmienia rękawiczek po każdym dotkniętym towarze;

• Ta spod siódemki znowu nie założyła dziecku w wózek maseczki. Co z niego wyrośnie, jak on nie skończywszy jeszcze roku, ma już taki przykład ze strony matki”.

Od czwartku, gdy pojawił się nakaz noszenia maseczek, dzwonią, że na przystanku autobusowym ktoś odsto-

nił nos albo że kierowca autobusu nie ma maseczki. Dzwonią zatroskani sąsiedzi, gdy usłyszą, że u sąsiadki za ścianą jest wnuczek czy wnuczka. Z troski o sąsiadkę, bo przecież dzieci są nosicielami wirusa, a kobieta już nie pierwszej młodości.

JOANNA SKIBNIEWSKA
askibniewska@redakcja.nie.com.pl

O tym, że w epoce pandemii dobrze mieć kogoś bliskiego, usłyszycie w każdej telewizji śniadaniowej, a także informacyjnej. To, czego tak często nie słychać, to fakt, że dla dobrego samopoczucia dobrze jest mieć także kogoś wręcz przeciwnego.

„Stan wojenny, proszę pana, dał nam wojnę i Urbana, widząc jego, się chodziło z taką żyłą” – śpiewał swego czasu Krzysztof Daukszewicz, tłumacząc, dlaczego w podłych czasach warto mieć „faceta do zabicia”. Zgoda, facetów do zabicia mamy dziś w Polsce na pęczki – ale nie macie wrażeń, że oni robią się już nudni? Ile można pienieć się na kurdupla w czarnym serdaczku i jego prowincjonalną wschodnioeuropejską ariergardę? Czy nie powinniśmy być w naszej wrogości nieco ambitniejsi?

Ja na przykład mam obiekt nienawiści znacznie bardziej satysfakcjonujący od całej pisowskiej ferajny. Chętnie się z Państwem podzielę, bo miło się nienawidzi w dobrym towarzystwie.

Oto najwyższy wytwór neoliberalnej ewolucji, cudowne skrzyżowanie żarłacza z pijawką, niezawodna maszyna do gromadzenia dóbr, słowem: najbogatszy człowiek świata – Jeff Bezos.

...

W czasach gdy koronawirus jak świat długi i szeroki morduje ludzi i gospodarkę, gdy 22 miliony jego rodaków straciły pracę, majątek twórcy Amazona wzrósł o 24 mld dolarów, osiągając absurdalny poziom 138 dużych baniek. Stało się tak oczywiście dzięki zarazie, która miliony ludzi na całym świecie zamknęła w domach, skazując na zakupy przez internet. A zakupy przez internet to dziedzina, w której Bezos dzięki swej 840-tysięcznej armii quasi-niewolniczej siły roboczej na całym świecie ma faktyczny monopol.

Bezos płaci ludziom 15 dolarów za godzinę – i to tylko dzięki upierdliwości Berniego Sandersa, który miesiącami prowadził w internecie i realu kampanię wymierzoną bezpośrednio w czarownika sprzedaży internetowej. „Policz do dziesięciu” – namawiał na swoim szaleńczo popularnym Twitterze Bernie. „Przez te 10 sekund Jeff Bezos, założyciel i właściciel Amazona, zarobił więcej, niż jego pracownik zarabia przez rok”. Kiedy indziej pisał: „Remontowany właśnie dom Jeffa Bezosa w Waszyngtonie będzie miał 25 łazienek. Pracownicy Amazona nie chodzą do łazienki, bo nie pozwalają im na to absurdalne normy narzucające przez firmę”.

Pracownicy magazynów Amazona przechodzą 20 km dziennie, kompletując zamówienia w monstrualnych magazynach, dociskani kolanem, żeby wykonywać nieprzytomnie wyśrubowane normy:

Hejt mój powszedni



Człowiek, którego wstydzą się rekiny, hieny i szakale.

mają wyznaczony czas na każdą czynność i jeśli spędzają go za wiele, bo nie biegają dość szybko albo np. pójdą do kibla, dostają punkty karne.

Te normy są absurdalne nawet w zwykłym czasie – a teraz, gdy kontakty między ludźmi stały się tak niebezpieczne, brak czasu na umycie czy wydezynfekowanie rąk, niemożność zachowania dystansu między pracownikami może być dosłownie zabójcza.

...

Setki tysięcy helotów Bezosa pracują w warunkach zagrażających zdrowiu i życiu, a warta 1,15 bln (biliona!) dolarów firma spokojnie zakłada, że gdy zachorują, staną się problemem państwa, czyli podatników. Amazon się do nich nie zalicza – w 2018 r. firma nie zapłaciła ani centa podatków federalnych. Co jest sporym osiągnięciem, jeśli zauważycie, że Amazon zajmuje się dostawami – które nie byłyby możliwe bez infrastruktury budowanej i utrzymywanej z podatków.

Sytuacja stała się tak fatalna, że w magazynie Amazona w Nowym Jorku pracownicy urządzili coś na kształt strajku: pięćdziesięciu z nich

opuściło stanowiska pracy, żeby zaprotestować przeciwko brakowi środków ochrony i niezachowywaniu zasad dystansu, po tym jak kierownictwo magazynu odmówiło zamknięcia i wydezynfekowania sali po wiadomości, iż jedna z pracownic ma koronawirusa. Lider protestu Chris Smalls został następnie zwolniony pod pretekstem – nie zgadnienie – niezachowania zasad bezpieczeństwa. Smalls organizował ludzi do protestu, mimo iż Amazon nakazał mu zostać w domu, jako że miał styczność z zarażoną pracownicą. Kłopot w tym, że z tą pracownicą miała kontakt cała jej zmiana i właśnie w tej sprawie Smalls zorganizował protest.

Do kompletu do mediów przeciekła notatka ze spotkania szefostwa firmy, na którym prawnik koncernu David Zapolsky (skądinąd doradca Joe Bidena, były rzecznik Obamy) wyraża nadzieję, że media skupią się na osobie Smallsa i uda się z niego zrobić twarz organizacji pracowniczej w Amazonie, co stawia firmę w silniejszej pozycji piarowej, bo Smalls „nie jest ani bystry, ani wygadany”. Co skądinąd zabrzmiało nieco rasistowsko w kontekście faktu, iż jest on Afroamerykaninem. Przyłapany na rasistowskich uwagach Zapolsky tłumaczył, że wyraził się niewłaściwie, bo był „sfrustrowany i zasmucony faktem, że jeden z pracowników był gotów

narażać zdrowie i bezpieczeństwo innych Amazończyków”.

...

Takich historii jest więcej. Amazon surowo traktuje malkontentów. Jeden z pracowników magazynu w Minnesocie został zwolniony w związku z organizacją apelu do przełożonych o poprawę warunków pracy i ochronę przed rozprzestrzenianiem się koronawirusa. Dwoje pracowników technicznych otrzymało wypowiedzenie, po tym jak spróbowali zebrać podpisy pod petycją na rzecz zwiększenia płac i świadczeń pozapłacowych pracowników magazynowych w dobie pandemii.

Wyrzucony lider protestu Chris Smalls opisał w „Guardianie” obyczaj Amazona czasu pandemii – ludzie pracują, mimo że są chorzy, a gdy kaszlą albo kichają, słyszą od przełożonych radę: mówcie, że to alergia. Management postanowił ukryć przed pracownikami pierwszy przypadek wirusa; Smalls, jak napisał, „uważał, że to nie jest w porządku i powiedział tak wielo osobom, jak tylko mógł”. Chwilę po tym został zwolniony.

W sumie jednak po kilku tygodniach protestów Amazon wprowadził pewne zmiany. Zrezygnował z codziennych zebrań, podczas których wszyscy pracownicy magazynu byli stłoczeni w jednym pomieszczeniu, zaczął też mierzyć temperaturę przychodzącym. Jednak jako że firma nie zapewnia opieki medycznej w swoim monstrualnych magazynach (w zamian są automaty ze środkami przeciwbólowymi, bo powszechnie wiadomo, że takie tempo pracy jest formą tortury) – kierownictwo zmusza pracowników, żeby mierzyli temperaturę kolegom. Co, jak łatwo się domyślić, oznacza konieczność przekroczenia dystansu dwóch metrów, oczywiście bez jakiegokolwiek odzieży zabezpieczającej.

W końcu – i to nie tyle dzięki protestom i demonstracjom, ile wobec setek nierozładowanych ciężarówek w magazynach – Bezos zaoferował pracownikom czasową podwyżkę: do 9 maja dostaną 2 dolary za godzinę więcej, a także podwojenie płacy za nadgodziny, czyli szycie powyżej czterdziestu godzin tygodniowo. Ostatnio – na początku kwietnia – Amazon podjął heroicznie szczodłą decyzję, oferując 2 tygodnie płatnego urlopu pracownikom, którzy złapali wirusa, wykazując objawy albo zostali skierowani na obowiązkową kwarantannę. Ogłosił też wspaniałomyślnie, że urlop bezpłatny może być bezterminowy – czytaj: nikt nie zostanie wylany z roboty za nieprzychodzenie z przyczyn zdrowotnych. Dotychczas, mimo że Amazon nie gwarantował pracownikom żadnej ochrony wynikającej z umowy o pracę, oczekiwał od nich stosownych do takiej umowy lojalności i niezawodności.

Jednak obietnice dotyczące dwóch tygodni płatnego zwolnienia okazały się nieco na wyrost – wielu z tych, którzy skorzystali z tej możliwości, melduje, że dostało zaledwie 60 proc. zwykłej pensji. Inni nie dostali nic. Jeszcze innym powiedziano, że muszą przedstawić zaświadczenie o pozytywnym teście na koronawirusa – choć z testami w USA jest jeszcze gorzej niż w Polsce i na wyniki czeka się tygodniami. Tysiące pracowników Amazona rejestrują się jako bezrobotni i żyją z zasiłków – choć akurat ta korporacja bynajmniej nie notuje spadku przychodów, który uzasadniłby przerzucenie kosztów utrzymania personelu na podatników.

...

Pod koniec marca Amazon „zainwestował” 25 mln dolarów w fundusz pomocy dla pracowników, których forma zatrudnienia nie upoważnia do innych form wsparcia – współpracowników, kierowców bez umów. Amazon zaapelował do zatrudnianych na głodowych pensjach „Amazończyków” – i wszystkich innych obywateli USA – żeby zrzucali się na wsparcie

Zamiast nowoczesnych okrętów podwodnych, wyposażonych w rakiety zdolne dolecieć na terytorium wroga, będą 30-letnie łajby ze szwedzkiego demobilu, za które polscy podatnicy zapłacą miliard złotych.

Program „Orka” miał być nadzieją dla zamiebaniej i niedoinwestowanej Marynarki Wojennej. Zakup trzech nowych okrętów podwodnych wraz z zaawansowanym systemem rakietowym (pociskami manewrującymi dalekiego zasięgu) Ministerstwo Obrony Narodowej zapowiadało co najmniej od 2012 r. Według planów do 2022 r. okręty powinny być na wyposażeniu marynarki. Szacowany koszt to ok. 10 mld zł.

Gdy PiS doszło do władzy, Antoni Macierewicz snuł wizję o potędze. Obiecywał okręty podwodne niczym z filmów SF, z pokładów których mogłyby startować samoloty (sic!). Twierdził, że takie cuda kupimy w Niemczech, innym razem, że

Złomowisko.pl

dostarczą je Francuzi. Decyzje miały zapaść „w ciągu kilku miesięcy”. Kaczor był jednak szybszy i wywalił z rządu Macierewicza, a jego miejsce zajął Mariusz Błaszczak.

Nowy szef MON ogłosił dobrą nowinę: „Zakończyliśmy proces analityczny, w rezultacie którego doszliśmy do przekonania, że należy zapewnić zdolność pomostową, jeśli chodzi o okręty podwodne. Analiza wskazała, że najkorzystniejszym rozwiązaniem jest współpraca z partnerem szwedzkim. (...) Chodzi tu o rozwiązanie pomostowe, a nie docelowe. Rozwiązanie docelowe również zostanie opracowane i wdrożone”.

Przekładając na język polski, Błaszczak powiedział, że z powodu braku pieniędzy należy zapomnieć o nowych okrętach, a Polska wydzierza-

wi albo kupi od Szwedów stare łajby. Zdecydowano się na drugą opcję.

Szwedzi sprzedadzą nam 2 ponad 30-letnie okręty HSwMS „Södermanland” i HSwMS „Östergötland”. Jeden został kilka lat temu wycofany z działań operacyjnych i był wykorzystywany jako zaplecze części zamiennych. Drugi też miał wkrótce pójść w odstawkę. Obie łodzie przejdą remont i modyfikację w szwedzkiej stoczni Saab Kockums, która pilnie potrzebuje zamówień. Czyli

Szwedzi pozbędą się nie tylko kłopotliwego złomu, ale jeszcze zarobią miliard złotych.

Jaki interes będzie miał z tego pisowski rząd? Kaczyński i spółka zapewne odtrąbią sukces, dając marynarzom „jakieś” okręty, nieważne, że nie takie, jakie chcieliśmy i które za 10–15 lat pójdą na złyetki. Obdarowani marynarze nie będą wybrzydzać.

Ambitny program „Orka” miał dać nowe zdolności bojowe Marynarce Wojennej i całym siłom zbrojnym (rakiety dalekiego zasięgu na łodziach podwodnych posiada tylko kilka państw). Miał też pomóc polskiemu przemysłowi stoczniowemu w rozwoju i zdobyciu nowych zamówień i nowoczesnych technologii. Zamiast tego poszedł się koncertowo pierdolić. Podwodniacy dysponują zaledwie trzema jednostkami: poradzieckim ORP „Orzeł” oraz dwoma norweskimi okrętami

pracowników najbogatszego człowieka świata.

Z kolei John Mackey, szef sieci sklepów spożywczych Whole Foods, także należącej do Amazona, wezwał pracowników, żeby oddawali swoje dni wolne – 10 do 15 dni płatnego urlopu lub zwolnienia chorobowego w roku – do banku PTO (*Paid Time Off* – płatnego wolnego), z którego mogą czerpać pracownicy dotknięci koronawirusem.

• • •

W Europie konflikt między najbogatszym człowiekiem świata i jego kontynentalnymi helotami jest jeszcze wyraźniejszy. Ponieważ europejski proletariatus jest klasą dla siebie, znacznie bardziej niż amerykańska mierzwa uznająca wyzysk za naturalny stan stosunków produkcji – francuscy pracownicy Bezosa postanowili się postawić. W marcu setki ludzi z sześciu magazynów Amazona we Francji wyszły z pracy, żądając zapłaty: francuskie prawo stanowi, że pracownik może opuścić niebezpieczne miejsce pracy bez uszczerbku w zarobku. Amazon odrzucił ich żądania. W tym momencie wkroczył sąd, który – na wniosek związku zawodowego Sud Commerce – orzekł, że firma nie chroni pracowników przed koronawirusem w dostatecznym stopniu i że musi ograniczyć dostawy do niezbędnych produktów, takich jak żywność, artykuły higieniczne i medyczne. Francuskie regulacje epidemiologiczne nakazują bowiem zawiesić wszelką nienakierowaną na zaspokajanie podstawowych potrzeb działalność z udziałem więcej niż 100 osób, a stół pingpongowy i lakier do paznokci nie są artykułami pierwszej potrzeby. Sąd przypomniał też, że francuskie prawo zobowiązuje firmy do konsultowania się z pracownikami w sprawie bezpieczeństwa pracy, czego Amazon oczywiście nie zrobił. Wyrok stanowił, że za każdy dzień niedostosowania się do orzeczenia Amazon musi zapłacić milion euro. Do tego francuski minister finansów Bruno Le Maire oznajmił, że Amazon wywiera niedopuszczalną presję na pracowników. W odpowiedzi Bezos się obraził i wstrzymał operacje we Francji.

• • •

A u nas po staremu. „Fundacja »Nie jesteś sam« otrzymała od firmy Amazon kwotę ponad 1,5 mln zł na walkę z koronawirusem” – ekscytuje się od kilku dni TVN. 1,5 mln zł to 360 tys. dolarów. W czasach pandemii Jeff Bezos zarabia tyle w 1,5 minuty.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl

typu „Kobben” wyprodukowanymi w latach 60.: ORP „Sęp” oraz ORP „Bielik”. Wszystkie łodzie z powodu wieku ulegają częstym awariom i wymagają ciągłych napraw, co sprawia, że przez większość czasu są uziemione.

To nie pierwszy raz, gdy PiS, zamiast obiecanego nowoczesnego sprzętu, reanimuje zabytki. Grubo ponad 3 mld zł kosztować będzie podatkników „modernizacja” 30-letnich poniemieckich czołgów „Leopard”. Prawie 2 mld zł pochłonie odrestaurowanie zabytkowych czołgów T-72. „Usprawniane” są wiekowe samochody ciężarowe „Star”, których konstrukcja pochodzi z lat 70. Przywraca się do życia poradzieckie śmigłowce Mi-24 i Mi-2 pamiętające czasy zimnej wojny. Władza postanowiła zaoszczędzić nawet na hełmach. Nie kupiono nowych, lecz wygrzebano z magazynów i poddano renowacji stare hełmy, potocznie zwane „orzęszkami”, które były na wyposażeniu ludowego Wojska Polskiego.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

Elektrodebile

Historia pewnej rozrzutności

Przedsiębiorco, płacisz podatki, kombinujesz, skąd wziąć kasę na wypłaty dla pracowników, robiąc interesy, ryzykujesz wolnością, własnym majątkiem i przyszłością swoich dzieci. Jesteś kretynem. Prawdziwy polski biznes robi się zupełnie inaczej.

Kapitał jest nieistotny. Wystarczy mieć właściwe znajomości. Takie, które spowodują, że w październiku 2016 r. bogaci wujkowie o nazwach PGE, Energa, Enea oraz Tauron założą spółkę. Kapitał założycielski: 10 mln zł. Spółkę nazwie się ElectroMobility Poland (EMP).

Żeby zamknąć usta pukającym się w czoło, wystarczy taką wydmuszkę opisać jako element programu zakładającego, że w 2025 r. po polskich drogach będzie jeździł milion samochodów elektrycznych. W większości naszych, polskich.

Już za chwileczkę

Ówczesny pisowski minister energetyki **Krzysztof Tchórzewski** mógł nawet błysnąć przed kamerami opowieścią, że „**elektromobilność to innowacyjne i konkurencyjne gospodarczo rozwiązanie. Realizacja naszego planu wpisuje się w przyjęty przez rząd Plan Odpowiedzialnego Rozwoju**”.

Plan był prosty: ElectroMobility Poland miała zaprojektować, uruchomić produkcję i rozpocząć sprzedaż polskiego samochodu na prąd.

Przez 4 miesiące spółka wypłacała pieniądze prezesowi i zarządowi. Aż wicepremier **Mateusz Morawiecki** na jakimś spędzie z dziennikarzami rzucił hasło, że Polska może stać się pionierem i liderem elektromobilności. Tchórzewski szybko więc zapowiedział, że 3 marca 2017 r. zostanie ogłoszony konkurs na projekt karoserii małego miejskiego samochodu elektrycznego.

W ElectroMobility Poland uznano, że najwyższa zatem pora zatrudnić kogoś, kto mógłby występować publicznie i mówić o dynamicznym rozwoju firmy. Utworzono stanowisko dyrektora zarządzającego i obsadzono je osobą **Krzysztofa Krawczyka**.

„Późną wiosną, przy wsparciu m.in. współpracujących z EMP w ramach jury konkursowego ekspertów, inżynierów i projektantów wybierzemy 5 najlepszych projektów. Na tej podstawie do końca roku powstanie 5 prototypów” – ruszył z deklaracjami Krawczyk, dodając: „Tym, którzy mówią, że się nie da, odpowiadam, że **samochód elektryczny możemy już budować – z komponentów dostępnych na rynku**”. Krawczyk nie wspominał, że jednym z oficjalnych warunków konkursu będzie to, żeby projekt „**nie obrażał uczuć religijnych**”.

Już za momencik

„Późna wiosna” minęła. Na początku września spółka ogłosiła, że konkurs na projekt nadwozia zostanie rozstrzygnięty za 12 dni. W październiku 2017 r. miał zostać ogłoszony konkurs na budowę prototypów, którego wynik planowano podać do wiadomości w grudniu 2018 r.

Zgodnie z zapowiedzią 12 września EMP ogłosiła, że za zwycięskie zostały uznane 4 projekty. Każdy zarobił dla designerów 50 tys. zł.

Dla spółki istotniejsze od takich bzdur jak samochód elektryczny były jednak roszady kadrowe i trzymanie gęby na kłódkę. Krawczyk zatem polecał za całokształt, zastąpił go **Piotr Zaremba**. Na początku kwietnia 2018 r. zabrał głos prezes EMP **Maciej Kość**, zdradzając w wywiadzie,

że firma wciąż planuje prototyp, nie wiadomo, jak ma on wyglądać, i że pierwsze pojazdy pojawią się w połowie 2019 r., pozbawił się stanowiska. Zajął je człowiek odpowiadający za to, że w EMP nic się nie działo, czyli właśnie Zaremba.

Przy okazji roszady kadrowej firma wydała korpobełkot, że „**obecnie EMP jest w fazie prowadzenia dalszych rozmów z wybranymi podmiotami w celu wypracowania modelu ich partnerstwa w projekcie**”.

Jeszcze tylko kwartał

Przez niecałe 2 lata EPM przyniosła stratę w wysokości 2,7 mln zł. Tylko na wynagrodzenia poszło ponad 1,2 mln. Nie przeszkadzało to dostać spółce od państwowych gigantów założycieli dokapitalizowania w kwocie 20 mln zł. Na co? Nikt nie wiedział. Rzeczniczka EMP uznała we wrześniu 2018 r., że „**upublicznienie informacji, związanych z produkcją polskiego samochodu elektrycznego, mogłoby utrudnić lub uniemożliwić skuteczną realizację wyznaczonych celów biznesowych**”.

W tym samym czasie EMP zmodyfikowała stronę internetową. Na nowej nie było już mowy o samochodzie elektrycznym, ale o zaletach korzystania z niego. Nie było też słowa o postępie prac nad projektem.

Przez następne 2 miesiące nic wokół EMP się nie działo. Może z wyjątkiem tego, że spółka dostała od właścicieli kolejne 40 mln zł. Stosowny komunikat głosił, że „**środki przekazane spółce przeznaczone są na realizację kolejnych etapów prac nad powstaniem polskiego samochodu elektrycznego**”.

Pod koniec 2018 r. kilku posłów wystosowało w sprawie EMP interpelację. Chcieli wiedzieć, czy wciąż robi się w konia tak ich, jak resztę Polaków. Odpowiedź upewniła ich, że robieni w jajo w sprawie auta na prąd byliśmy, jesteśmy i będziemy. Jak bowiem inaczej odczytać takie zdania: „**Biznesplan Spółki został przygotowany w oparciu o wnikliwą analizę kluczowych trendów rynku motoryzacyjnego, badania polskiego rynku i potrzeb polskich konsumentów, wywiady z ekspertami zewnętrznymi z branży oraz analizę benchmarkową podobnych przedsięwzięć biznesowych. Spółka wypracowała nową propozycję wartości dla klientów**...”.

Straty EMP na początku 2019 r. liczono już w dziesiątkach milionów złotych. Dlatego w lutym pojawiła się enuncjacja, iż „**spółka planuje teraz uruchomienie fabryki samochodów elektrycznych za 4,5 mld zł, z czego nie mniej niż 2,5 mld zł wyłożą Energa, Enea, PGE oraz Tauron**”. Nikt nie powiedział, co w takiej fabryce ma być produkowane.

Albo może za 2 lata

Specjalistów od elektryki i motoryzacji na kolana rzuciła informacja z marca zeszłego roku, że polski samochód elektryczny będzie robiła firma niemiecka EDAG Engineering. Zatrudniła ją właśnie EMP. Dzięki temu zleceniu na jaw wyszły dwie rzeczy. Pierwsza – że w Polsce nie ma nikogo, kto umiałby zaprojektować samochód. Druga – że przez 2,5 roku poza wydawaniem milionów firma kierowana przez Zarembę nic nie robiła. Nie licząc prezentacji, masterplanów i zapisów wizyjnych...

Po opublikowaniu kwitów finansowych za rok 2018 okazało się, że strata jest dwakroć wyższa niż rok wcześniej. Popłynęliśmy wszyscy na 5,4 mln zł. Później pojawiły się przecieki, że EMP dzięki Niemcom jednak ruszyła. Dogadani wykonawcy i podwykonawcy polskiego elektryka pochodzą z Chin i Niemiec. W Polsce auto miałoby być tylko montowane.

Z początkiem obecnego roku prezes EMP Piotr Zaremba przez media rządowe zaczął być określany polskim Elonem Muskem. Polski Musk ogłosił w lutym, że mimo wybrania kilka lat temu modelu karoserii wzornictwem polskiej elektrobryki zajmie się włoska pracownia Torino Design, „**jedną z najbardziej renomowanych pracowni stylistycznych na świecie, która ma na koncie kilkaset projektów dla największych producentów motoryzacyjnych na świecie, zarówno marek premium, jak Ferrari, McLaren czy BMW, jak i producentów marek budżetowych, m.in. Fiata**”. Nikt nie wie, skąd te marki wzięły piarowcy z EMP, bo turyńska firma współpracuje z zupełnie inną półką motoryzacyjną – z rosyjskim Kamazem, chińskimi SAIC, BAIC, Chery, FAW czy indyjskimi Tata i Mahindra.

Niemiec płakał, jak płynął z prądem

Firma, która wymyśliła tani niemiecki samochód elektryczny e.GO, ruszyła w grudniu 2015 r. z kapitałem wynoszącym milion euro. Po trzech latach pojazdy miały się znaleźć w salonach.

Na początku 2017 r. e.Go pokazało pierwsze jeżdżące prototypy. Najtańsze auta miejskie miały kosztować niecałe 16 tys. euro i być dostępne w październiku 2018 r.

Znaleźli się inwestorzy z dziesiątkami milionów euro. Zakład produkcyjny uruchomiono w Aachen. Na powierzchni 16 tys. mkw. planowano wytwarzać 10 tys. samochodów rocznie na jednej zmianie.

Poślizg produkcyjny wyniósł pół roku. Pierwsze auta opuściły fabrykę w listopadzie 2018 r. Termin dostarczenia aut przesunięto o rok, co spowodowało wykрусzenie się zamówień. Chętni na elektryka woleli gotowe produkty uznanego Volkswagena.

W październiku 2019 r. udziałowcy e.Go zasilili firmę zastrzykiem gotówki w wysokości 100 mln euro. Ogłoszono, że to za mało i do marca 2020 r. e.Go musi znaleźć kolejne 100 mln, żeby spłacić zaległe raty kredytów.

Miesiąc temu firma poprosiła sąd o ochronę przed wierzycielami, bo właśnie ogłosiła bankructwo.

Niedawno Zaremba znów brylował w mediach. Tym razem jako zbawca zarażonej kryzysem polskiej gospodarki. Zapowiedział, że dzięki jego projektowi przybędzie 15 tys. miejsc pracy.

„**Nasz kraj ma wielu zdolnych inżynierów, projektantów, naukowców, ale ludzie ci zbyt często i zbyt wcześnie wyjeżdżają do pracy za granicę, bo nie ma projektów, przy których mogliby się rozwijać**” – bez zażenowania powiedział to facet, zamawiający wszystko za granicą. Zaremba doskonale wie, że gdy powstanie polski niemiecko-chiński pojazd elektryczny, to będzie to absolutna klapa. Badania rynku polskiego, nie wspominając już o zagranicznych, pokazują, że nikt takiego czegoś nie kupi. Udowodnił to niemiecki samochód elektryczny e.GO. (patrz: ramka).

TADEUSZ JASIŃSKI



ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W Polsce nie ma bezpiecznych psów. Czworonogi, które nie ciągną za sobą smyczy z właścicielem, należą do gminy, na terenie której przebywają. Musi ona zapewnić im wikt, opierunek i lekarstwa.

O schronisku w Radysach jest głośno wśród obrońców praw zwierząt. „Psy mieszkają w niezadaszonych kojach, bez utwardzonego wybiegu i odprowadzenia wody. Po każdym deszczu stały w błocie. Właściciele obiektu nie zapewnili odpowiedniej liczby legowisk. Na każdym wybiegu niezależnie od liczby psów była tylko jedna nieocieplana buda. Co gorsza, nie odseparowano zwierząt chorych oraz samiec ze szczeniętami od dorosłych psów. Do jedzenia zamiast karmy dostawały odpadki produkcyjne z rzeźni zmieszane z surową śrutą zbożową” – relacjonowali kilka lat temu kontrolerzy Najwyższej Izby Kontroli.

Z wystąpienia pokontrolnego wynika, że wskaźnik śmiertelności spadł do ok. 10 proc. Pomieszczenia i wybiegi „zapewniają minimalne warunki dobrostanu” – osłony przed zimnem, opadami, wiatrem.

Mimo poprawy warunków mazowiecka gmina Jasiniec zerwała umowę z Radysami. Choć miejscowości dzieli 260 km, wójt Marta Cytryńska osobiście pofatygowała się na Mazury. 37 zwierząt odebrano w asyście policji, gdyż pojawiły się wątpliwości, czy nie doszło do wyłudzenia pieniędzy. Gmina płaciła za chipowanie, sterylizację, leczenie. Większość psów nie miała chipów. Nie było dokumentacji poświadczającej wykonanie innych zabiegów.

Kilka lat temu podobnie zachowała się gmina Jedwabne. Przeniosła zwierzęta do Sonieczkowa pod Żarnowem. Bo w schronisku jest niewiele psów, sporo adopcji, pomagają wolontariusze. I nawet śladu posądzenia, że przerabiają podopiecznych na smalec, jak to było w Kłobucku. Albo wytapiają z nich tłuszcz, co opisano w Iłży.

...

– W poniedziałek 30 grudnia 2019 r. ok. 15.30 gmina Jedwabne poinformowała nas, że dziękuje za współpracę – opowiada właścicielka Sonieczkowa Marta Chmielewska. – Kazali oddać psy z dokumentacją. Zapowiedzieli, że na drugi dzień o 10.00 będzie transport do Radys.

We wtorek 31 grudnia 2019 r. przed schroniskiem w Żarnowie zebrali się okoliczni psiarze w liczbie trzydziestu. Przyszli też inspektorzy Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Czarę gorzycy przelał samochód, którym miały podróżować zwierzęta. Po 78 psów przyjechał niewielki bus. W ogóle nie stawił się przedstawiciel gminy.

Marta Chmielewska: – Formalnie zwierzęta były pod naszą opieką do końca roku. Ale przetrzymywanie ich po 1 stycznia 2020 r. byłoby bezprawne. Chyba że zostałyby adoptowane.

Natychmiast podpisano umowy adopcyjne z augustowskim i suwalskim oddziałem Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Spokojnie zaczęto szukać domów, również wirtualnych. Apel na Fejsie „Sonieczkowi przyjaciele”: „Te psy już kiedyś były w Radysach. Bruce, Rolka, Gajka i mogę tak wymienić wszystkie. Zapchlone, zarobaczone, zdziczałe. Z tych 58, które w 2016 r. dotarły w strasznym transporcie, w wymiocinach z loju, obecnie przebywa w schronisku 18 psów. Reszta wyadoptowa-

Najpierw Żydzi potem psy



Ilustr. WŁODEK KIERUS

na. To wielka praca wolontariuszy i pracowników schroniska, a gmina Jedwabne żadnego udziału w tym nie miała. Na stronie gminy Jedwabne nie ma żadnego psa ze schroniska, żadna ze szkół nigdy nie zrobiła zbiórki na te psy. Nigdy. NIE NIE NIE. Będę krzyczeć wniebogłosy: jak można?!”.
...

Każda polska gmina ma umowę z jakimś schroniskiem. Gdy pojawi się bezpieczny pies czy kot, zleca się odłowienie zwierzęcia i opłaca pobyt. Pod koniec 2019 r. gmina Jedwabne dostała dwie psie oferty.

Sonieczkowo chciało 13 800 zł miesięcznie. – Taniej się nie da – mówi Chmielewska. Zatrudnia 8 osób, ma pod opieką 340 psów. – Nasza usługa obłożona jest 23-procentową stawką VAT. Muszę odprowadzić taki podatek. Nie jestem w stanie tych pieniędzy odzyskać, gdyż większość środków wydaję na lekarza i karmę, a tu VAT wnosi 8 proc. W kojach zwierzę nie może siedzieć na zwierzęciu. Do tego utrzymanie wybiegów, bud, kocyki, inwestycje. Naturalnie w ramach umowy prowadzimy na własny koszt odłow

pańskich zwierząt z terenu gminy. Czasem ekipa musi jechać po jedno zwierzę kilka razy.

Radysy zaproponowały, że zajmą się psami z Jedwabna, których liczbę oszacowano na 85 sztuk, za 6300 zł miesięcznie. Policzymy. Od tej kwoty trzeba odjąć VAT. Konieczny jest pracownik. Najniższa pensja to dziś 2600 zł miesięcznie. Plus pochodne.

Na wykarmienie psów zostaje 1718 zł. Ok. 57 zł dziennie. Wypada 70 groszy na psa.

Gdzie są koszty odłowów i transportu, leczenia, szczepień, sterylizacji? Co, jeśli psiarz zachoruje albo weźmie urlop? Zastępstwo w postaci moczymordy z okolicy to wydatek nie mniejszy niż 20 zł za godzinę.

6 stycznia 2020 r.

**koło cmentarza w Jedwabnem
znaleziono zamarnięte
szczeniaki i półdziką,
żywą jeszcze matkę.**

Suka przebywa teraz w Sonieczkowie. Zdjęcia trupków można obejrzeć na portalu Ratujmy-zwierzaki.pl.

Pytania są tendencyjne

Jak pisałam, 4 grudnia 2018 r. bezpańska suka i jej 3 szczeniaki dokonały żywota we wsi Pierki Borowe. Szczeniaki zabił weterynarz z Łomży Andrzej R. Prokuratorzy nie podali szczegółów, ponieważ były zbyt drastyczne. On też polecił myśliwemu Wojciechowi R. zastrzelenie matki. Wszystko odbyło się pod okiem pracownika gminy zajmującego się zwalczaniem bezdomności zwierząt (patrz: „NIE” nr 49/2018).

„Zadane pytania są pytaniami sugerującymi i tendencyjnymi (...). Pani zachowanie należy ocenić jako nierzetelne, nieprofesjonalne i sprzeczne z etyką dziennikarską” – napisał do „NIE” burmistrz Niebrzydowski, którego pytałam o mord.

Jak poinformowała nas Prokuratura Okręgowa z Łomży, 17 stycznia 2020 r. tamtejszy sąd wydał wyrok skazujący weterynarza i jego pomocnika. Nikt nie zbadał, jaką rolę odegrał w tej sprawie samorząd.

...

Dlaczego rodzina w porę nie trafiła do Radys, z którym Jedwabne wiąże umowa? Nie wiadomo.

7 stycznia 2020 r. jakaś dobra dusza znalazła w Jedwabnem kolejną sunię z dwoma pieskami. Trafiły do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Augustowie, które wydzierzało kojec w Sonieczkowie.

...

Z raportu Powiatowego Inspektora Weterynarii w Piszcu za 2018 r. wynika, że w Radysach jest 3125 zwierząt. Należą do 44 gmin. W ciągu roku 245 psów padło, 56 uśpiono, 64 zbiegły. W części szpitalnej chore sztuki śpią w plastikowych pudełkach bez kocyka czy garści słomy. Wprawdzie są wybiegi, ale nie ma śladu wskazującego na to, że psy są tam wypuszczane.

– Jeżeli ktoś ma pretensje do złego utrzymania psów czy złego traktowania w Radysach, to powinien mieć pretensje do tych, którzy wydają testy i pozwolenia na świadczenie takich usług. Jeśli podmiot jest dopuszczony do świadczenia takich usług, my nie mamy zbyt wiele do powiedzenia – oświadczył burmistrz Jedwabnego Adam Niebrzydowski.

PiS jest dumne, bo zaostrzyło przepisy ustawy o ochronie zwierząt. Za wyrzucenie psa przez okno można iść do więzienia nawet na 5 lat. Na zadawaniu śmierci w bardziej wyrafinowany sposób wciąż można sporo zarobić.

BOŻENA DUNAT

bdunat@redakcja.nie.com.pl

Już w średniowieczu używano broni biologicznej. Oblegający miasta podrzucali obłożonym skażoną żywność lub wodę, przerzucali przez mury odzież tych, którzy umarli na zarazę, bądź ich samych. Teraz takich metod nikt nie stosuje.

Dlatego dyrektor naczelny słynnego Górnośląskiego Centrum Rehabilitacji w Reptach Norbert Komar zdecydował się na wydanie bardzo obszernego oświadczenia. Oskarżył w nim prezydenta Bytomia o wiele poważnych przestępstw, z których najpoważniejszym bodaj było narażenie na szwank zdrowia i życia wielu ludzi: „**działanie, które zagraża bezpieczeństwu pacjentów**”. Dyrektor oskarżył bytomskiego wóldarza również o próbę zmuszenia „**do działań sprzecznych z prawem**”. Zarzucił mu wreszcie skrajną ignorancję i brak przyzwoitości, pisząc w oświadczeniu o „**braku podstawowej wiedzy, przyzwoitości, odpowiedzialności i rzetelności**”.



W ostatnim numerze „NIE” pisałem, że pod względem liczby zmarłych na COVID-19 Bytom przewyższa wszystkie inne miejscowości w województwie śląskim – w którym

Wyborczyny

Bytom to polskie Bergamo – nie tylko dlatego, że nazwy obydwóch miast zaczynają się na „B”.

z kolei notuje się więcej zakażeń niż we wszystkich pozostałych województwach z wyjątkiem mazowieckiego. Nazajutrz po ukazaniu się artykułu poinformowano o kolejnym zgonie, już jedenastym w miesiącu. Zmarł 86-letni bytomianin, który był mieszkańcem Domu Pomocy Społecznej „Kombatant”.

Wiekowy mężczyzna umierał w szpitalu w Raciborzu. W tym czasie w innych szpitalach na Śląsku walczone o życie kolejnych mieszkańców tego samego domu. W nim zaś sytuacja była dramatyczna. Zakażenie koronawirusem stwierdzono u 52 pensjonariuszy i 10 pracowników. Z pozostałych 68 mieszkańców „Kombatanta” wszyscy mieli kontakt z chorymi i zakażonymi. Nie wiadomo więc, czy również nie zachorują. Zaszła konieczność oddzielenia tych, którzy są zakażeni, od

tych, u których tego zakażenia na razie nie stwierdzono.



Pojawiła się koncepcja, aby kilkadziesiąt pensjonariuszy przewieźć do szpitala w Reptach. Przewodniczącą rady społecznej Górnośląskiego Centrum Rehabilitacji jest wicemarszałek województwa śląskiego Izabela Domogała, jeszcze niedawno członkini Bytomskiej Rady Działalności Pożytku Publicznego. Wiedziała, że w szpitalu akurat są wolne łóżka.

W „Kombatancie” zarządzono ewakuację. Szpital w Reptach miał przyjąć 40 osób. Warunkiem było to, że wraz z pensjonariuszami do Rept przyjadą ich opiekunowie. Górnośląskie Centrum Rehabilitacji dysponowało bowiem wolnymi łózkami, ale nie posiadało nadmiaru pracowników.

Co jednak najważniejsze – wraz z pensjonariuszami powinna przyjechać ich pełna dokumentacja medyczna. To byli nie tylko ludzie starzy, lecz również schorowani. Niektórzy bardzo ciężko. Musieli przyjmować rozmaite leki w ściśle określonych dawkach. Bez dokumentacji medycznej zagrożone byłoby nie tylko zdrowie, lecz również życie tych ludzi.

Przebieg ewakuacji śledziła rządowa TVP. Jej widzowie mogli zobaczyć staruszkę, która podpierając się balkonikiem, szła w kierunku wysokopodłogowego autokaru turystycznego. Aby wejść do niego, powinna podnieść nogę na pół metra.

Pani z balkonikiem z pewnością poradziła by sobie z wejściem do pojazdu lepiej niż inni mieszkańcy „Kombatanta”, poruszający się na wózkach inwalidzkich. W tym samym czasie –

w innej części kraju – ewakuowano inny dom pomocy społecznej. Pensjonariuszy z Kalisza przewoziły wojskowe karetki.



Pierwszych 6 osób z Bytomia dotarło do Rept bez dokumentacji medycznej i bez opiekunów. Dyrektor Górnośląskiego Centrum Rehabilitacji miał zapytać o dokumentację. Według naszego informatora miał usłyszeć odpowiedź, że dokumentacja ta „**dopiero się tworzy**”. To informacja nieoficjalna, której potwierdzić nie sposób.

Znacznie poważniejszą sprawą jest jednak to, że do Rept chciano wysłać osoby, o których nie wiadzano na pewno, że są niezakażone koronawirusem. A jednocześnie usiłowano wywołać takie wrażenie. Dyrektor Górnośląskiego Centrum Rehabilitacji wprost mówi w swym oświadczeniu o nadużyciu: „**Chciano do nas wysłać osoby bez informacji o ich stanie zdrowia, bez ich opiekunów i możliwości dokonania u tych osób nawet podstawowego wywiadu medycznego (z uwagi na stan ich zdrowia).** (...) Podobnie rzecz się ma w kwestii informowania opinii publicznej przez Prezydenta Bytomia, że mamy do czynienia z pa-

Nad morze
do Czech...

Topielcy chodzą po plaży

Rozporządzenie ministra zdrowia z 24 marca 2020 r. szczegółowo precyzuje, w jakim celu można wyjeżdżać z domu. Podróże turystyczne? Nie. Przemieszczanie się do rejonów z lepszym powietrzem? Nie. Do okolic z pięknym widokiem z okna? Nie, nie i nie!

1.

Spacery, podczas których nie sposób się zgubić. Z jednej strony Bałtyk, z drugiej Zalew Wiślan, wszędzie las. Widok z Wielbłądniego Garbu: czubki drzew i dookoła woda... Długaśną plażę zamyka w Piaskach druciana siatka. Tutaj kończy się Unia Europejska, a zaczyna Federacja Rosyjska.

Polomarket to największy sklep w Krynicy Morskiej. Przed wejściem kolejką jak w szczycie sezonu. Odległości zalecane – na 2 wózki. Na parkingi kilkanaście samochodów. Rejestracje warszawskie i elbląskie. Choć jest jedna z Zielonej Góry i dwie z Krakowa.

– Nie ma tak, żeby z marszu wejść. Trzeba postać... – mruczy zwalista kobieta, po uszy okręcona szalikiem.

Na szczęście dowieźli mąkę, ryż, makaron i pieczywo z długim okresem przechowywania. To były towary, które wyparowały w połowie marca 2020 r., gdy rząd zamknął naród w domach.

– Mięsa też zabrakło. Skąd ludzie wzięli takie wielkie zamrażalniki? – nie może się nadziwić jej sąsiadka.

Swoją zamrażalnik wypełniła dopiero na Wielkanoc. Rzucili kaczki faszerowane po 6,99 zł za kilo i filet z kurczaka, tylko 9,99 zł dla posiadaczy polokarty.

– Trzeba kupić zamrażarkę, póki tania. Ceny elektroniki pójdą w górę – wieszczy zwalista.

– Ryby nie wiadzą, że jest epidemia. Ani kury. Wiosna przyszła, jajek jest w bród – uspokaja mężczyzna w golfie.

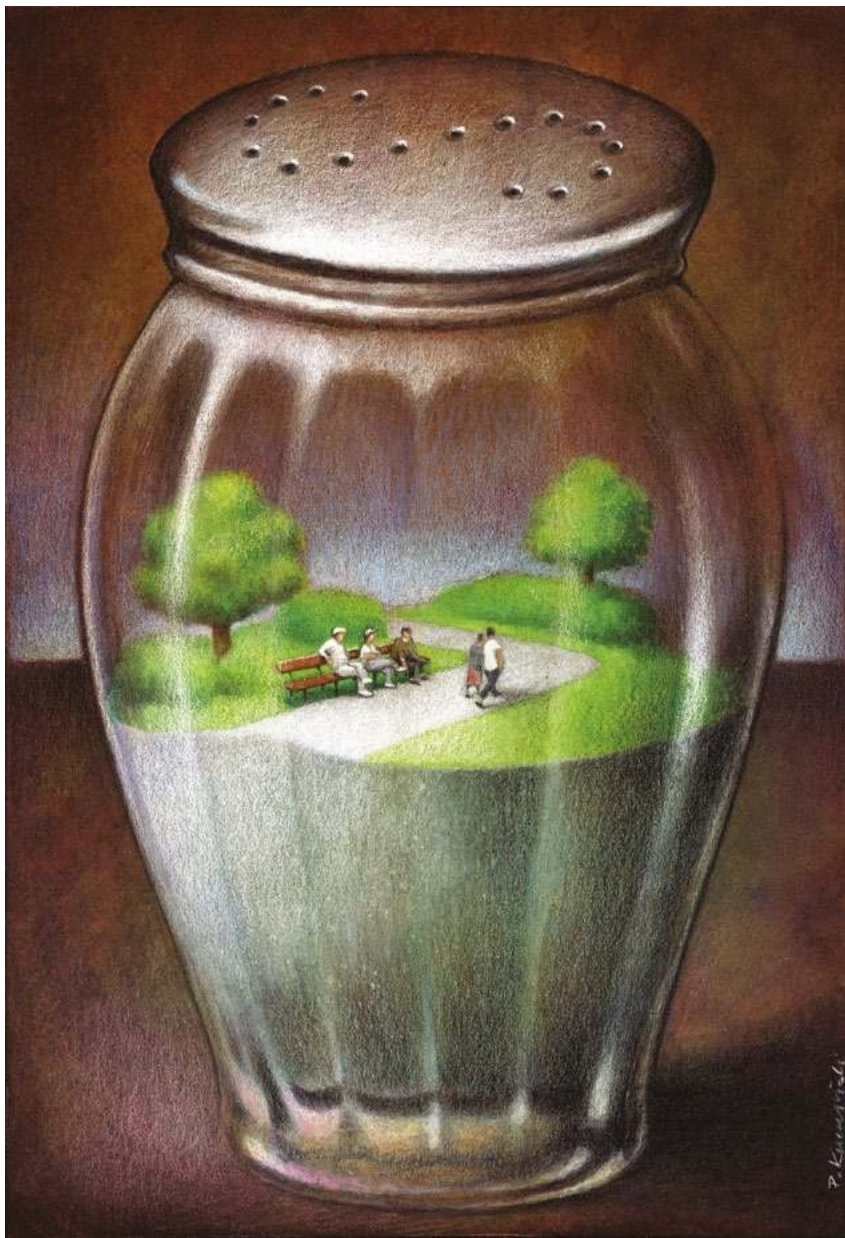
– Ale spróbuj złowić pan te ryby... Wczoraj policjanci walnęli wędkarzom po mandacie, choć jeden stał sto metrów od drugiego...

2.

Sanatorium „Zefir”.

– Nie przyjmujemy nikogo. Ruszymy, gdy ograniczenia miną. Zarezerwować pani może, wstępnie. Kiedy? Maj, czerwiec? Zobaczą, jakie terminy zostały. Oddzwonię.

„Jantar”. Miła pani informuje, że z niecierpliwością czeka, kiedy skończą się ograniczenia. Na razie wszystko jest tajne przez poufne, najwidoczniej rząd sam nie wie. Naj-



bardziej wiarygodny jest Szumowski: to będą małe kroczyki w stronę normalności. Kwiecień? Cudów nie ma, miła pani może wpisać mnie na maj. 1499 zł za 2 tygodnie z zabiegami i całodziennym żarciem.

Kadra medyczna jest najczęściej zatrudniona na kontraktach. Lekarze i fizjoterapeuci wzięli zaległe urlopy, poszli na zwolnienia lekarskie.

3.

Właściciele apartamentów i pokojów do wynajęcia widzą światło w tunelu. Ale klienci nie nadają rozpędzonym pocigiem.

– Był obsuw – przyznaje Wanda. – W połowie marca ludzie masowo zaczęli odwoływać rezerwacje. Nie, nie na marzec. Marzec to martwy miesiąc, chyba że wypada Wielkanoc. Kasowali rezerwacje na długi weekend majowy i na wakacje. Prosiłam: poczekajcie z decyzją. Jeśli pójdzie źle, przeło-

żymy rezerwację na lepsze czasy. Co drugi mówił: zgoda.

Narzekały osoby współpracujące z portalem Booking.com. Pośrednik kazał zwracać zaliczki. Bez sugerowania, żeby klient zgodził się na ten sam termin w przyszłym roku.

Po tygodniu, dwóch przyszło opamiętanie. Ktoś ma *home office* i pracodawcy wszystko jedno, czy włącza laptop na Mokotowie, czy na Mierzei Wiślanej. Ktoś ma zwolnienie na małe dzieci. A ktoś może wziąć urlop...

4.

Chcicie spędzić najbliższy miesiąc na Mierzei Wiślanej? Weźmy termin od 23 kwietnia do 23 maja 2020 r. Booking.com proponuje apartament w „Villa Urocz” – dwie minuty spacerkiem do plaży przy Zalewie Wiślanym, 1,2 km od morza, bezpłatny parking, bezpłatne wi-fi. Na stronie został ostatni apar-

tament, w sypialni 3 pojedyncze łóżka, w salonie dwie sofy, „ceny mogą wzrosnąć, zagwarantuj rezerwację już dziś”. Okazyjnie: 9138 zł. Plus 25 zł za śniadanie na twarz.

Apartamenty „Poli House”, styl skandynawski, wabią w pełni wyposażonymi aneksami kuchennymi ze zmywarką i piekarnikiem. Za miesięczny pobyt dla dwóch osób 12 908 zł.

„Apartament Continental” („zwykle niedostępny – masz szczęście!”) chce 16 128 zł. W zamian prawdziwe mieszkanie z dwiema sypialniami.

Jeśli masz węza w kieszeni, bierz pokój: „Ostatnia szansa! Na naszej stronie został tylko jeden taki!”. Za 2-osobowe łóżko i możliwość korzystania ze wspólnej toalety i łazienki 3708 zł.

Wszystko jest legalne. Nie ma zakazu wynajmowania turystom kwater.

5.

Najważniejszym problemem w miasteczku wciąż wydają się dziki. Z ratuszowej ulotki „Dzik jest dziki” dowiaduję się, że należy trzymać łapy przy sobie podczas spotkania z lochą. Nie łapać młodych. Uważać z psami.

Kilka miesięcy temu dziki zaatakowały Aję. Smycz trzymało dziecko. Rodzice wprawdzie odbili pieska, ale nie przeżył starcia.

6.

Burmistrz Krzysztof Swat wie swoje i nie podoba mu się ta wiedza. Nawet gdy ZUS i NFZ przysyłały gości do sanatoriów, to nigdy nie było tak dużo obcych!

Ratusz jest skłonny przełknąć obecność turystów wynajmujących kwatery u miejscowych. Kiedyś będą wybory, a właściciele lokali mają dobrą pamięć. Oficjalne wyjaśnienie jest takie, że miejscowi gospodarze z pewnością kierują się rozsądkiem.

Solą w urzędniczym oku są właściciele tutejszych apartamentowców, mieszkający na co dzień w Warszawie.

– W Krynicy oceniam liczbę takich apartamentów na około 200 – przy łada okazji podkreśla burmistrz.

200 rodzin to około 1000 dodatkowych osób. Czyli prawie drugie tyle, ile stałych mieszkańców Krynicy.

Wcześniej z Mierzeją Wiślaną łączyła tych ludzi przede wszystkim chęć zysku. Inwestowali, nawet nie przyjeżdżając w te strony. Widok z okien podziwiali na podstawie map. Po zawieszeniu działalności szkół zjechali jak do siebie.

Policja powinna reagować jak w Zakopanem, wystawiać mandaty i odsyłać podróżnych do stałych miejsc zamieszkania – uważa ratusz.

Ale policjanci mają inne zajęcia. I temat jest śliski.

– Jedź do domu – radzą.

– Ale on jest tutaj... – słyszą i oglądają akty notarialne.

7.

Pierwszy był burmistrz Helu. Zamknąć półwysep dla osób z zewnątrz – poprosił wojewodę. Zaraz po nim z piśmem wystąpił burmistrz Swat.

„Niestety w naturze Polaka jest, iż co jest niezabronione, to jest dozwolone” – napisał. „Stąd obserwowany przez nas wzmożony ruch turystyczny”. Turysty przyjadą, wirus też. „W trosce o zdrowie mieszkańców miasteczka trzeba zamknąć Mierzeję Wiślaną”.

Wojewoda Dariusz Drelich odmówił. Turysty w Krynicy to imaginacja burmistrza. Przecież „nie ma możliwości przemieszczania się osób na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej w celach turystycznych” – i basta! On, wojewoda, nie będzie psuł powagi pisowskiej władzy, wyważając otwarte drzwi.

Widać nie dotarło do wojewody rozsyłane na WhatsAppie podsumowanie: „Co już wiadomo w związku z epidemią? 1. Nie wolno wychodzić z domu, ale w razie potrzeby możesz. 2. Maski wcale nie pomagają, ale należy je nosić. 3. Nie ma odpowiedniego sprzętu, ale jest go wystarczająco dużo. 4. Możesz nie wiedzieć, że jesteś zarażony i zaraża innych, ale test ci nie przysłuży, dopóki nie masz typowych objawów. 5. Wirus żyje na różnych powierzchniach przez 2 godziny albo 4, albo 6, albo przez 17 dni...”.

8.

Krynicyzanie z ul. Marszałkowskiej w Warszawie głupi nie są.

– Płacimy tutaj podatki od nieruchomości. Zatrudniamy panie do sprzątania. Mamy medyczne wskazania do pobytu. Dziecko cierpi na częsty nieżyt górnych dróg oddechowych – tłumaczą.

Jako legaliści wypełniają wnioski o pobyt czasowy. To formalność, gmina nie może odmówić.

Ta zabawa musiała być dla urzędników upierdliwa, bo w związku z koronawirusem kilka dni temu ratusz zawiesił obowiązek meldunkowy.

B.D.

cjentami COVID(–) jest co najmniej nadużyciem”.

„COVID(–)” oznacza, że pacjent nie jest zakażony. Jak podkreślał dyrektor szpitala w Reptach, wobec pacjentów zakażonych czy też potencjalnie zakażonych koronawirusem należy stosować specjalny reżim epidemiologiczny.



Tuż przed ewakuacją Urząd Miasta w Bytomiu sugerował, że osoby mające trafić do Rept są zdrowe: „W przypadku 68 pensjonariuszy i 9 pracowników wynik przeprowadzonego 15 kwietnia testu na obecność koronawirusa jest negatywny. Prezydent Bytomia podjął działania mające na celu oddzielenie osób chorych od osób zdrowych. Pensjonariusze DPS »Kombatant«, u których nie potwierdzono zakażenia koronawirusem, zostaną przewiezieni do Centrum Rehabilitacji »Repty« w Tarnowskich Górach (40 osób) oraz do Zakładu Aktywności Zawodowej w Bytomiu (28 osób). Zarówno zdrowi, jak i zakażeni pensjonariusze będą mieli zapewnioną prawidłową opiekę, wyżywienie i dostosowane do potrzeb osób niepełnosprawnych warunki mieszkaniowe”.

Gdy pensjonariusze „Kombatanta” wrócili do Bytomia, magistrat delikatnie sugerował, kogo należy hejtować: „Mimo wcześniejszych zapewnień, Górnośląskie Centrum Rehabilitacji »Repty« nie przyjęło 40 podopiecznych DPS »Kombatant«, których wynik testu na obecność koronawirusa jest negatywny”.

Pierwszy przypadek koronawirusa wykryto w DPS „Kombatant” 31 marca. O tym fakcie mieszkańców informował prezydent miasta Mariusz Wołosz. Było to 2 tygodnie po tym, jak poinformował o pierwszym przypadku zachorowania na COVID-19 w bytomskim szpitalu, 3 dni po przekazanej przez niego informacji o pierwszych trzech przypadkach wystąpienia tej groźnej choroby u mieszkańców i 2 dni po ogłoszeniu, że na izbę przyjęć jednego ze szpitali karetka przywiozła mieszkańca z dużą niewydolnością oddechową. Mieszkaniec zmarł, a badania wykazały, że zabił go koronawirus.

Właśnie 31 marca w „Kombatancie” zarządzone kwarantannę. Po dwóch tygodniach ją przedłużono, o czym prezydent Wołosz powiadomił mieszkańców: „Choć kwarantanna została przedłużona, a u kilku osób z personelu ośrodka przeprowadzone w ubiegłym

tygodniu testy na obecność wirusa dały wynik pozytywny, podopieczni ośrodka mają zapewnioną opiekę. Jutro przeprowadzona zostanie akcja pobrania wymazów u pensjonariuszy i raz jeszcze u personelu. Wtedy będziemy wiedzieć, jak dalej zorganizować pracę ośrodka”.



Wbrew tym zapewnieniom 2 tygodnie później, w dniu ewakuacji, starym i schorowanym ludziom nie potrafiiono zapewnić odpowiedniego transportu. Wiem, czyja głowa teraz może polecieć. Najbardziej zagrożona jest dyrektorka DPS „Kombatant” Jolanta Lesiczka. Dowiedziałem się, że zostanie obarczona odpowiedzialnością za dramat rozgrywający się w „Kombatancie”, w którym ponownie zgromadzono zakażonych i tych, którzy być może nie są jeszcze zakażeni. Budynek był dezynfekowany, a dyrektorka robiła, co mogła, by oddzielić tych, którzy być może byli jeszcze zdrowi, od innych.

Według moich informacji dyrektorka „Kombatanta” już 3 tygodnie przed opisywanymi wydarzeniami miała alarmować władze Bytomia, że potrzebuje pomocy. Czy tak rzeczywiście było – chciałem dowiedzieć się od niej bezpo-

średnio. Najprawdopodobniej jednak otrzymała polecenie, aby z dziennikarzami nie rozmawiać. Gdy się przedstawiłem, odesłała mnie do rzecznika prasowego bytomskiego magistratu.

Poprzedni wóldarz Bytomia wątpi w jej winę.

– To wieloletnia dyrektorka tego domu pomocy społecznej. Bardzo kompetentna, oddana pensjonariuszom. Nigdy nie było do niej żadnych uwag – podkreśla Damian Bartyła, były prezydent Bytomia.

Powróćmy do zarzutów stawianych obecnemu prezydentowi Bytomia przez dyrektora naczelnego Górnośląskiego Centrum Rehabilitacji w Reptach. Przypomnijmy najważniejsze: narażenie bezpieczeństwa ludzi, wysłanie do innej placówki pacjentów bez dokumentacji medycznej, próba zmuszenia szpitala w Reptach do działań sprzecznych z przepisami prawa.



Zanim Mariusz Wołosz wygrał wybory na prezydenta Bytomia, przez pewien czas był wicedyrektorem Szpitala nr 2 w Mysłowicach. Następnie był dyrektorem tego szpitala. Funkcję tę piastował od 2014 r. aż do wygrania wyborów. Był również wiceprezesem

Związku Szpitali Powiatowych Województwa Śląskiego.

W wyborach reprezentował Koalicję Obywatelską. Po nich zawiązał sojusz z PiS-em.

Wcześniej wiceprezydentami odpowiedzialnymi za miejską służbę zdrowia, za pomoc społeczną, w tym za domy opieki, byli lekarze. Ale działacze partii Jarosława Kaczyńskiego na wiceprezydenta odpowiedzialnego za tę działkę wyznaczyli niejakiego Waldemara Gawrona.

Karierę w strukturach samorządu terytorialnego zaczynał jako szeregowy strażnik miejski, zakładający blokady na koła nieprawidłowo zaparkowanych samochodów. Następnie awansował na kierownika Referatu Prewencji Straży Miejskiej w Bytomiu, aby zostać wiceprezydentem miasta.

DPS „Kombatant” jest tylko jednym z kilku ognisk epidemii w Bytomiu. To powoduje, że w mieście prezydent co kilka dni ogłasza śmierć kolejnego mieszkańca.

MATEUSZ CIEŚLAK
mcieslak@redakcja.nie.com.pl

Hau, hau, hau...

...psy szczekają, koronawana jedzie dalej.

Izolacja sprzyja przemocy domowej. Osoby doświadczające takiej przemocy znalazły się w sytuacji zagrożenia życia. Wszyscy o tym piszą z perspektywy ofiar. A z perspektywy policjanta?

Zgłosili się po mundury, bo to pewny chleb. Socjalne bezpieczeństwo. W ogóle bezpieczeństwo. Rodzice ledwo kleili koniec z końcem. Wystarczyło zdać test z wuefu i witaj w lepszym życiu. Szkołka w Szczytnie, awanse co 2 lata, nie ma mowy o redukcjach. Nikt nie sądził, że będzie taka chujnia. Interwencje w melinach, których lokatorzy widzieli lekarza tylko na porodówce, gdy przychodzili na świat.

Dla patroli kilka profesjonalnych masek. I instrukcja: Z tym koronawirusem to przesada. Wkładajcie, jeśli ktoś bardzo kaszle.

Tomka nosiło. Gdy się ma 24 lata, trudno wysiedzieć w czterech ścianach. Ojciec syczał, że syn przyniósł do domu chorobę. Od tego koronawirusa można przenieść się na OIOM albo cmentarz, albo i tu, i tu. On, Krzysztof, swoje lata ma i nie lubi takich podróży.

Z ojcowskiej gadki wynikało, że Tomek jest na kwarantannie z wyboru. Bzdura! Kumpel wrócił z Anglii, to co, miał go unikać? Londyńskie piwko przywiózł. Ale, takie z goryczką.

Z obu stron padały coraz mocniejsze argumenty, bo Tomek przypominał sobie szkolne lata. Ojciec miał ciężką rękę i żadnego zrozumienia dla pał.

Podniósł głos. Tata też ma zdrowe płuca...

W końcu rozsierzdzony pyknął rodziciela. Nie mocno, końcem dłoni. No, może zgłębiał się w pięść.

– Już ja cię urządzę! – wrzasnął papa i wykręcił 112.

Był wielkanocny poniedziałek, około trzeciej w nocy.

Sąsiedzi: – Ojciec Tomka nie ma jeszcze pięćdziesięciu wiosen, ale synalek tłukł go jak mokre żyto...

Policja ma listę z osób pozostających na kwarantannie. Patrol powinien interweniować w stroju ochronnym. Funkcjonariusze nie mieli nawet maseczek. Możliwości są dwie: pierwsza, patrolujący zlekceważyli informację; druga, nie dostali ostrzeżenia.

Tomek nie czekał na gości. Złapał kurtkę i pobiegł ulicą Kościuszki w stronę parku. Rodzic podał psom szczegółowy rysopis, a oni głowy mieli pełne instrukcji i dobrych chęci. Mogli odwrócić głowy. Tak pewnie by zrobili za 2 lata, może za rok. Młodzi są sprawnie wytropili ojca i zapakowali go do radiowozu.

– Posiedzisz, brachu, 48 godzin, dostaniesz zarzuty – usłyszał Tomasz.

– Czemu nie? – odszczeknął się.

Pomyślał, że chętnie się zdrzemnie. Ale tłum nie lubi, przypominał więc, że musi dostać jedynie. Takie są wymogi kwarantanny.

Wtedy zaczęły się schody.

Lekarz, musi go zbadać lekarz – uprzątnęli sobie funkcjonariusze.

Jak twierdzi rzecznik prasowy Komendy Miejskiej Policji w Suwałkach, w 70-tysięcznym mieście lekarza nie było. Żaden nie wyraził zgody na konsultację.

Budynek, w którym znajdują się pomieszczenia dla zatrzymanych, jest w remoncie. Trzeba wieść delikwentów do Augustowa (35 km) albo do Grajewa (75).

Pojawiają się rozbieżności w narracji. Policja twierdzi, że użyto telefonów.

– Z kwarantanny? Nie mamy miejsca... – usłyszeli.

Wiewióry utrzymują, że policjanci ustalili to samo, ale *per pedes*.

Tomasz zaczął się niecierpliwić, bo w radiowozie zeszytniały mu kolana.

Ruszyli w stronę Białegostoku, 125 km w jedną stronę. Słyszeli, że tam są miejsca dla osób zakażonych koronawirusem bądź o to podejrzewanych. Nadkomisarz Tomasz Krupa, rzecznik prasowy podlaskiej policji, opowiadał w gazetach, że miejsca są, a w zasadzie jedno miejsce: „Jak pokazuje doświadczenie, na razie jedno takie miejsce jest wystarczające”.

To, co się stało w stolicy województwa, nie jest jasne. Z przepisów wynika, że jeśli policjanci kończą interwencję domową zatrzymaniem delikwenta, znaczy to, że na miejscu zdarzenia ocenili, że są ku temu obiektywne podstawy. A nie tylko łzawa opowieść strony konfliktu. I nie jest tak, że ofiara ma prawo bezkarnie zmyślać, bo przy pomocy policji chce się na kilka godzin pozbyć domownika.

Przedstawiana przez policję wersja oficjalna jest taka, że gdy ojciec Tomasza przeżywał, zadzwonił do dyżurnego i wycofał zarzuty. Tym samym zniknęły podstawy do zatrzymania. Były i nie ma, ot co... Nie jest prawdziwa oszczercza plotka, że Białystok też nie znalazł celi dla Tomasza.

Tak czy siak, zatrzymanego odwieziono do domu. Wymierzono mu karę jak każdemu, kto opuszcza dom podczas kwarantanny.

Pozostaje mieć nadzieję, że zapłaci mandat, nie fatygując sądu. Już widzę tę opowieść: – Cud, że nie wyskoczyłem oknem! W ostatniej chwili ojciec zasłonił je swoim ciałem. Jestem wrażliwym człowiekiem. Przez kwarantannę nerwy mam napięte jak postronki. Oglądałem ostatnio film, w którym policjanci omyłkowo zadłgali człowieka... Oni wcale nie pukali. To łomot był. I krzyk: „Otwierać, bo wyważymy drzwi!”.

Co z policjantami z patrolu? Są na kwarantannie.

BOŻENA DUNAT

bdunat@redakcja.nie.com.pl

Rys. HENRYK CEBULA

REBUS 2



Wieści gminne i inne

42 stacje mierzące przepływ wód w rzekach (na 500 istniejących w całej Polsce) odnotowały stan poniżej normy. W zeszłym roku było ich 10 – poinformował rzecznik prasowy Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej Grzegorz Walijewski. Poziom Wisły wynosi w Warszawie 70 cm. W zeszłym roku był o 18 cm wyższy. Jeszcze nam tylko brakowało, żeby Wisła się od nas odwróciła.

56-letnią mieszkankę gminy Opatów zatrzymano do kontroli drogowej, ponieważ jej samochód zachowywał się, jak gdyby miał 2 promile alkoholu we wtryskiwaczu. Jak się okazało, kierowczyni była również pijana. Po przeprowadzeniu czynności zwolniono kobietę do domu. Wyruszyła ona w podróż rzeczonym samochodem. Ponownie natknął się na nią patrol policji. Tym razem nietrzeźwe auto i jej właścicielkę odstawiono na parking policyjny.

Grupa Energa, dostarczająca prąd do 2,7 miliona odbiorców, zamontowała na

slupach energetycznych platformy umożliwiającej bocianom łatwiejsze budowanie gniazd. Platform jest 11,5 tys. Ich zaleta jest taka, iż drapieżnikom chcącym zjeść młode bocianiętko trudno jest się wspiąć na słup wysokiego napięcia. Wadą – to, że świństwa, z jakich bociany budują swoje gniazda, mogą spowodować zwarcia lub uszkodzenia linii energetycznej, a w rezultacie przerwy w dostawach prądu – tłumaczy zarząd Energi. W przypadku owych przerw należy skontaktować się ze specjalnym numerem telefonu w spółce Energa – 801 BOCIAN.

Ulice Kielc zaatakowały chmury śmieci. Nie wiadomo, skąd nadeszły. Worki foliowe, reklamówki, rękawice, a także papierzyska powiewają na drzewach i płotach oraz leżą na podwórkach w okolicach ulic Zagnańskiej i Peryferyjnej. Urząd Marszałkowski natychmiast przeprowadził kontrolę w przedmiocie tego, kto jest winny. Na razie nie wiadomo, ale jeśli będzie wiadomo, winnego spotka surowa kara.

40-letni mężczyzna, który wyruszył z Belgii na rowerze, po trzech dniach jazdy w końcu dotarł do Polski. Przekroczył granicę w miejscu nieoznakowanym, licząc na to, że ujdzie to uwagi Straży Granicznej.

Nie uszło. Skierowano go na przymusową 14-dniową kwarantannę, a za nielegalne przekroczenie granicy musi zapłacić 500 zł mandatu.

Sen z powiek urzędników wrocławskiego ZUS-u spędza niejaki Stanisław Kowalski urodzony 14 kwietnia 1910 r. w powiecie koneckim. Jak łatwo obliczyć, przekroczył

on średnią statystyczną życia w Polsce, przewidzianą w kalkulacjach ubezpieczalni, o 30 lat. Kowalski jest też rekordzistą Europy w biegu na 100 m w swojej kategorii wiekowej – z czasem 32,79 sekundy. Prawdopodobnie wystartował w tej gonitwie sam. Nadzieje na to, że koronawirus przywróci Kowalskiemu prawa naturalne, również okazały się płonne.

Zupełnie bezpiecznie można by się poruszać autostradą A4 z prędkością 250 km/h, gdyby nie tarnowska policja, której każdy postęp, nawet prywatny, w rozwoju motoryzacji kojarzy się z możliwością podniesienia wyników wykrywalności oraz premii. Tym razem gliniarze dopadli 58-latkę, który zupełnie spokojnie jechał sobie z zachodu na wschód bmw ze wskazaną prędkością. Przez policję nie zostało docenione również to, że kierowca od ponad dwóch lat nie miał uprawnień do prowadzenia pojazdów. Nie zniechęciło to tego kulturalnego mężczyzny do przekraczania kolejnych barier narzuconych człowiekowi przez naturę.

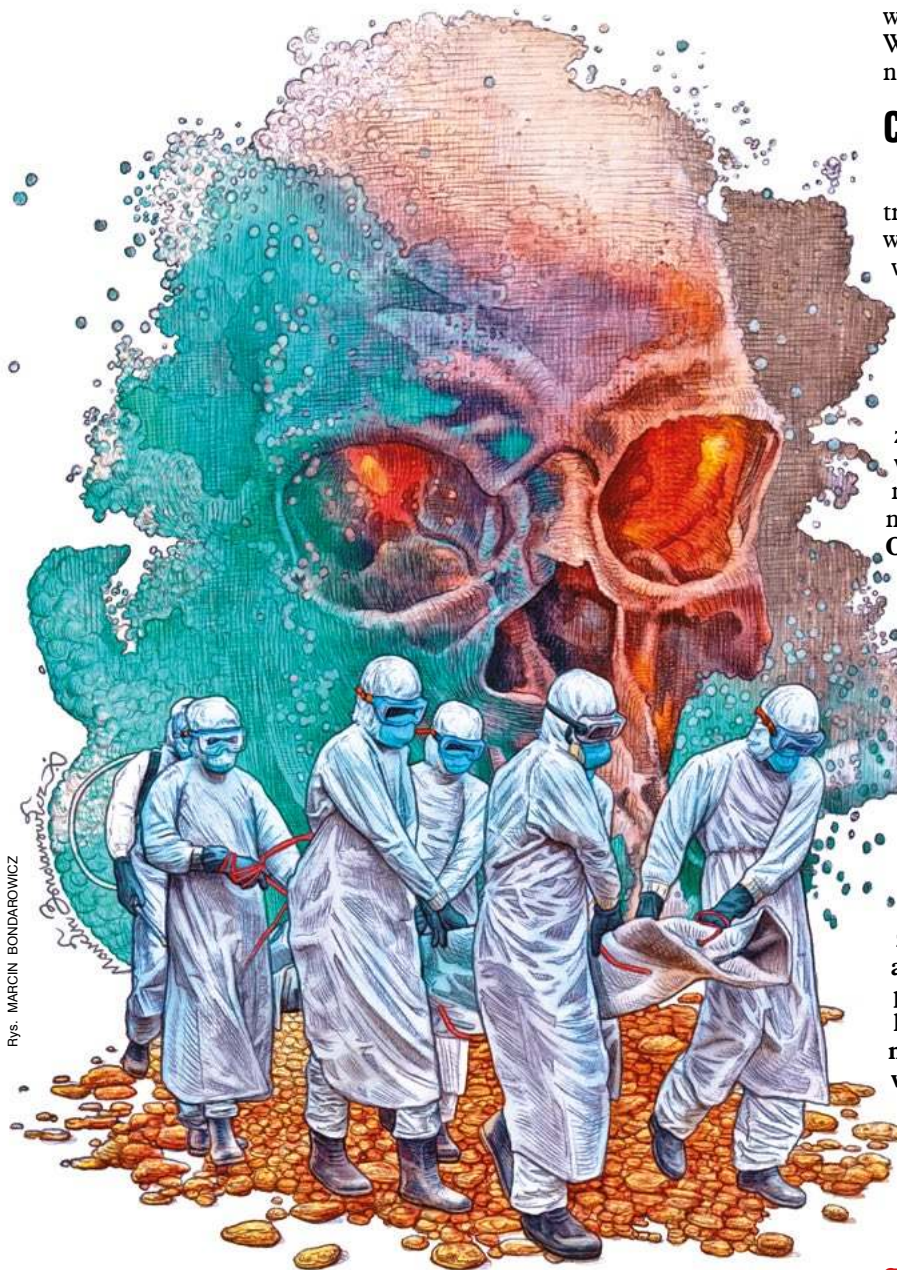
Stabości charakterologiczne, dające kolejny przyczynek do niekończącej się dyskusji o wpływie umysłu na fizjologię i fizjologię na umysł, dopadły mieszkankę warszawskiego Gocławia, przebywającą w dłuższej już izolacji w mieszkaniu w bloku na VIII piętrze. Podejmując walkę z nieznanymi i niezbadanymi do końca okolicznościami, kobieta ciskała w nie doniczkami, nożami, walizkami, torbami z nieznaną zawartością, skrzynkami oraz aparatem fotograficznym. Przedmioty te wylatywały przez okno balkonowe, nie czyniąc okolicznościom prawdopodobnie żadnych szkód. Walkę przerwała straż pożarna, która na wysokość VIII piętra za pomocą podnośni-

PANOWIE, JEST CHUJOWO, ALE STABILNIE



Władza obcina rękę

Jezusa Chrystusa najłatwiej rozpoznać po tym, że potrafi zmartwychwstać. Dlatego wiadomo, że pojawił się w Polsce.



Rys. MARCIN BONDAROWICZ

dzieli, że Piotrek pod wpływem psychoaktywnego koktajlu mógł odkryć w sobie Chrystusa. Powinien też mieć prorocze wizje i halucynacje.

Nie rozważając kwestii, czy mają przed sobą świętego człowieka, czy może zwykłego menela, policjanci podnieśli Piotrkę z ławki. Trzymając za ramiona, ponieśli w kierunku radiowozu i umieścili go na tylnym siedzeniu. Obaj zgodnie napisali w służbowych notatkach, że Piotrek vel Chrystus w tym czasie „**był brudny, przemoczony, czuć było od niego odór braku higieny osobistej, nie wyczuło od niego woni alkoholu**”.

Radiowóz przewiózł Piotrkę do Komendy Powiatowej Policji w Świeciu.

W aucie Piotrek oprzytomniał. Zapisano bowiem, że był ospały i ciągle ziewał. Siły dobra i zła nadal toczyły bój o jego duszę. Jak zauważono, „**podczas wykonywania czynności służbowych w KPP zatrzymany wykonywał polecenia funkcjonariuszy**”, ale był „**wulgarny i agresywny słownie**”. To dowodziło, że anioł i diabeł nadal wiedli zażarty bój o jego duszę, a może i o ciało.

W komendzie policjanci oznajmili, że posiadanie 1,2 g psychosuszu w połączeniu ze znacznie większą ilością narkotyków przechowywaną w organizmie to przestępstwo z art. 62 ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii. Sąd stwierdzi, czy Piotrek posia-

dał przy sobie ilości hurtowe (na co wskazywał jego stan), czy niewielkie. W zależności od tego zostanie skazany na 10 lat paki lub mniej.

Chce mu si spyć

Przygotowano przytulną celę. Piotrek jednak zaczął dawać znaki, że wybiera się w zaświaty. Policjanci wsadzili go do radiowozu i pojechali do lekarza.

Za badanie proroków oraz wizjonerów na terenie Świecia odpowiadał Niepubliczny Zakład Opieki Zdrowotnej. Lekarz NZOZ wyszedł z gabinetu. Spojrzał w głab radiowozu, po czym orzekł, że Piotrkę można przymknąć. W karcie badania napisał: „**Chy w sku ogolu dobrym. Obod wpływem środków oduytých. Odpociada na prste pytnia. Chce mu si spyć. Mue przybywci w izbie zatrzymci. Bez urarów**”.

Domyślać się należy, że to krótkie sprawozdanie sprzeczne jest z tym, co policjanci widzieli. Obaj bowiem zgodnie napisali, każdy w osobnej notatce, że Piotrek nie odpowiadał na pytania lekarza: „**Lekarz dyżurujący podszedł do radiowozu i dokonał konsultacji medycznej. Podczas badania mężczyzny przez lekarza zatrzymany utrzymywał kontakt, ale nie odpowiadał na zadawane przez niego pytania. Po konsultacji lekarz wystawił stosowną dokumentację, pozwalającą na konwojowanie i przebywanie zatrzymanego w Pomieszczeniu dla Osób Zatrzymanych**”.

Policjanci badaniem nazywali sytuację, gdy lekarz stał obok radiowozu, a pacjent siedział wewnątrz.

Jeśli tak wygląda konsultowanie proroków i wizjonerów w całej Polsce, to nie dziwi wysoki odsetek ich śmiertelności.

Test na stan świętości

Policjanci zawieźli Piotrkę z powrotem na komendę. W notatkach poziali się, że musieli go targać niczym worek ziemniaków: „**Decyzją dyżurnego Komendy Powiatowej Policji w Świeciu, z uwagi na problem w samodzielnym poruszaniu się, za-**

trzymany mężczyzna został doprowadzony do celi przy użyciu technik transportowych, tam osadzony i ułożony w pozycji bezpiecznej”.

Nad bezpieczeństwem Piotrkę czuwano po południu, wieczorem i w nocy. Pomagała w tym kamera, której oko stale na niego spoglądało. Na zabezpieczonym monitoringu widać, że od momentu położenia go Piotrek leżał nieruchomo jak trup. Cały czas w tej samej bezpiecznej pozycji, w jakiej ułożyli go policjanci. Z pewnością uznano, że prorok zapadł w trans i właśnie doznaje wizji, które być może pomogą zbawić świat. Dlatego mu nie przeszkadzano.

O wpół do siódmej rano policjanci uznali, że koniec z transem. Wkroczyli do celi, aby proroka obudzić. Pobudka była żołnierska: jeden z funkcjonariuszy szarpał Piotrkę za ramię, drugi kopnął go w jądra, co zarejestrowała kamera.

Piotrek nawet nie westchnął. Nie otworzył oczu, nie poruszył się. Policjanci uszanowali tę niemoc. Wyszli z celi. Dopiero po trzech godzinach wezwali pogotowie.

Zmartwychwstanie

W Karcie Medycznych Czynności Ratunkowych czytamy: „**Pacjent głęboko nieprzytomny, charczący, bez jakiegokolwiek reakcji. Według policjanta w takim stanie bez kontaktu od wczoraj od godz. 18**”. W karcie tej są 4 możliwości na opis otwierania oczu: „**spontaniczne, na głos, na ból, brak**”. Nie wiadomo, czy ponownie kopnięto go w jądra. Wpisano ostatnią opcję. Reakcja słowna: „**brak**”. Reakcja ruchowa: „**brak**”. Z pozostałych wskazań wynika, że mózg Piotrkę niemal się wyłączył. Jego stan określono jako bardzo ciężki.

Karetkę zawiozła Piotrkę do szpitala w Świeciu. Jak sądzili medycy, tylko po to, by za jakiś czas stwierdzić śmierć pnia mózgu i odłączyć aparaturę podtrzymującą funkcje życiowe organizmu. Ale lekarze się uparli. Zainwestowali w Piotrkę mnóstwo czasu, leków i pieniędzy. Sprawili, że zmartwychwstał.

Jedno im nie wyszło: jedna ręka Piotrkę pozostała bezwładna. Cały czas spędzony w celi przeleżał na niej, ułożony w „**pozycji bezpiecznej**”. Ręka jest już na zawsze martwa.

Dzięki cudowi zmartwychwstania sąd mógł skazać Piotrkę na więzienie. Lekarz z NZOZ w Świeciu nadal może konsultować proroków, gdy ich przywiezie policja. Ta nie ma sobie absolutnie nic do zarzucenia. Na dowód tego przedstawiła dokumentację związaną z zatrzymaniem Piotrkę – włącznie z monitoringiem celi. Ławka, obok której leżał, a później na niej siedział, też stoi. Być może kiedyś stanie się przedmiotem kultu.

MATEUSZ CIEŚLAK
mcieslak@redakcja.nie.com.pl

Polskie niebo wygląda jak należy. Jest w nim św. Piotr, który, jak wiadomo, dziurzy klucze do nieba.

W niebie jest wielu aniołów stróżów. Jezus Chrystus czuje, że jest dobrze strzeżony. Pomniejsi aniołowie karmią go, wyprowadzają do łaźni i na spacer. Miejsce spacerowania jest jedynym, gdzie w polskim niebie nie ma krat. Ale za to wokół wzniesiono mur, którego żadne trąby jerychońskie nie zwałą. Wszystko dla bezpieczeństwa Jezusa. Po drugiej stronie jest bowiem świat pełen niebezpieczeństw, koronawirusa i pokus.

Świętość i grzech

Przed wniebowstąpieniem Jezus miał na imię Piotrek (obydwa imiona prawdziwe). Jako Piotrek leżał na ziemi obok ławki między ul. Słowackiego i al. Jana Pawła II w Świeciu i cierpiał katusze. Diabeł ciągnął go do piekła, anioł zaś proponował raj ze stacją przesiadkową w czyśćcu.

Piotrek sporo życia nagrzeszył. Nie raz i nie dwadzieścia coś buchnął ze sklepu. Rachunków i podatków nie płacił. Uprawiał seks pozamałżeński. Sikał w parku miejskim i na ulicy. Wdawał się w bójkę.

Miał również na koncie chwalebne uczynki. Jak już wdawał się w bijatykę, to przecież zwykle obrywał. Zamiast potulnie odejść, znów stawał do bitki i dostawał kolejne manto. Podobne to było do nadstawiania drugiego policzka. Ostatniej konkubinie nigdy nie dał po mordzie. Przeprowadzał staruszki na drugą stronę ulicy.

Gdy napatoczył się patrol policyjny, siły dobra i zła musiały walczyć o duszę Piotrkę. Czart ciągnął w lewo, a anioł w prawo.

Policjanci wysiedli z samochodu. Zagadali do Piotrkę. Ten jednak, wciąż rozdzielany przez sługi Szatana i Boga, nic nie odpowiedział. Jeden z funkcjonariuszy trącił go lekko. Piotrek zacharczał. Gdyby zaśpiewał „**Hosanna!**”, wiadomo by było, iż zdążył w kierunku świętości. Chłarcie mogło oznaczać, że triumfują siły zła.

Policjanci jego charkot zrozumieli opacznie. Usadzili Piotrkę na ławce. Nie cuchnął alkoholem, podejrzewali więc inną przyczynę jego stanu. Sprawnie go przeszukali. W lewej kieszeni znaleźli „**woreczek strunowy**” zawierający 1,2 g „**suszu roślinnego koloru zielonego**”. Marihuana!

Hurtownia cielesna

Oceniając, że Piotrek może mieć więcej suszu, policjanci zatrzymali go za posiadanie hurtowych ilości substancji odurzających. Mieli rację. Badanie toksykologiczne, gdy już do niego doszło, wykazało obecność całkiem pokaźnej ilości marihuany oraz metoksyfedryny. W opracowaniu, z którego korzysta Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Dariusz Błachut i Bogdan Szukalski dowo-

ka kosztowego wciągnęła policję. Pogotowie ratunkowe przekazało wariatkę, tam gdzie trzeba. Podane specyfiki rzekomo jej pomogły.

Wrocławskiemu magistratowi zabrakło pieniędzy, ponieważ spodziewane wpływy z podatków CIT i PIT jeszcze nie nadeszły. Dlatego ogłosił przetarg na kredyt krótkoterminowy w kwocie 100 mln zł. Nie jest to oczywiście dużo przy budżecie Wrocławia wynoszącym prawie 5,5 mld zł. Urzędnicy też nie czują opresji z powodu ewentualnego braku pensji. W grudniu urząd wypłacił nagrody pracownikom, suma nagród nie jest znana, ale dyrektor Wydziału Bezpieczeństwa i Zarządzania Kryzysowego otrzymał 61 tys. zł. Administracja Wrocławia może więc przetrwać ewentualną zapaść w finansach miasta, polegając na środkach prywatnych.

Ofiarami pandemii padły 5-miesięczny szczeniak wielorasowy, kilkunastoletni pies marki york i kot pośledniego pochodzenia w Wałbrzychu. W domowej atmosferze dwóch nastolatków z nudów, jak twierdzą, kopało zwierzęta, podduszało, a także odbywało z nimi stosunki seksualne. Filmy dokumentujące te interesujące osiągnięcia publikowali na portalu TikTok, którymi zainteresowała się również poli-

cja. Inspektorzy od ochrony zwierząt, którzy wraz z policją nawiedzili mieszkanie, utrzymują, że kot wytysiał.

67-letnia kobieta zginęła w pożarze przenośnej toalety w wielkopolskich Obornikach. Jest to zarazem drugi popis takiej cynicznej śmierci w ostatnich latach. Do poprzedniego doszło w Kołobrzegu, jeżeli nas pamięć nie myli. Wydaje nam się, że problemem łatwopalności wychodków klasy Toi Toi powinny zająć się wreszcie jakieś władze, zanim ofiar będzie więcej.

Ponieważ śmierć jednostki to tragedia, a milionów to statystyka, teraz będzie o statystyce. Milion pszczoł splonęło żywcem z powodu ognia i suszy w pasiece w Książu Śląskim pod Zieloną Górą. Pożar w ciągu kilkunastu minut strawił kilkadziesiąt uli. W tym 36 rodzin po ok. 30 tys. pszczoł każda. Według analiz Instytutu Badawczego Leśnictwa prawie cały kraj objęty jest trzecim stopniem zagrożenia pożarowego. Czekają nas susza, pożary i burze piaszkowe. Czyli spodziewajcie się więcej statystyki.

W marcu Polacy wypłacili z bankomatów 30 mld zł – informuje Narodowy Bank Polski. Jednocześnie bank odkupił od instytucji finansowych obligacje skar-



Rysunki TOMASZ WATEK

bowe za 30,7 mld zł, płacąc dodrukowanymi pieniędzmi (w praktyce stworzonym przez klawiaturę komputera pieniądzem elektronicznym). Krzysztof Kowalczyk z Departamentu Emisyjno-Skarbowego NBP utrzymuje, że forsę w Polsce nie zabraknie. Banki i Poczta Polska na bieżąco zaopatrywane są w gotówkę. Banknoty są również dostępne także w bankomatach –

wyjaśnia dyrektor Kowalczyk, gdybyście tego nie wiedzieli.

Władze Bielska-Białej ufundowały pomnik dwóch bohaterów narodowych: kucharza Bartoliniego Bartomieja herbu Zielona Pietruszka oraz Smoka Wawelskiego, który na potrzeby filmu drogi, jakim był serial „Porwanie Baltazara Gąbki”, wcielił się

w rolę krakowskiego bezpieczniaka. Bielscy herosi odłani mają być ze spiżu i zająć miejsce na piedestale przy skrzyżowaniu ulic 11 Listopada i Ratuszowej. Jeżeli spiżu nie zabraknie, odsłonięcie zmetalizowanych postaci, tak bardzo zasłużonych dla historii Polski, nastąpi w grudniu.

Sezon pożarów wysypisk śmieci rozpoczął się na składowisku zużytych opon w Bierawie. Piękny, gęsty, czarny dym widoczny był z wielu kilometrów, a czerwono-pomarańczowe języki ognia przyciągały filmowców amatorów. Niemiecka telewizja ARD wytyka nam, że w minionym roku w Polsce wysypiska śmieci płonęły 117 razy. To zdaniem Niemców powinno zwrócić uwagę władz kraju na palący problem braku spalarni odpadów komunalnych. Niemcy chwalą się przy okazji, że mają 72 spalarnie i krytykują jednocześnie, że u nas jest ich tylko 7. Bezcelnie zarazem dodają, że Polska jest największym w Europie importerem niemieckich śmieci.

R.J.

Wiadomości pochodzą z mediów lokalnych. Dziennikarzom w terenie wirus przesłania, zdaje się, wszystko, włącznie z trudno mierzalnym zdrowym rozsądkiem. Dlatego jeżeli coś jest w powyższych relacjach nie tak, to przed sąd prosimy zaciągnąć COVIDA-19. My nie będziemy się tłumaczyć.

Jest początek marca. Włoski rząd przy aprobacie biskupów zamyka kościoły. Księża nie chrzczą, nie spowiadają i nie grzebią zmarłych.

W Polsce minister Piontkowski ogłasza, że szkoły, żłobki i przedszkola będą zamknięte, a w kościołach nie może być więcej niż 50 wiernych.

Metropolita warszawski kardynał Kazimierz Nycz zaprasza na uroczystą mszę z okazji 7. rocznicy wyboru papieża Franciszka. Msza ma się odbyć 12 marca w warszawskiej Świątyni Opatrzności Bożej. „Drodzy Diecezjanie, zapraszam Was wszystkich do Świątyni Opatrzności Bożej. Zapraszam księży diecezjalnych i zakonnych, osoby życia konsekrowanego, dzieci i młodzież; ruchy katolickie, grupy i wspólnoty parafialne” – pisze Nycz z dużych liter.

Inni biskupi też nie próżnują. Wzywają do uczestnictwa w mszach, rekolekcjach i modłach na Jasnej Górze w intencji walki z zarazą. „Kiedy w 1652 roku do Warszawy zbliżała się epidemia, w Bramie Nowomiejskiej umieszczono czczony przez warszawiaków obraz Matki Bożej Łaskawej Patronki Warszawy, Strażniczki Polski i modlono się o cud odpędzenia zarazy. Prośby zostały wysłuchane” – wypisuje na Twitterze Episkopat Polski.

„Zamknięte kościoły to droga niezbyt właściwa. Przypomnijmy chociaż św. Karola Boromeusza, który w czasie zarazy chodził z ludźmi w procesjach pokutnych” – głosi metropolita częstochowski abp Wacław Depo.

„Tak jak szpitale leczą choroby ciała, tak kościoły służą m.in. leczeniu chorób ducha, dlatego jest niewyobrażalne, abyśmy nie modlili się w naszych kościołach” – pisze w specjalnym oświadczeniu abp Stanisław Gądecki, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski.

Słowo w słowo powtarza to podwładny Gądeckiego, rzecznik KEP ks. Paweł Rytel-Andrianik.

Polski Kościół katolicki stoi murem za tym, żeby kościołów wiernym nie zamykać. Jednocześnie episkopat odwołuje zebranie plenarne. Taki zlot groziłby hierarchom zarażeniem. Świadczy to o tym, że biskupi nie odlecieli i doskonale wiedzą, o co z koronawirusem chodzi.

Chodziło jednak nie tylko o zdrowie, ale głównie o klapę finansową, którą od końca lutego raportowali proboszczowie.

7 lat temu abp Nycz mówił, że jego zdaniem z tacy polski Kościół ma 6 mld zł rocznie. Ludzie biegli w ekonomii religijnej uznali, że przestrzelił o 1,5–2 mld. Dziś, przy prawie 11 tysiącach parafii, 6 mld zł to jest dokładnie tyle, ile wierni przed koronawirusem rzucali na tacę. Łatwo zatem policzyć, że kościoły puste przez 2 miesiące to dla Kościoła miliard złotych w plecy.

REPREZENTACJA POLSKI W KOSZYKÓWCE



Na tacy nic nie szeleści

Na epidemii popłyną finansowo kina, teatry, filharmonie, stadiony i inne formy masowej rozrywki. Jednak z pewnym znanym wyjątkiem...

Na tym nie koniec. Kto może, wstrzymuje się z chrztem. Nikt nie daje na zapowiedzi. Jedynymi, którzy zasilają księżą kiesz, są rodziny zmarłych. Nie ma też hajsu z bierzmowania, a wiele wskazuje, że i z pierwszej komunii. Ustał strumyczek złotych, które parafie dostawały, prowadząc turystykę pielgrzymkową. Te kościoły, które wystarały się o miano sanktuarium, licząc na turystów religijnych, też biedują.

Szacuje się zatem, że koronawirus zuboży polski Kościół w roku 2020 co najmniej o 1,5 mld zł.

Śluby i chrzciny po koronawirusie szybko wyrównają straty, tak jak komunie i bierzmowania, ale na dziś w parafiach jest brzydza. Proboszczowie płaczą w mediach, że nie mają

z czego zapłacić pracownikom i dostawcom. Przestali nawet oświetlać i ogrzewać kościoły.

„Epidemia koronawirusa postawiła nas wobec sytuacji i trudności, z którymi nigdy dotąd nie przyszło nam się zmierzyć w naszym życiu i w naszej kapłańskiej posłudze. Trzeba więc gorącej modlitwy i roztropnej troski zarówno o dobro duchowe, jak i materialne powierzonych nam parafii” – napisał w liście do lubelskich księży abp Stanisław Budzik. Nakazał też księgom ograniczenie do minimum wydatków parafii, wstrzymanie się z podejmowaniem nowych inwestycji, a w przypadku zaciągniętego kredytu bankowego proponował rozważenie złożenia wniosku o odroczenie płatności. Hierarcha zachęca też do podania do publicznej wiadomości konta parafialnego i zachęcenia wiernych do dobrowolnych przelewów na bieżące potrzeby parafii.

Poza czym Budzik do odwołania zwolnił parafie z połowy poduszki, czyli zrzutki proboszczów na biskupa.

Arcybiskup lubelski przy okazji pokazał proboszczom owieczkę, którą w tej sytuacji powinni strzyc. Zobowiązał bowiem proboszczów i rektorów do zapoznania się z tarczą antykryzysową i, o ile to możliwe, dostosowania jej przepisów do kościelnych potrzeb administracyjnych. „Tarcza przewiduje także zwolnienie z opłacania składek za marzec, kwiecień i maj 2020 r. tych płatników, którzy na dzień 29 lutego



2020 r. zgłosili do ubezpieczeń społecznych mniej niż 10 osób i byli płatnikami przed 1 lutego 2020 r. Według interpretacji ZUS dotyczy to także parafii zatrudniających do 9 pracowników włącznie, bez względu na wymiar czasu pracy” – napisał Budzik.

Biskup świdnicki Ignacy Dec koszty koronawirusa przerzucił na wikariuszy. „Księża, którzy pobierają wynagrodzenie za prowadzenie lekcji religii, mają albo oddać 25 proc. ze swojej wypłaty, albo

wpłacić 1000 zł do kasy parafialnej” – napisano w zarządzeniu biskupim.

Dec do odwołania odroczył parafiom płatności na rzecz utrzymania kurii, seminarium duchownego i domu księży emerytów. W całości.

W diecezji Deca pojawiła się także e-taca – „tak, by każdy mógł złożyć dobrowolną ofiarę, wpłacając na konto swojej parafii i w ten sposób ją wesprzeć”.

Inaczej poszedł do zagadnienia arcybiskup Adam Szal. Wysłał mailem do wszystkich księży z Archidiecezji Przemyskiej zarządzenie. Zobowiązał w nim wszystkich proboszczów do wpłaty połowy przychodów z marca na diecezję, z kwietnia zaś na kurie.

Bieda dotykająca Kościół nie pozostawiła obojętnych polityków PiS. „Apeluję: prześlijmy swojej parafii lub tej, w której byliśmy tylko wirtualnie, naszą dzisiejszą składkę. Bóg zapłać!” – napisał w mediach społecznościowych bydgoski europoseł PiS Kosma Złotowski.

Dalej poszedł premier Morawiecki. Już w „pierwszej tarczy antykryzysowej”, tej, co kazała płacić na ZUS każdej firmie mającej na etatach więcej niż 9 osób, znalazł się prokowski myk. Wiadomo, że państwo pod postacią Funduszu Kościelnego pokrywa 80 proc. kosztów ubezpieczenia osób duchownych. Podatnika kosztuje to rocznie ok. 180 mln zł. 20 proc. na ZUS mają płacić księża. A właściwie mieli. W „tarczy” zapisano, że „na wniosek duchownego będącego płatnikiem składek zwalnia się z obowiązku opłacenia nieopłaconych należności z tytułu składek na obowiązkowe ubezpieczenia emerytalne i rentowe oraz wypadkowe, dobrowolne ubezpieczenie chorobowe oraz na ubezpieczenie zdrowotne należne z tytułu bycia duchownym, za okres od dnia 1 marca do 30 maja 2020 r.”.

To jednak nie wszystko, co Kościół mógł wycisnąć z rządowych pomysłów. Po zasiłki postojowe w wysokości 2080 zł na rękę dla osób pracujących na umowę o dzieło i zwolnionych z powodu epidemii zgłosiły się już setki organizmów. Proboszczowie przerzucili opiekę nad nimi na państwo. Większego pecha mieli ci, którzy na rzecz plebanii pracowali na czarno. Teraz są w dupie tego koloru.

Katecheci i stada kapłanów wojskowych, skarbowych i licho wie jakich martwić się o swój szmal nie muszą. Jedynym zagrożeniem dla ich dochodów nie jest jednak koronawirus, ale – jak wynika z listu abp. Budzika – biskupi.

Hierarchowie mogą jednak spać spokojnie. Morawiecki już pracuje nad kolejnymi „tarczami”, takimi, dzięki którym państwo zrekomensuje Kościołowi utraconą przez epidemię kasę.

Na razie zgodziło się, żeby do kościołów wrócili na msze wierni w większej liczbie. Jak wiadomo, w nabożeństwach od 20 kwietnia może uczestniczyć jeden modlący się na 15 mkw. Powierzchni kościoła, liczonej z przedsionkiem, okolicą ołtarza, zakrystią, a może i katakumbami.

TADEUSZ JASIŃSKI



Wieści z kruchty

+ Rzecznik Konferencji Episkopatu Polski ks. Paweł Rytel-Andrianik zaapelował do wiernych o modlitwę w intencji szybkiego przyjęcia projektu „Zatrzymaj aborcję”. Projekt przyszykowała fundacja Kai Godek. Zmierzają o całkowitego zakazu aborcji w Polsce. Niestety Kaczyński w dalszym ciągu jest głuchy na te modlitwy i skierował projekt ponownie do sejmowych komisji, czyli do tzw. zamrażarki. Nie bardzo on chce wojować na wielu frontach, zwłaszcza o sprawy, które mało go obchodzą. Woli się opłacać Kościołowi dotacjami.

+ Ks. Wojciech Lemański nieustannie szuka guza. Podzielił się bowiem taką re-

fleksją w mediach społecznościowych: „W zakrystii, w oczekiwaniu na kolejne zajęcia, przeglądam leżące na stoliku tygodniki katolickie. Moje zdanie nie jest tu miarodajne, ale poziom większości tytułów uważam za słaby, a nawet bardzo słaby. Reklama opłacona przez KPRM. Wielostronicowy wywiad z jednym, jedynym kandydatem na prezydenta RP. Kilkustronicowy program telewizji rządowej. Wkładka tradycjonalistów. Felietony dziwnie jednostronne. Gdyby nie parafialny kolportaż przed kościołami, już dawno te katolickie tytuły upadłyby. Teraz proces upadku dramatycznie przyspieszył. Po większości tych »katolickich« tytułów płakać nie będę”. Wywody ks. Lemańskiego nie mogły ująć uwagi braci Karnowskich: „Ks. Wojciech Lemański, zwolennik opozycji, swojego czasu widywany regularnie na manifestacjach KOD, daje sobie prawo

do bycia autorytetem moralnym” – odświeżyli się Lemańskiemu w swoich „Sieciach”.

+ Premier Morawiecki ogłosił luzowanie restrykcji, w tym zwiększył dopuszczalną liczbę osób w czasie mszy w kościołach. Teraz może to być jedna osoba na 15 mkw. Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki domagał się jednej osoby na 9 mkw. Chcąc się przypochlebić Kościołowi grupa posłów PiS (sam plankton) wystosowała apel do Morawieckiego, aby zrobił tak, jak chce Gądecki.

+ Biskup tarnowski Andrzej Jeż nakazał odprawianie mszy we wszystkich świątyniach i kaplicach z uwzględnieniem wytycznych państwowych. Na drzwiach świątyń ma być wywieszana kartka infor-

PAKIET ANTYKORONAWIRUSOWY W POLSCE



Mierni wierni



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Przedsiębiorcy żyjący z masowych spędów obawiają się, że po koronawirusie ludzie przestaną żyć stadnie. Obawy te potęguje zarówno Światowa Organizacja Zdrowia, jak i polski minister Łukasz Szumowski. Zapowiedzi mówią, że z koronawirusem przyjdzie nam żyć nawet przez 2 lata. Nikt więc nie będzie się narażał na zakażenie, bez sensu włączając tłum.

Do grona firm zależnych od publiczności należy Kościół katolicki. Najliczniejsza organizacja religijna w Polsce, która liczy około 33 milionów ochrzczonych w ponad 10 tysiącach parafii. Do katolicyzmu przyznaje się 93 procent populacji zamieszkującej Polskę. Według Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego (ISKK) w mszach uczestniczy około 38 procent zobowiązanych do tego wiernych.

Zobligowani do wzięcia udziału w niedzielnych nabożeństwach są wszyscy katolicy, którzy nie są dziećmi do lat siedmiu, chorymi czy ludźmi starszymi o ograniczonych możliwościach poruszania się. Kościelnym statystykom wyszło, że niedzielne maszerowanie na mszę powinno skuteczniać 82 procent katolickiej populacji. Co oznacza *circa* 27 milionów owieczek. Tymczasem – według oficjalnych danych kościelnych – chodzi ledwie 10 milionów.

O metodologii liczenia frekwencji w mszach pisałem kilka lat temu. Standardem zatem jest, że do raportu o realnej frekwencji na niedzielnych mszach przeliczeniowych (do udziału w których księża zwołują wiernych na wiele tygodni przed dniem liczenia, prosząc o przeprowadzanie na nie kogo się da) każdy proboszcz dorzuca 10–20 procent pospółstwa więcej. Diecezje dokładają swoje 10 procent i wyniki takie wędrują do ISKK. Zdaniem księży realna statystyka wiernych praktykujących powinna się zamykać w przedziale 6–7 milionów osób. To wciąż bardzo dużo, ale ledwie jedna czwarta ogółu polskich katolików i jakieś 20 procent ludzi mających czynne prawo wyborcze.

Na przełomie lutego i marca z Włoch zaczęły docierać wieści o koronawirusowym Armagedonie; włoscy kardynałowie polecili zamykać tamtejsze świątynie. W Polsce wielu czekało na to, kiedy i u nas pojawi się SARS-CoV-2. Katolicy też, ale wcale nie biernie. Pierwsze dwie niedziele marca pokazały, że mimo otwartych kościołów owieczki nie dopisały. Choć

wolno było w mszach uczestniczyć pięćdziesięciu osobom, to kościoły opustoszały. Proboszczowie szacowali, że jeśli w pierwszą niedzielę marca wiernych byli w stanie policzyć na palcach obu dłoni, to następnego tygodnia wystarczała im jedna dłoń.

Biskupi zgłupieli i ruszyli po pomoc do sprawdzonych w boju publicystów. To oni, a nie kler miał naganiać wiernych do świątyń.

Paweł Lisicki zagrzmiął więc, że „zawieszenie eucharystii to zdrada Chrystusa”, dowodząc, że dla włoskich biskupów „katolicyzm jest jedynie fasadą”. Wszak zawiesić sprawowanie mszy oznacza, że „przez kilka najbliższych tygodni wierni będą pozbawieni tych łask! Naraża się ich na utratę zbawienia”. Lisickiemu zawtórował Tomasz Terlikowski: „A Kościół (w tym przypadku

diecezje w Lombardii), który w momencie zagrożenia śmiercią (wątpliwego w przypadku tego wirusa) odwołuje Msze święte, czyli źródło jedynego prawdziwego życia, w istocie pokazuje swoją niewiarę w Eucharystię, Msze Świętą i życie wieczne”. Wkrótce potem Terlikowski dołożył, że epidemia to pikuś, bo „z perspektywy wiary nie ma ważniejszej rzeczy na ziemi niż sprawowanie mszy świętej, a dla ludzkiego życia wiecznego – nic ważniejszego niż przyjmowanie Komunii Świętej”.

„Boh trojcu ljubiti”, do tego grona dołączył więc Rafał Ziemkiewicz, oznajmiając, że „Kościół popełnia samobójstwo ze szczególnym udreżeniem. Na razie we Włoszech”.

Wizja piekła nie zapełniła kościołów. Wierni wykazali się rozumem i msze olewali. Zachowywali się dokładnie tak, jak zachowują się, gdy nie ciąży nad nimi presja sąsiedzka czy rodzinna. Nie chodzili do kościoła. Cała najnowsza polska emigracja, przez nikogo w Anglii czy Holandii, a nawet w Irlandii o katolicyzm nie

jest nawet podejrzewana. O Niemczech nie ma co wspominać, bo płacenia tamtejszego podatku na Kościół katolicki czy jakiegokolwiek inny żaden szanujący się Polak mieszkający za Odrą nie deklaruje.

Zagrożenia kościelną absencją dostrzegli publicyści od Kościoła odlegli. Zaczęli pisać, że „gdy tylko wierni zorientują się, że nie muszą być chłopami pańszczyźnianymi swoich proboszczów, mogą już w tym pokoleniu wybrać »lepszego dziedzica«, a w kolejnym w ogóle sobie »dziedziców« podarować”.

Zapowiadano zmiany w praktykowaniu religii. Prorokowano, że gdy Polacy przestaną chodzić zwyczajowo do kościoła, że w tym czasie można robić wiele innych przyjemniejszych rzeczy. Ludzie zauważają, że mimo niechodzenia do kościoła nie dopadł ich żaden dopust Boży, a niepoświęcona pisanaka smakowała tak jak poświęcona.

Wszystkie te wizje wieszczyły, że kilkutygodniowa przerwa w chodzeniu na msze odmieni oblicze ziemi. Naszej ziemi.

11 marca weszło w życie rozporządzenie ministra Łukasza Szumowskiego, że w kościołach oprócz księży nie może być więcej niż 5 uczestniczących w mszy osób. Kilku biskupów diecezjalnych – np. tarnowski – ogłosiło, że zamyka kościoły i msze będą się odbywały bez udziału wiernych. ISKK rozesłał do parafii ankiety z prośbą o podanie frekwencji w niedzielę 15 marca. Kościół mógł po ich spłynięciu ogłosić, że na msze przyszło 4,4 procent wiernych, podczas gdy zwykle frekwencja wynosi 38,3 proc.

Według podanych przez ISKK danych, w pierwszą niedzielę obowiązywania restrykcji w mszach wzięło udział prawie 1,2 miliona owieczek.

Cud! Gdyby podzielić tę liczbę na 5 osób w jednym nabożeństwie, to w Polsce tego dnia musiało się odbyć 237 600 mszy. Czyli w 10 tysiącach kościołów jedna co godzina, przez całą dobę. A nawet więcej, bo pamiętajmy, że setki kościołów były zamknięte.

Albo zatem księża i wierni nie przestrzegali prawa i modlili się stadnie (co jest przy pandemii niemożliwe), albo ktoś jak zwykle kłamie.

Łgarstwo to ma 2 cele i jest skierowane do PiS. Ponadmilionowa frekwencja w kościołach ma władzy pokazywać, że mimo koronawirusa Kościół wciąż jest ważnym rozgrywającym na szachownicy politycznej. I jako takiemu należy mu się od władzy, w zamian za jej popieranie, rekompensata za stracone wpływy finansowe.

Oczywiście PiS to łyknie. Nie licząc jednak na magiczny wpływ Kościoła na elektorat, bo sam znalazł lepsze metody sterowania wyborcami. PiS będzie udawało – jak dotychczas – wiarę w potęgę biskupów. Ale tylko dlatego, że poza kasą episkopat nie chce nic więcej.

Nie sprawdzą się też obawy czarowników, że Polacy przestaną chodzić do Kościoła. Tam, gdzie mieli alternatywę, czyli w miastach, przestali bowiem już dawno. A w małych miasteczkach i na wsiach poza umożliwiającą spotkanie znajomych mszą i tak nie ma nic do roboty. Dlatego wraz ze spadkiem zakażeń kościoły będą się zapełniać ludźmi, dla których katolicka celebra nie ma nic wspólnego z niebem, piekłem czy życiem innym niż towarzyskie.

TADEUSZ JASIŃSKI

REBUS 3



mująca o dopuszczalnym limicie (osoba na 15 mkw. powierzchni). Ale wprowadził coś w rodzaju biletów wstępu. Pierwszeństwo udziału w nabożeństwie mają mieć osoby, które zamówiły intencje mszalne, czyli zapłaciły. Pozostali wierni mogą nie przychodzić i korzystać z dyspensy od obowiązków uczestniczenia w niedzielnej mszy.

✚ W miejscach publicznych trzeba mieć zakrytą twarz. Pojawił się problem: czy ksiądz sprawujący mszę powinien mieć maseczkę? Agnieszka Pochręst-Motyrczyńska z Biura Komunikacji Ministerstwa Zdrowia powiedziała Katolickiej Agencji Informacyjnej, że „obowiązek noszenia maseczek dotyczy przebywania w miejscach ogólnodostępnych, w tym w obiektach kultu religijnego, a to oznacza, że będą mu także podlegać osoby

sprawujące kult i asystujące, czyli księża i ministranci”. Z kolei wiceminister zdrowia Janusz Cieszyński stwierdził dla portalu „Wirtualna Polska”, że „o ile wierni będą musieli mieć zakryte usta i twarz, o tyle osoby sprawujące mszę już nie”. Spór teologiczny w łonie ministerstwa trwa. Rzecznik episkopatu Rytel-Andrianik wybrał interpretację wiceministra i ogłosił, że księża odprawiający nie muszą nosić maseczek.

✚ Pierwsze komunie odbywają się najczęściej w pierwszą niedzielę maja. Większość parafii podjęła decyzję o przełożeniu uroczystości na wrzesień, niektóre jeszcze czekają na rozwój sytuacji, choć na co tu czekać? Sytuacja się nie zmienia, a dzieci raczej do szkół nie wrócą w tym roku szkolnym. Biskupi diecezjalni przestrzegają jedynie, żeby nie przenosić

pierwszych komunii na 2021 r. A niby czemu nie? Pearl Jam, Nick Cave, Kiss już poprzenosili swoje trasy koncertowe na 2021 r., więc czemu nie przenieść komunii? Apelujemy jedynie do rodziców chrzestnych. Jeśli kupiliście tablety czy laptopy dla chrześniaków, to już im dajcie. Potrzebują do zdalnej nauki.

✚ Szymon Hołownia, kandydat na prezydenta bez żadnych kompletnie szans na zwycięstwo, człowiek kojarzony wcześniej z katolicyzmem, ogłosił, że „nie rozumie tego uprzywilejowania w kontaktach z państwem”. Hołownia dodał, że „dzisiaj Kościół musi być społeczny, a nie teologiczny. Elementem bycia z ludźmi jest również apelowanie do władz, by powstrzymały się w swoim szaleństwie, w swojej pogoni do władzy po trupach i doprowadziły do przełożenia terminu

wyborów”. Hołownia dał tym samym wyraz, że nie rozumie Nowego Testamentu. Tam bowiem napisano: Kościółowi od państwa kasę i ulgi podatkowe, a państwu od Kościoła milczenie w sprawach kontrowersyjnych.

✚ „Nasz Dziennik” reklamuje przepis Matki Bożej na napój, który pomoże w walce z koronawirusem: suszone owoce glogu należy zalać szklanką gorącej wody, dodać szczyptę imbiru oraz łyżeczkę miodu lipowego, do tego łyżeczkę soku z cytryny. Przepis na napój Matka Boża podała za pomocą SMS-a rycerze Bożenie z Koszalina. Napój należy pić rano i wieczorem. Cudowny napój zaleca się popijać dodatkowo wodą święconą egzorcyzmowaną lub błogosławioną z cudownych miejsc, ale wydaje się nam, że sam napar z glogu wystarczy. Nie pomo-

że, ale na pewno nie zaszkodzi, tak jak inne treści z Rydzikowych mediów.

✚ Bp Ignacy Dec z diecezji siedleckiej w związku z 75. urodzinami przechodzi na emeryturę. Papież Franciszek nie poprosił go o to, aby dalej pełnił swoją posługę. Dec to wielki admirał ojca Rydzyka. Znany był ze swoich krzepiących wypowiedzi: zarzucał Żydom mordy rytualne, twierdził, że LGBT to nowy rodzaj marksizmu, krytykował strajkujących nauczycieli. Jego następca nie jest lepszy. Bp Marek Mendyk zwalcza tęczowe piątki w szkołach, domaga się religii na maturze, zaatakował nawet rządowy elementarz, twierdząc, że rysunek smoka promuje czarną magię. Czyli w diecezji zostanie po staremu.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

J.P. 2 padł ofiarą pandemii.

Niech żyje martwy papież

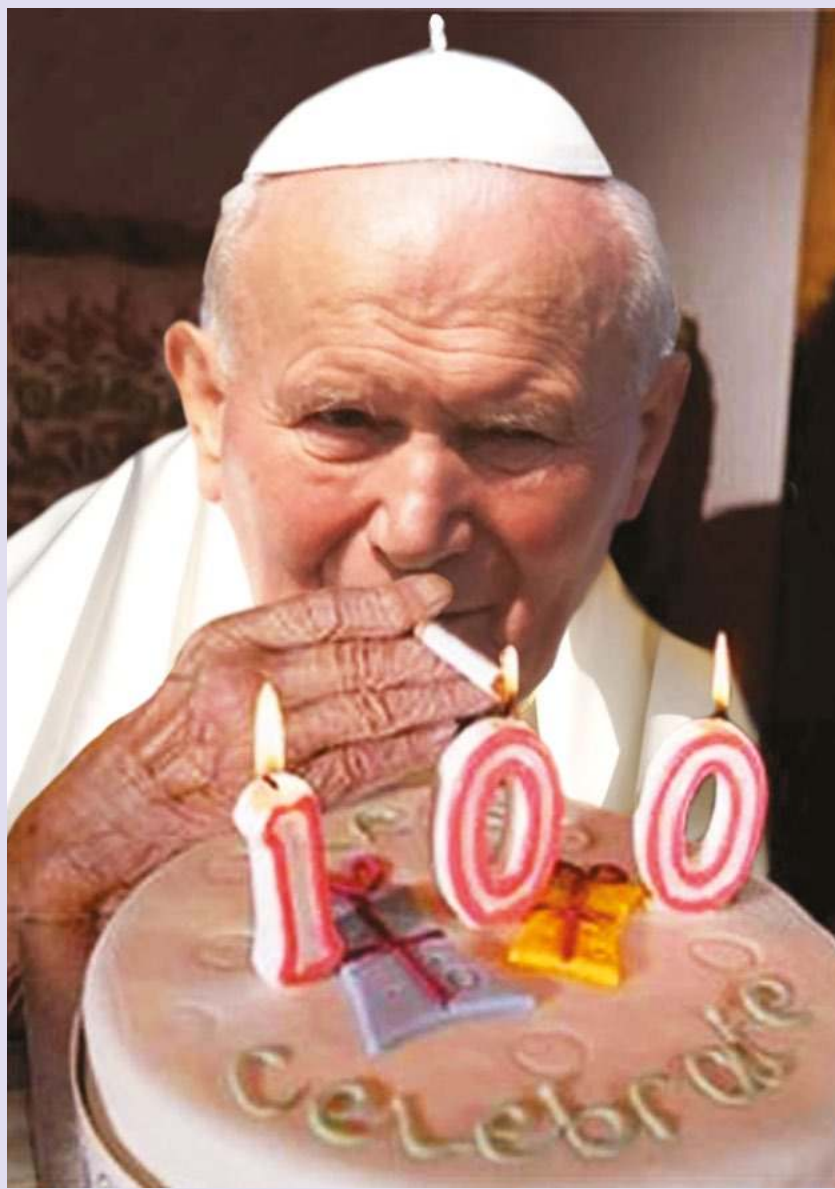
Mało brakowało, a gasnący kult polskiego papieża nabrałby nowego blasku. 2020 to rok okrągłych i półokrągłych rocznic związanych z Karolem Wojtyłą, znanym bardziej pod scenicznym pseudonimem Jan Paweł II. 2 kwietnia przypadała 15. rocznica jego śmierci, 18 maja zaś to 100. rocznica urodzin. Miały być obchody na miarę stulecia odzyskania niepodległości, a szykuje się ledwie dostrzegalny epizod w medialnej zawierusze wokół koronawirusa.

2 kwietnia pandemia

szalała w najlepsze,

nie bojąc się ni Pana Boga, ni pana Karola z Wadowic. Polacy wyczekiwali raczej doniesień o kolejnych zarażeniach i ofiarach COVID-19, niż o encyklikach J.P. 2. Prawicowe i katolickie portale przemycaly teksty o spuściźnie po największym ze Słowian i Słońcu Watykanu, a media głównego nurtu pokazywały sztabowe laurki na cześć zaprzeszłego papieża, ale skala była niewspółmierna do oczekiwań kustoszy pamięci po Wojtyłę. Poutykany na mapie Polski jak zapalki pomnikami byłego szefa Kościoła interesowały się głównie gołębie, i to bynajmniej nie w pokojowych zamiarach. Z powodu niedożywienia wynikającego z nieobecności staruszek w parkach nie mogły jednak zbyt obficie oddać jedynego hołdu, na jaki je było stać.

Zebrana w fiolkach krew papieska zalewa kardynała Dziwisza. Umknęła mu szansa na podreperowanie nadwątlonej ostatnio reputacji szefa. W wyjątkowych okolicznościach były metropolita krakowski uczynił ze swego byłego protektora orędownika w walce z wirusem. „Zapalmy świecę na znak miłości i wdzięczności Ojcu Świętemu za to, że był z nami. Jesteśmy świadomi, że tak jak za życia jego modlitwa była skuteczna, tak



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

i dziś wesprze nasz naród i świat, pomagając przejść te trudne chwile” – apelował do wiernych Dziwisz. Przypomniat, że w czasie stanu wojennego świecę w oknie zapalił J.P. 2, zatem Polacy w czasie epidemii powinni czynić jako i on czynił, bo to sytuacje niemal tożsame. Niechcący

wkopał tym PiS, demaskując zamiary ograniczania wolności Polaków. Liczymy, że z Watykanu popłynie w związku z tym kasa i dyplomatyczna pomoc dla antypisowskiej opozycji. Dramatyczny apel kardynała seniora nie spotkał się jednak z szerokim odzewem i w większości okien

żarzyły się tradycyjne żarówki. Póki jest prąd, trzeba korzystać.

Kolejnym nieudanym etapem

reaktywowania pamięci

po papieżu była „Niedziela Miłosierdzia Bożego”, przypadająca tydzień po Wielkanocy, w tym roku 19 kwietnia. To również okrągła rocznica, święto to ustanowił bowiem Wojtyła 20 lat temu. Jego genezę są zwane objawieniami urojenia Faustyny Kowalskiej, katolickiej świętej, która była święcie przekonana, że gada z Jezusem. W klinikach pełno tego rodzaju osobników. Ba, nie brak tam Jezusów! Ale Kościół wybiera sobie poszczególne egzemplarze, pasujące mu do obrazka. Resztę nazywa obłąkanymi lub opętanymi.

W dzienniku choroby, znanym pod tytułem „Dzienniczek”, Faustyna zanotowała, że Chrystus powiedział jej pewnego razu: „Pragnę, aby pierwsza niedziela po Wielkanocy była Świętem Miłosierdzia”.

Początkowo władze kościelne nie były zbyt przychylnie wynurzeniem Faustyny, jednak powodowany patriotyzmem Lolek z Wadowic przeforsował płynące z Polski przesłanie o miłosierdziu bożym, co nie jest takie trudne, gdy się jest papieżem.

Identyfikacją wizualną kultu miłosierdzia jest obraz z podpisem: „Jezu, ufam Tobie”. Centralą zaś sanktuarium w Krakowie-Łagiewnikach, które zdążył przed śmiercią konsekrować J.P. 2 podczas swojej ostatniej pielgrzymki do Polski w 2002 r. Nie udało się to,

gdyby nie pieniądze założyciela Optimum Romana Kluski. Sanktuarium powstało w ciągu dwóch lat dzięki miłosiernej pomocy biznesmena, który sypnął skromne 16 mln zł na papieskie widzimisię. „Roman Kluska to prawdziwy apostoł Miłosierdzia Bożego” – zachwalał go bepe pomocniczy archidiecezji krakowskiej Jan Zajac w 2012 r. Milionerzy lubią takie „dzieła miłosierdzia”, które poprawiają im wizerunek i zapewniają plecy. A to wspomoga sanktuarium, a to nakupią masetek za grube miliony. Gorzej u nich niestety z podatkami.

Jako że w kościołach i sklepach (w obydwóch przybytkach chodzi z grubsza o to samo) pandemiczne ograniczenia zniesiono dopiero 20 kwietnia, ustanowione przez papieża święto obchodzono bez fajerwerków i w skromnym gronie. Nie odbyły się też odpusty w parafiach pod wezwaniem Miłosierdzia Bożego, którymi obrodziło, bo jakże nie słuchać polskiego papieża? Dodatkowo na 19 kwietnia przypadała prawosławna Wielkanoc, co przyćmiło blask katolickiej celebry. W święto miłosierdzia o papieżu usłyszał więc tylko ten, kto włączył z premedytacją katolicką mszę.

Najgorsze (dla Dziwisza i spółki) dopiero jednak przed nami. 18 maja minie 100 lat od dnia, w którym na świat przyszedł Karol Józef Wojtyła, syn Karola i Emilii z Kaczorowskich. Z tej okazji szykowano dziesiątki

eventów i nabożeństw.

Pieniądze są, pisowska władza nie szczędzi na inicjatywy dewotów.

Jednym z najważniejszych rocznicowych przedsięwzięć miała być „Pielgrzymka Narodowa” do Rzymu. Katolicy z całej Polski mieli zjechać do Watykanu 17 maja, żeby uczestniczyć w mszy pod przewodnictwem papieża Franciszka. Obchody urodzin zaplanowano na dzień przed rzeczywistą datą, ponieważ 17 maja to niedziela, można więc zebrać więcej ludzi. W związku z epidemią pielgrzymkę odwołano. A była to inicjatywa tak ważna, że nawet wybory prezydenckie od niej zależały. Marszałek Elżbieta Witek początkowo planowała wyznaczyć wybory Dudy właśnie

Archidiecezja łódzka zarządza 22 cmentarzami.

Śmierć w Bełchatowie. Wśród nich jest należąca do miasta, dzierżawiona od dziesięciu lat przez Kościół nekropolia w Bełchatowie. Księża policyli, że w ciągu tego czasu miejsca wiecznego spoczynku przyniosły im 2,8 mln zł. Koszty, które ponieśli, wyniosły 3,4 mln zł. Nikt nie wiedział, jakim liczydłem duchowni się posługiwali, ale wyszło im, że dokozyli do interesu prawie półtora miliona. I zadeklarowali, że chcą dokładać nadal.

W maju kończy się umowa na dzierżawę, dzięki której archidiecezja płaci miastu za użytkowanie 4,5-hektarowego cmentarza 1500 zł rocznie. Miejscy radni mieli podjąć decyzję w marcu, ale przeszkodził im koronawirus. Sprawa jest wciąż w zawieszaniu.

Stąd nader zasadne zdaje się pytanie radnego bełchatowskiego Marcina Rzepeckiego: „Dlaczego zwrócono się do miasta o przedłużenie umowy dzierżawy, skoro jest to tak nieopłacalne?”.

Kuria wyciągnęła kwity i pokazała, że przez dekadę na dzierżawionej komunalnej części cmentarza sprzedano 821 grobów ziemnych oraz 406 grobów murowanych. W innym zestawieniu wykazywano, ile kasy poszło na wywóz śmieci, ile wyniosły koszty związane z zatrudnieniem pracowników, ile kosztowały materiały biurowe, prąd, woda, wywóz ścieków, wynajem i serwis Toi-Toi, odśnieżanie, utrzymanie terenu, olej opałowy, ochrona obiektu, materiały liturgiczne, środki czystości, drobne naprawy i remonty oraz wyposażenie grabarzy, pielęgnacja i wycinka drzew. Razem 3,4 mln zł. Oprócz tego archidiecezja inwestowała. Ułożenie alejek, montaż ogrodzenia, nasadzenia, wykonanie bramy przesuwnej, monitoring, insta-

Ryś cmentarny

W archidiecezji łódzkiej człowieka nie stać na to, żeby umrzeć.

lacja szlabanów, remont pomieszczeń socjalnych wraz z ociepleniem dachu kaplicy, zakup i postawienie toalet kontenerowych i naprawa linii kablowych. Razem 756,4 tys. zł. W tym kontekście półtora bańki w plecy nabierało arytmetycznego sensu.

Radny Rzepecki wykazał się jednak zdumiewającą upierdliwością. Policzyl podawane przez kurię przychody, posługując się oficjalnym cennikiem cmentarza. Wyszedł mu, że tylko za wymienione przez kurię groby cmentarz przytulił ponad 4,4 mln zł. W cenniku archidiecezji są też wymienione inne usługi i czynności, za które cmentarz bierze kasę. Jest ich 56. Od kwoty 10 tys. zł za 100-letnią dzierżawę grobu murowanego po 30 zł za „wystawianie zaświadczeń i wypisów z kwitu”. Oczywiście jest też specjalny mnożnik razy 200 proc. za pracę w dni wolne, dodatek zimowy 150 zł oraz pozycje opisane jako „umowne”. Tego wszystkiego, co mogłoby się składać na kolejne kilkadziesiąt tysięcy rocznie, radny Rzepecki w swojej kalkulacji już jednak nie uwzględniat.

Śmierć w Brzezinach. Cmentarz w Brzezinach też podlega kurii łódzkiej. Jego część leży na gruntach należących do skarbu państwa. Nazywany przez miejscowych Nowym Cmentarzem, został przekazany archidiecezji łódzkiej w wieczystą dzierżawę w latach 80. XX w. 10 lat temu skarbu państwa przekazał kurii w darowiźnie działkę pod cmentarną kaplicę.

W Brzezinach obowiązuje ten sam cennik, co w Bełchatowie, ale tu ktoś wymyślił, że aby pochować bliską osobę, ludzie muszą się zapożyczać.

Ten ktoś nazywa się Sławomir Pawlik i rok temu dokonywał pochówku ojca. Kancelaria cmentarna wystawiła mu rachunek za pochówek – 4780 zł.

2 tys. zł kosztowało wykopanie grobu, 2 tys. zł opłata za plac, 400 zł wpuszczenie trumny do grobu i 380 zł skorzystanie z kaplicy.

Do tego doszła dzierżawa miejsca pod wykupiony grób. Na 99 lat przyjemność ta kosztuje 10 tys. zł. Jeśli jednak ktoś sądzi, że wliczony był nagrobek, ten się myli. W przeciwieństwie do usług turystycznych nic na cmentarzu nie jest bowiem *inclusive*.

Za wybudowanie grobowej piwnicy kamieniarz skasował Pawlika na 2,5 tys. zł. 500 zł brzezinianie zapłacił za udział w pogrzebie księdza. 3000 zł zostawił w zakładzie pogrzebowym. W sumie wydał na pogrzeb 11 tys. zł.

To też nie wszystko, bo gdyby Pawlik chciał strzelić ojcu nagrobek, to musiałby wydać na niego 8 tys. zł. 920 zł za zgodę na jego postawienie weźmie cmentarz, podobnie jak pobierze 120 zł za wjazd kamieniarza i 800 zł w ramach opłaty za stawianie nagrobka. Po zebraniu tego do kupy wychodzi, że umieranie w Brzezinach kosztuje ponad 20 tys. zł. Tymczasem

ogólnopolski ZUS-owski zasiłek pogrzebowy jest niezmienny i wynosi 4 tys. zł.

Pawlik zaczął gadać z innymi pograżonymi w bólu i tak powstała inicjatywa o nazwie „Stop cmentarzem wyzyskowi”. W sierpniu Pawlik *et consortes* napisali list do arcybiskupa



Rys. TOMASZ WATE

pa łódzkiego Grzegorza Rysia. Tego samego, który bryluje w mediach jako wielka nadzieja polskich postępowych katolików. Tego od dawania kościelnej kasy na respiratory. Tego, który ma być odtrutką na twardy łeb Jędraszewskiego.

„Jesteśmy ludźmi wierzącymi, ale czy nasza wiara mówi o odebraniu nam ostatnich groszy, kiedy krwawi nasze serce, gdy tracimy osobę bliską?” – grzecznie pytali Rysia brzezinianie. Przy okazji przypominając o tym, co o dobrach materialnych mówią Ryś i papież Franciszek. Na koniec autorzy listu popełnili jednak

faux pas – nazwali opłaty pobierane na brzezińskim cmentarzu „**haraczem**”.

Zamiast Rysia odpowiedział kanclerz łódzkiej kurii ks. Zbigniew Tracz. Policzył koszty ponoszone przez cmentarz. Opłatę za wjazd na cmentarz nazwał „**ofiarą kamieniarza za zarobkowanie nie na swoim terenie**”. Wypunktował rzekome błędy i nieścisłości w podawanych przez Pawlika nazwach opłat i wysokości cen cmentarnych. Na koniec wysłał całe towarzystwo na drzewo.

Brzezinianie napisali więc do abp. Rysia drugi list. „**Jesteśmy znieśczeni i zawiedzeni**” – napisali i tym razem zdobyli podpisy 1,7 tysiąca osób. Pismo pozostało bez odpowiedzi.

Rozpędzeni pasją epistolograficzną brzezinianie jeli zatem słać pisma gdzie tylko się da. Rzecznik Praw Obywatelskich już się zajmuje tą sprawą. Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów odpowiedział: „**Łączna kwota opłaty za usługę kopania grobu i opłaty za miejsce grzebalne na cmentarzu w Brzezinach nie przekracza istotnie kwot pobieranych na innych zidentyfikowanych cmentarzach. Opłaty cmentarne na nekropoliach w dużych miastach są niejednokrotnie znacznie wyższe**”. Urząd nie dopatrył się naruszeń przepisów antymonopolowych przez kurię.

W tej decyzji nie ma jednak nic dziwnego – Tomasz Dec, dyrektor Delegatury UOKiK w Łodzi, jest członkiem IV Synodu Archidiecezji Łódzkiej.

W końcu na cmentarny dym zareagowały władze miasta. Jakub Piątkowski, zastępca burmistrza Brzezin, zapowiedział budowę nowego cmentarza komunalnego. Kosztować to będzie prawie milion złotych. Dlatego mimo wszystko próbowano namówić kurię, żeby istniejący cmentarz odda-

na dzień „Pielgrzymki Narodowej”. „Pierwotnie miałam w głowie datę 17 maja, ale dostałam informację z polskiej ambasady w Rzymie, że tego dnia w Watykanie będą uroczystości związane z setną rocznicą urodzin Jana Pawła II” – przyznała pani marszałek. Czyli z powodu epidemii daty zmienić nie można, ale z powodu urodzin polskiego pochodzenia głowy obcego państwa już można. W Polsce konklawe ważniejsze niż wewnętrzne wybory.

W związku z ograniczeniami pandemicznymi obchody przeniosła się w dużej mierze do sieci. Kler oferuje wirtualne oglądanie pamiątek, wirtualne modlitwy oraz inne sieciowe atrakcje. Za symboliczny uznać można fakt, że w ogłoszonym przez Sejm Roku Jana Pawła II Polacy tkwią w izolacji. Nic nas przecież tak nie izoluje od cywilizowanego świata, jak religia katolicka, której Wojtyła jest ikoną.

Z powodów cały czas walkowanych w czasie przesunie się nie tylko uwielbienie, ale i krytyka J.P. 2.

Na 28 marca planowano

premierę filmu

braci Sekielskich będącego kontynuacją dokumentu „Tylko nie mów nikomu”. Trzecią częścią kościelnego tryptyku ma zaś być film poświęcony m.in. roli polskiego papieża w mechanizmie ukrywania kościelnej pedofilii. „Każdy, kto tropi przestępstwa seksualne w polskim Kościele katolickim, prędzej czy później staje przed pytaniem o to, co zrobił w tej sprawie Watykan. A stąd już tylko krok do pytań o Jana Pawła II. Jak walczył z pedofilią wśród duchownych? Co wiedział, a czego nie był świadomy? Czy jego najbliżsi współpracownicy, w tym kardynał Dziwisz, ukrywali przed nim niewygodną prawdę? Podobnych trudnych pytań jest więcej, nadszedł czas, by je wszystkie zadać i poznać jednoznaczne odpowiedzi” – zapowiada Sekielski. Przynajmniej to jedno doda Dziwiszowi otuchy.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

ła gminie. Gra była dla wszystkich warta świeczki, bo kurialny cmentarz przebiegał cenami zarówno nekropole komunalne, jak i te należące do parafii.

Życie w Łodzi. W leżącej niedaleko Łodzi ceny komunalne są niższe niż w Brzezinach. Najtańszy grób ziemny 1-osobowy kosztuje 460–510 zł, koszt prawa do grobu na 20 lat 500 zł. Do tego dochodzi 8-procentowy VAT. Czyli za grób trzeba zapłacić od 1037 do 1091 zł, o 1/3 mniej niż w Brzezinach.

Łódzka kuria się postawiła. Nie odda cmentarza gminie. Padł argument sakralny: „**Poszczególne indywidualne osoby i całe rodziny, dokonując pochówku swoich bliskich, wyraziły wolę, aby ich zmarli spoczywali w miejscu świętym. Kościół nie może złamać tej umowy.**” Argument ekonomiczny też padł: „**Archidiecezja Łódzka na własny koszt nabyła teren, pobudowała kaplicę cmentarną. Koszt tej inwestycji przekroczył milion złotych.**”

W magistracie brzezińskim decyduje zatem zapadła. Gmina w ramach demonopolizacji cmentarnej wysuła kasę na budowę własnej nekropolii.

Władzom Bełchatowa kończy się czas na podjęcie decyzji. O ile wydawało się 2 miesiące temu, że radny Rzepecki jest na straconej pozycji, o tyle sprawa Brzezin kazała i w Bełchatowie rozejrzeć się po innych cmentarzach. A to pozwoliło radnym dojść do wniosku, że robienie w wała są zarówno przepłacający za pochówki mieszkańcy miasta, jak i jego władze. Dostające od abp. Rysia za każdy metr kwadratowy miejskiego cmentarza 3 grosze rocznie.

TADEUSZ JASIŃSKI

Grzechotki

Podsluchane w konfesjonale.

Ostatni raz u spowiedzi świętej byłam/em przed wybuchem pandemii koronawirusa. Obraziłam/em Pana Boga następującymi grzechami. W komentarzach „NIE” zastępuje spowiednika.

Szczęść Boże. Jestem 32-letnią kobietą z dwójką dzieci. Nie pracuję. Utrzymaniem rodziny zajmuje się mąż. Przez koronawirusa mąż stracił pracę. Jego pracodawca powiedział, że w najbliższym czasie nie będzie mu w stanie płacić i żeby poszedł na zasiłek dla bezrobotnych. Mąż tak zrobił. Mamy w ten sposób nie tylko parę groszy, ale także ubezpieczenie zdrowotne.

Ale szef bierze go teraz od czasu do czasu do pracy na czarno, bez umowy. W ten sposób mąż dorabia do zasiłku. Takie dorabianie i branie zasiłku jest oszukiwaniem państwa. Ale nie wiem, czy to grzech ciężki czy lekki. Z jednej strony ciężko mi na sumieniu, ale z drugiej trudno byłoby nam z tego zrezygnować.

Naszym zdaniem to w ogóle nie jest grzech. Państwo nas tyle dyma, nakłada tyle różnych podatków, te tarcze antykryzysowe dla firm to o kant dupy potłuc. Oszczędź te dylematy. Był się w urzędzie pracy nie wydało.

Szczęść Boże. W czwartek zrobiliśmy w domu pizzę – z salami. Taką wielką, że nie daliśmy rady zjeść i zjedliśmy ją do końca następnego dnia, w piątek, kiedy obowiązuje post. Ale nie chcieliśmy jej zostawiać na sobotę, boby nie była już zjadliwa. Poza tym nie chcieliśmy wyrzucić jedzenia, bo trudno w tej chwili robić zakupy.

Co?! W dobie powszechnego dostępu do lodówek tłumaczenie, że „w sobotę nie byłaby już zjadliwa”, jest wykrętem. Ale to prawda. Zjadliwa to ona już pewnie nie była następnego dnia. Pizzę należy zjadać od razu. Poza tym żarcie pizzy czy w czwartek, czy w piątek, czy w sobotę jest niezdrowe.

Czcigodny księżu. Mam ogromny dylemat. Mój najbliższy przyjaciel umiera. Jest samotnym, nigdy przez nikogo niekochanym mężczyzną. Ja – choć mam ogromne powodzenie u płci przeciwnej – jestem akurat singielką. Przyjaciel prosi mnie o pewną przysługę. Chce na łożu śmierci odbyć ze mną stosunek seksualny. Czy powinienem się zgodzić, czy wręcz przeciwnie?

Córko. Co prawda szóste przykazanie mówi „nie cudzołóż”, ale aby być w zgodzie z tym przykazaniem i jednocześnie zadośćuczynić prośbie umierającego przyjaciela, musiałabyś wejść z nim w sakramentalny związek małżeński. Nie ma chyba na to czasu i za dużo z tym obecnie ceregieli. Jeśli tylko dasz radę – zgódź się. Potem się wypowiadasz jeszcze raz. Ale pamiętaj o jednym – o prezerwatywie dla przyjaciela, aby przypadkiem nie sprowokować grzechu znacznie cięższego: „nie zabijaj”.

Szczęść Boże. Siedzę za dużo w domu w tej izolacji, nudzę się. No i zdradziłam mojego chłopaka w myślach, masturbując się i marząc o innym. Czy muszę się przysiąc do czegoś takiego chłopakowi? Czy nasz ewentualny ślub w przyszłości będzie ważny, jeśli to przed nim zataję?

Córko. To nie jest coś, o czym trzeba by mówić koniecznie chłopakowi. Bo po co? Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal, jak mówimy nieraz na plebanii. Oczywiście nie jest to także sprawa, przez którą ślub mógłby być nieważny. Ale z tym ślubem ty się zastanów. Na chuj ci ślub? Możecie żyć bez ślubu. Potem tylko te rozwody...

Pobrałem z internetu darmowy program do obróbki wideo od firmy, która się nazywa BlackMagic Design. Robią świetny sprzęt i świetne oprogramowanie, a ja teraz pracuję zdalnie i potrzebne mi są na domowym komputerze narzędzia do wykonywania pracy. Ale jako osoba wierząca popełniłem zapewne grzech, korzystając z usług firmy, która ma w nazwie „black magic”.

Synu! Czy ciebie dokumentnie pokurwiło? Jak robią dobre oprogramowanie i jeszcze udostępniają za darmo, to bierz i się nie oglądaj. Czy w związku z tym, że jesteś wierzący, zatykasz uszy, jak w radiu puszcza utwór Black Sabbath?



Księżu spowiedniku! Mam 34 lata. Jestem więc osobą dorosłą. Ale chciałbym zapytać, czy oglądanie filmów Patryka Vegi „Botoks” lub „Kobiety mafii” to grzech? Bo jeśli tak, to zgrzeszyłem.

Synu. Jeśli chodzi o filmy Patryka Vegi, to grzechem jest oglądanie następujących tytułów: „Ciacho”, „Botoks”, „Kobiety mafii”, „Polityka”. Bez grzechu można oglądać pierwszego „Pitbulla”.

Szczęść Boże! Słuchałem kilka razy jęków z pornografii, jednak bez oglądania tego, co jest na ekranie. Czy to wielki grzech?

Synu. Nie rozumiemy, dlaczego nie oglądałeś tego, co jest na ekranie. Jakiś niedorozwinięty jesteś czy wyświetlacz w laptopie ci się zepsuł? To zanieś go do naprawy albo kup sobie nowy laptop. Będziesz miał i dźwięk, i obraz.

Przypadkiem znalazłam na telefonie taty strony dla dorosłych (zdarzyło się to kilka razy). Nie powiedziałam jednak o tym mamie. Czy mam grzech?

Oczywiście, że nie masz grzechu, dziecko. Po co mamie taka wiedza, co tata przegląda na telefonie. Chcesz kłótni rodziców? Przeglądanie telefonu ojca jest grzechem, nie rób tego więcej.

Jestem młodą kobietą przy nadziei (po roku starania się z mężem o dziecko i wspólnej modlitwy dostąpiłam łaski ciąży bliźniaczej). W obecnej sytuacji zagrożenia koronawirusem, gdy w świątyni przebywać może maksymalnie pięcioro wiernych, jak wygląda ta kalkulacja, gdy noszę w sobie dwa życia? Zgodnie z naukami Boga nienarodzone dzieci to człowiek w pełni praw. Czy w takim razie ja przychodzę do kościoła jako jedna czy jako trzy osoby? Sekretarz Konferencji Episkopatu Polski ks. abp. Stanisław Gądecki nawoływał do przestrzegania rozporządzeń sanitarnych państwa.

Córko. Cieszy nas twój błogosławiony stan, aby tylko co złego z bliźniaków nie wyrosło. Po pierwsze Bóg jest także w trzech osobach. Po drugie w twoim przypadku żaden policjant nie będzie liczył cię za trzy osoby, bo oni bywają niekumaci. Po trzecie po kiego grzyba, gdy jesteś w ciąży, łazisz do kościoła, jeśli się możesz łatwo koroną zarazić? Siedź na tyłku w chacie.



Wszystkie zaprezentowane dylematy moralne są prawdziwe i pochodzą z katolickich portali z ostatnich dwóch tygodni. W kraju szleje zaraza, rząd wprowadza restrykcje związane z przemieszczaniem się i zgromadzeniami w miejscach publicznych. Nasze odpowiedzi płyną z życzliwości i z całą pewnością nie narażają nikogo na wieczne potępienie. Nie żałujcie za grzechy. Nie macie za co. Nie mamy wam także co odpuszczać. Idźcie w pokój.

WALDEMAR KUCHANNY
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl



chownych jest powszechne w Pakistanie. Dziennikarskie śledztwo ujawniło dziesiątki raportów dotyczących złożonych na policji skarg wobec imamów uczących dzieci w szkołach religijnych zwanych medresami. A całym kraju są 22 tysiące takich zarejestrowanych placówek, do których uczęszczają ponad 2 miliony dzieci; ile szkół powstaje na dziko, wabiąc uczniów obietnicą posiłku albo dachu nad głową, tego nikt tak naprawdę nie wie. Jak wyjaśnia wiceszef pakistańskiej policji Sadiq Baloch, zgłaszający nadużycia są oskarżani o bluźnierstwo lub zniesławianie islamu; często rodziny są zmuszane do „wybaczania” pedofilom. Dobre wzory są ekumeniczne.

1. Co roku wierni prawosławni z różnych krajów udają się do Jerozolimy, żeby uczestniczyć w cudzie zejścia Świętego Ognia w Bazylice Zmartwychwstania Pańskiego. Cud odbywa się regularnie w każdą prawosławną Wielkanoc: na płycie Grobu Pańskiego samoistnie pojawia się ogień, od którego zebrani w krypcie patriarchowie różnych obrządków odpalają świece, a następnie je rozdają wiernym. W tym roku w związku z ogólnoswiatową kwarantanną do Izraela udało się 10 samolotów: z Rosji, Ukrainy, Grecji, Gruzji, Cypru, Rumunii, Mołdawii, Białorusi, Polski i Kazachstanu – każdy z ważnym popem na pokładzie. Na lotnisku Ben Guriona popi spokojnie czekali, nie wysiadając z samolotów – i każdy dostał zapaloną od świętego ognia świeczkę, którą dostarczył wiernym w kraju. Szacowany koszt popich wędrówek po ognie: 770 tys. dolarów.

2. Bene Berak, 200-tysięczne miasto na wschód od Tel Awiwu, jest zwane „izraelską stolicą korony”, ponieważ rabinu uznali niezakłóconą działalność synagog i jeszwy za kluczową dla zdrowia miasta – bo Żydom nie stanie się krzywda tam, gdzie dzieci studiują Torę. Wobec powyższego ponad 40 procent mieszkańców Bene Berak jest dziś zarażonych. Nestor tamtejszych duchownych, ultraortodoksyjny rabin Chaim Kaniewsky, znalazł receptę na nieszczęście. Za głupie 3000 szekli (3500 zł) można dostać srebrny amulet w pakiecie z błogosławieństwem rabina. Amulet ów po umieszczeniu go w domu gwarantuje ochronę przed koronawirusem. Kłopot polega na tym, iż 3000 szekli ma być wpłacone w trzydziestu miesięcznych ratach po 100 szekli, a amulet otrzymuje się dopiero po wpłaceniu całej kwoty. Tego, od którego momentu działa ochrona, rabbi nie precyzuje.

3. Cindy Jacobs, cudotwórczyni z Teksasu, która potrafi zmieniać metal (z różnego rodzaju implantów chirurgicznych) w prawdziwe kości, przyparowała 7,5 cm zwrotu karlicy i w imię boże obwołała koronawirus nielegalnym – ku pokrzepieniu serc Amerykanów złożonych bezprawnej zarządką opowiedziała o jeszcze jednym cudzie. Otóż pytają ją wierni, czy można modlić się za zmarłe zwierzęta. A tymczasem jej raz się zdarzyło, że zatrzasnęła drzwi od samochodu i niechcący złamała kark kotka, który usiłował niespostrzeżenie wskoczyć jej do wozu. „Więc pomodliłam się za tego zdechłego kota i jak tylko skończyłam, zaraz powrócił do życia: wyskoczył z samochodu i pobiegł przed siebie”. Cindy jest – wraz z mężem – założycielką „opartej na modlitwie organizacji Generals International”, która „istnieje w celu zmiany życia i transformacji narodów”.

4. Myślicie, że jeśli chodzi o gwałcenie dzieci przez duszpasterzy, Kościół katolicki nie ma sobie równych? A jednak. Jak donosi Associated Press, molestowanie dzieci przez islamskich du-

5. Organizacja „Milion Mam” – o której wspominaliśmy wcześniej przy okazji protestów przeciw kreskówce Disneya „Naprzód” ukazującej „fioletową lesbijską cyklopkę” imieniem Spectre, a także wyświetlanej na Hallmarku reklamie pokazującej lesbijski ślub – ma nowego wroga. To pedalskie kaczki. A w zasadzie kaczory. W disneyowskiej kreskówce „Kaczka opowieści” pojawia się otóż kaczuszka, która jest adoptowana przez parę kaczorów. „Oczywiście jest, że ten konkretny producent nie skończył jeszcze z indoktrynowaniem dzieci poprzez wystawianie ich na oglądanie związków homoseksualnych ukrytych za fasadą normalności” – oburzają się mamy. W tej sprawie jesteście z nimi. My też uważamy, że należy chronić dzieci przed wpływami nieheteronormatywnych kaczorów.

6. Kościół Zdrowia i Zdrowienia z Florydy specjalizuje się w leczeniu wszelkiego rodzaju chorób dwutlenkiem chloru. To bardzo skuteczna substancja, żrąca i grzybobójcza, chociaż picie jej nie jest generalnie zalecane – a na tym właśnie zasadza się idea Kościoła Zdrowia i Zdrowienia. Zdaniem abp. Marka Grenona wybielacz leczy wszystko, począwszy od raka, poprzez stwardnienie rozsiane, aż do Alzheimerza. A ostatnio – a jakże – koronawirusa. MMS – „miracle mineral solution”, cudowny środek mineralny – jest sprzedawany jako „zestaw sakramentalny”, który zawiera 50 g dwutlenku chloru i 50 kwasu solnego, pełniącego funkcję aktywatora. Dorosłym zaleca się przyjmowanie sześciu dawek dziennie przez 5 dni w celu leczenia koronawirusa. Dzieci powinny otrzymać połowę tej dawki.

7. Profesor Dirk Obbink z Oksfordu został aresztowany pod zarzutem kradzieży fragmentów papirusów biblijnych ze zbiorów przechowywanych w Bibliotece Sacklerana na Uniwersytecie Oksfordzkim. Fragmenty znalazły się w waszyngtońskim prywatnym Muzeum Biblii założonym przez nawiedzzonego miliarda Davida Greena, który oświadczył, że kupił je od Obbinka na początku dekady. Obbink jest oburzony i wszystkiemu zaprzecza, a z tego zapewne wynika, że papirusy przewoźowały z Anglii do USA cudownym sposobem. Na co Green w gruncie rzeczy zasługuje, bo dotychczas nie miał szczęścia. 16 fragmentów „zwojów z Morza Martwego”, kupionych przez niego za wielkie pieniądze i stanowiących centralny punkt ekspozycji, okazało się współczesnymi podróbkami, wykonanymi przez tego samego fałszerza.

Jako w niebie, tak i w telewizorze

Oglądanie mszy w internecie może przynieść więcej szkody niż pożytku – uważał J.P. 2.

Najważniejsze pytanie teologiczne dla Kościoła katolickiego w czasie pandemii brzmi: czy należy klękać przed telewizorem?

Raz

Na pytanie starała się znaleźć odpowiedź jedna z telewizji śniadaniowych. Do programu „Pytanie na śniadanie” w TVP 2 zaproszono ks. Kamila Leszczyńskiego, salwatorianina z parafii NMP Matki Zbawiciela w Warszawie. Ks. Leszczyński telewizorowi zaprezentował się jako człowiek dość pogodny, ale niezbyt pewnie stojący na gruncie znajomości teologii, gdyż – nie bacząc, że w telewizji przemawia do audytorium liczniejszego niż to, które mieści się w jego kościele – dał wykładnię niezbyt precyzyjną: „Nie ma jasnych wskazań, jak należy się zachować. (...) Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby w domu powtarzać gesty wykonywane normalnie na mszy świętej”. Po czym uciekł się do porównania z oglądaniem ligi – gdy nasza drużyna wygrywa, to się cieszymy, krzyczymy i skaczemy, a gdy przegrywa, siedzimy cicho.

Na publiczną telewizję rozlała się fala hejtu, ale telewizji rządowej wielu nie lubi, szczególnie od czasu, gdy prezydent Duda podpisał przekazanie jej 2 mld zł.

Zagadnienie klękania przed telewizorem jest jednak poważne, nie do śmieszkowania. Od wielu tygodni obowiązuje ograniczenie liczby osób mogących brać udział w mszy w kościele. Większość wiernych zmuszona jest oglądać msze w telewizji lub w komputerze za pomocą internetu, niektórzy słuchają jej w radiu. Minister o zmęczonych oczach Łukasz Szumowski wspomina o dwóch latach trwania epidemii, muzycy klasyczni i rockowi już dzisiaj przekładają koncerty najwcześniej na jesień 2021 r., należy się spodziewać, że kościelne występy jeszcze długo będą odbywały się przy ograniczonej publiczności i przeniosą się na dobre do sieci.

Dwa

Przejrzelismy, co na ten temat mówią i myślą inni etatowi pracownicy Kościoła katolickiego.

Ks. Paweł Rytel-Andrianik, rzecznik prasowy Konferencji Episkopatu Polski: „Nie musimy klękać lub stać podczas transmisji, ale możemy”.

Ks. Wojciech Nowicki, dominikanin, szef Radia Emaus, autor serii filmowych poradników „Święta w domu”: „Podczas transmisji mszy na żywo przyjmujemy wszystkie postawy, tak jak byśmy uczestniczyli w liturgii w kościele, tzn. wstajemy, siadamy, klękamy”. Ks. Nowicki radzi także ubrać się w strój wyjściowy, taki, jaki włożylibyśmy do kościoła.

Ks. Radek Rakowski, duszpasterz akademicki z Poznania, aktywny w mediach społecznościowych: „Na pewno warto zadbać o porządek w pokoju, w którym będziemy oglądać lub słuchać transmisji. Warto zatroszczyć się o to, by w pobliżu nie

było rozpraszających naszą uwagę przedmiotów. Dobrze jest wyciszyć, a nawet wyłączyć telefon. Co ważne – na komputerze (jeśli to jest nasz nośnik transmisji) wyłączyć wszelkiego rodzaju komunikatory. Nie leżeć, lecz siedzieć, ale też nie klękać przed komputerem albo telewizorem”.

Ks. dr Krzysztof Wiśniewski, dogmatyk i ojciec duchowny Wyższego Seminarium Duchownego Diecezji Legnickiej: „Gromadzimy się nie wokół telewizora, ale to nie jest nasz punkt odniesienia. Telewizor jest tylko naszym oknem. Stół należy nakryć białym obrusem, na którym postawimy krzyż, ikonę, świece, rysunki dzieci z motywami eucharystycznymi. I w trakcie transmisji mszy tak samo czynimy znaki, łącznie z przyklęnięciem. Ale nie przed telewizorem, tylko przed tym postawionym na obrusie krzyżem”.



Portal katolicki Wiara.pl związany z tygodnikiem „Gość Niedzielny”: „Na pewno nie trzeba klękać przed telewizorem czy radioodbiornikiem, nawet w chwili gdy w transmitowanej mszy jest moment przeistoczenia”.

Ks. Bogdan Bartold: „Jeżeli uczestniczymy w konkretnym nabożeństwie, to nasza postawa powinna być właściwa. Gdy przychodzi odpowiedni moment, należy klękać. Niektórzy mówią, że postawa stojąca również jest ważna. Powtórki to jednak nie to samo. To już nie jest msza. I wówczas klękać nie trzeba. Tylko transmisja się liczy”.

Trzy

„Teologowie mediów są zgodni, że misterium zbawienia jest nie tylko niemożliwe do medialnego (analogowego, cyfrowego) utrwalenia, ale także do transmitowania za pomocą środków przekazu w czasie rzeczywistym. W przypadku transmisji telewizyjnej (audiowizualnej) mamy do czynienia jedynie z elektronicznym zapisem i transmisją zewnętrznego wymiaru liturgii (dźwięku i obrazu)” – wykląda ks. Andrzej Draguła, doktor teologii, członek Komitetu Nauk Teologicznych Polskiej Akademii Nauk, wykładowca akademicki, autor pracy „Eucharystia zmediatyzowana. Teologiczno-pastoralna interpretacja transmisji Mszy Świętej w radiu i telewizji”.

Dyrektorium KEP z roku 2017 w sprawie transmisji mszy stwierdza wyraźnie: „Oglądanie Mszy w telewizji nie jest tym samym, co bezpośrednie uczestnictwo”, ponieważ uczestnictwo „domaga się fizycznej obecności wiernych” w miejscu sprawowania liturgii.

Niekwestionowany przez polskich duchownych autorytet moralny Jan Paweł II pisał o udziale w mszy, że „ci z wiernych, którzy z powodu choroby, niesprawności lub innej ważnej przyczyny nie mogą wziąć udziału w Eucharystii, winni dolożyć starań, aby jak najpełniej uczestniczyć z oddalenia w liturgii niedzielnej Mszy św., najlepiej przez lekturę czytań i modlitw mszalnych przewidzianych na ten dzień”. Przez lekturę, a nie transmisję w telewizorze. Tak pisał Jan Paweł II – nie zmyślamy. Więcej nawet. Pisał, że może nawet istnieć niebezpieczeństwo, że transmisja sprowadzi na nas zagrożenie w postaci „ograniczenia się do zewnętrznego aktu oglądania” i nie będzie z tego żadnego pożytku, a nawet szkoda jakaś może wynikać.

Jan Paweł II jest zgodny z duchem kodeksu prawa kanonicznego, który, gdy nie można iść do kościoła, zaleca, „ażeby wierni poświęcali odpowiedni czas na modlitwę indywidualną w rodzinie lub w grupach rodzin”.

Ks. Draguła uważa, że jeśli już koniecznie, to nie telewizor, ale radio: „Liturgia sprowadzona do dźwięku i słowa bardziej skupia na sobie niż liturgia w wersji wizualnej, która często – poprzez swoją efektywność – skupia odbiorcę na elementach drugorzędnych. Msza poddaje się regułom oka kamery ze wszystkimi konsekwencjami”.

Cztery

Klękać czy nie? Ks. Draguła zwraca uwagę, że wszystko zależy od tego, na czym oglądamy transmisję:

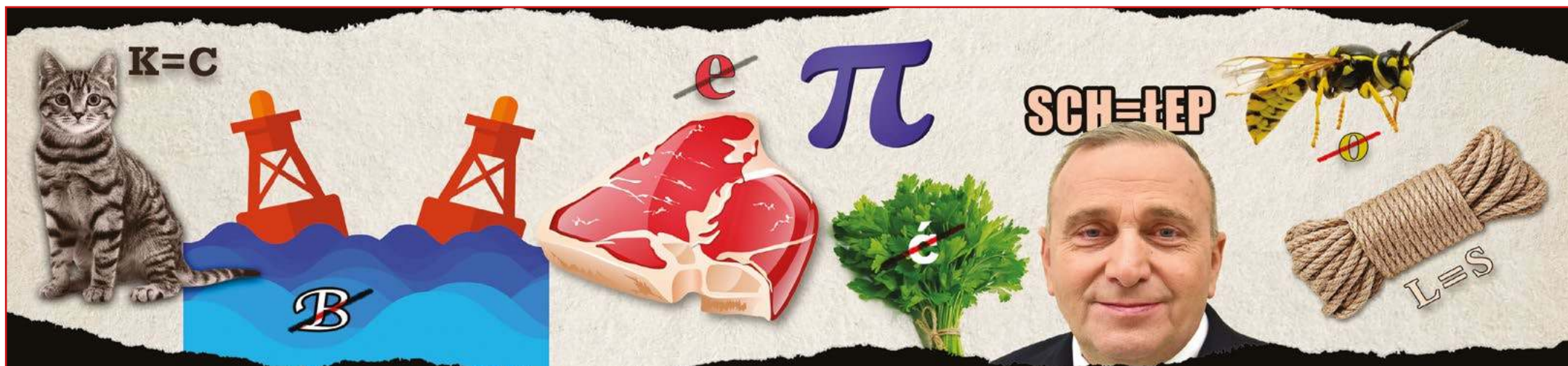
„Komputer w sposób naturalny sytuuje odbiorcę na krześle przy biurku. Telewizor generuje sytuację podobną do ołtarza, wobec którego się zwracamy. Dźwięk radia – i tu jest jego przewaga – nie koncentruje nas na samym odbiorniku”.

I dalej: „Nie ma ani przepisów, ani zgody między teologami, jak powinien zachowywać się odbiorca podczas transmisji”.

Krótko mówiąc: ludzie, jak już musie coś oglądać w telewizorze albo w internecie, to lepiej serial sobie obejrzyć, a nie mszę. Mniej zamętu będzie.

WALDEMAR KUCHANNY
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

REBUS 4



Arcybiskup Marek Jędraszewski wygłosił homilię poświęconą epidemii. Wynikało z niej, że dzięki Faustynie Kowalskiej, zakonniczce mającej bliskie stosunki z Jezusem, Polska nadmiernie nie ucierpi. Albowiem podejrzewana o cyklofrenię Faustyna prowadziła dziennik i cytowała w nim młodego Boga. „Polskę szczególnie umiłowałem, a jeżeli posłuszna będzie woli mojej, wywyższę ją w potęgę i świętości. Z niej wyjdzie iskra, która przygotuje świat na ostateczne przyjście moje” – powiedział Jezus służąc, a arcybiskup Jędraszewski na tej podstawie wywiódł, iż jeśli Polacy będą „prosić miłosiernego Boga o jak najszybsze ustąpienie pandemii, a w krótszych perspektywach czasu – o to, by więcej osób niż obecnie było razem w kościołach na Mszach świętych i innych nabożeństwach”, to zakumplowany z nami wódz świata całego i stworzenia wszelkiego, a więc i koronawirusa, niechybnie próśb wysłucha i zarazę przepędzi do naszych sąsiadów jednym chuchnięciem. A wtedy polskie kościoły znów będą pękać w szwach i – co ważniejsze – tace przestaną świecić pustkami. Bo choć czas pandemii to jest godzina Kościoła, a szczególnie księży gotowych zginąć w paszczy podstępного wirusa, to kapłani do heroicznych czynów zdolni są wyłącznie po spożyciu godnego swego stanu jadła i połknięcia 18-letniej whisky, gdyż młodsze od czasu filmu braci Sekielskich omijają

szerokim łukiem.

Problem polega na tym, że bez datków od wiernych nie stać ich nawet na kaszankę i plebejską wódkę „Ojczyznianą”. Tymczasem po raz ostatni świątynie i – co za tym idzie – tace wypełniły się 8 marca, potem liczbę wiernych ograniczono najpierw do 50, wkrótce do 5, co nawet z perspektywy eschatologicznej wygląda marnie. Tylko wydatki na zakup wina wynoszą 700 zł miesięcznie w przeliczeniu na 1000 parafian. Jak kapłanic, panie premierze, gdy łączna miesięczna składka nie wystarcza na flaszkę, nie wspominając o remontach czy wynagrodzeniu dla organistów? Premier na to pytanie odpowiedzi nie udzielił – ani w tarczy antykrzysowej 1.0, ani w jej drugiej generacji o pomocy stanowiącemu fundament polskości Kościołowi nie ma choćby słowa.

Cała nadzieja w tym, że Faustyna nie była całkiem chora, choć przyjęcie takiego założenia jest ryzykowne, albowiem z jej „Dzienniczka” wynika jasno, że Jezus nie tylko chwalił Polskę i wykazywał do niej przywiązanie. Co tu kryć – bywało, że Polska go irytowała, a nawet doprowadzała do

szewskiej pasji.

Oto pewnego dnia obwieścił, że wkurzył się tak bardzo, iż spuści karę na najpiękniejsze miasto w naszej ojczyźnie, nie wyjaśniając jednak, jaki gród ma na myśli, Faustyna zaś nie śmiała dopytywać się, bo nie wiedziała, czy Jezus kibicuje Legii, Wiśle, Lechowi czy Broni Radom. Oczywiście jak na wizjonerkę przystało postulat „Nie lękajcie się!” znała, choć świętej pamięci Jan Paweł II wtedy był jeszcze Lolkiem i co prawda pod szafę na stojąco już nie wchodził, ale pragnął zostać komediantem. Mimo to przestraszyła się nie na żarty. „Kara ta miała być taka, jaką Bóg ukarał Sodomę i Gomorę. Widziałam wielkie zagniewanie Boże i dreszcz napęlił, przeszył mi serce. Milczeniem modliłam się” – zanotowała w „Dzienniczku” i lęk swój w pełni uzasadniła, bowiem najpiękniejszemu polskiemu miastu groziło, że spadnie na nie deszcz ognia oraz siarki, a to nie przelewki i poważna strata, nawet jeśli zagładzie uległby Radom. Faustynie udało się przekonać Jezusa, żeby potwornej kary nie spuszczał, ale był to sygnał ostrzegawczy – jeżeli Polska wkroczy na drogę moralnej zgnilizny i będzie pucować buty siewkom ideologii *gender*, siarka i ogień jej nie ominą i na wieki wieków pozostanie rosyjsko-niemieckim kondominium, a o Centralnym Porcie Komu-

Tęczowa zaraza

Polska pokona wirusa z bożym wstawiennictwem.
Warunek: musi ostatecznie rozwiązać kwestię gejowską.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

nikacyjnym i elektromobilności będziemy mogli najwyższej pomarzyć.

Uprzejmie donosimy, że gdy eminencja Jędraszewski przekonywał do modłów w intencji pokonania wirusa i zapalenia tacy, sodomici wkładali kij w szprychy mknącej do nieba lokomotywy, co może rozgniewać bożę i zamiast wybawienia od pandemii dostaniemy

siarą po łbie.

Oto Dawid Mycek-Kwieciński i Jakub Kwieciński-Mycek, najbardziej znani polscy homoseksualiści, pożyczili maszynę do szycia, kupili materiał w barwach LGBT i uszyli kilkaset tęczowych maseczek mających chronić przed koronawirusem. Tęczowe maseczki rozdali na ulicach Gdańska, idąc przy tym w ślinę na widoku, co przywiązany do tradycyjnych wartości lud naraziło na niepewetowane straty moralne.

„Nazywają nas zarazą, więc wzięliśmy to sobie do serca. Odezwał na naszą akcję jest niebawem i jesteśmy tym ogromnie zdumieni. Pojawili się nawet propozycje pomocy finansowej i przyznania grantów od międzynarodowych fundacji. My jednak nie planujemy z nich skorzystać z jednego względu – teraz wszystkie osoby spotkane na ulicach już maseczki mają, więc wydaje nam się to trochę bez sensu rozdawać maski ludziom, którzy już je mają” – triumfowali gorszyciele, dodając, iż podobne akcje planowane są w innych miastach, m.in. w Toruniu, Krakowie i Opolu.

I beczelnie tłumacząc, że do szycia masek za inspirowała ich działalność brytyjskiego LGBT, które w latach 80. XX w. wsparło strajki górników, bo „to był gest typu na co dzień się od was różnimy, ale w ciężkich chwilach możecie na nas liczyć, czyli piękny”. Na marginesie:

Gdyby tęczowe maseczki geje wręczyli naszym górnikom, musieliby liczyć na sprawność służb medycznych.

Akcja szerzycieli zarazy

bezwstydnie żyjących

w pseudozwiązku małżeńskim zawartym na Maderze zyskała światowy rozgłos. O ich wyczynie doniosły „Pink News” („Mimo stref wolnych od LGBT i konserwatywnych rządów PiS, Jakub i Dawid, para gejów z Polski, postanowiła zmierzyć się z dyskryminacją i w zamian szerzyć dobro i pozytywną energię w trakcie pandemii”), „LGBTQ Nation” („Akcja odbyła się w kraju, który dopiero co głosował nad prawem zrównującym edukatorów i edukatorki seksualne z pedofilami”), „The Advocate” („Pozytywna reakcja na tęczowe maseczki była porywająca i, szczerze mówiąc, zaskakująca, biorąc pod uwagę jak Polska historycznie i obecnie traktuje osoby LGBT+ oraz ich walkę o równe prawa”) i wiele innych mediów światowych związanych ze środowiskiem odmienników. Ergo: wieść o szyciu i rozdawaniu tęczowych maseczek z pewnością dotarła do Jezusa.

Ostrzegamy – tęczowe maski rozdane przez Mycka-Kwiecińskiego i Kwiecińskiego-Mycka nie tylko nie chronią przed transmisją wirusa, ale na dodatek niechybnie wywołają wzburzenie wiarygodnych czynników,

co skutkuje wręcz wzrostem zjadliwości patogenu albo nietypowym opadem atmosferycznym w postaci ognia i siarki. Zwłaszcza że to nie pierwsze dokonanie głosicieli

fatalnej nowiny.

Gdy w zeszłym roku Trybunał Konstytucyjny orzekł, że przepis kodeksu wykroczeń, przewidujący karę za odmowę świadczenia usług, jest niekonstytucyjny, co znaczyło, że łódzkiego drukarza, który odmówił wydrukowania plakatów LGBT z powodów religijnych, karać nie można, Mycek-Kwieciński i Kwieciński-Mycek dokonali aktu zemsty. Ogłosili, że kij ma 2 końce i skoro drukarz może odmówić wykonania plakatów z powodów światopoglądowych, to oni mogą nie przyjmować w prowadzonych przez siebie apartamentach gości mających poglądy zbliżone do drukarza. „Uprzejmie informujemy, iż zgodnie z orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego w naszych apartamentach nad morzem nie przyjmujemy gości, którzy są członkami bądź sympatykami Prawa i Sprawiedliwości, sędziami dublerami w Trybunale Konstytucyjnym, pracownikami, lub słuchaczami Radia Maryja, członkami Ruchu Narodowego lub wyznają poglądy faszystowskie, wiernymi widzami »Wiadomości« Telewizji Polskiej lub TVP Info i identyfikują się z treściami przekazywanymi w tych mediach. A kategoryczny zakaz zbliżania się do naszych mieszkań mają bliźniaki jednojajowe, które obchodzą 70. urodziny 18 czerwca i mają 168 cm wzrostu” – napisali w oświadczeniu. A potem ruszyli do polskojęzycznych mediów, aby opowiedzieć, że Polska przypomina Niemcy z lat 30. XX stulecia.

Żeby bluźnić, Mycek-Kwieciński i Kwieciński-Mycek gotowi są przemierzyć wiele kilometrów. W grudniu 2019 r. polecili na szczyt Rady Europy do Brukseli, po to żeby przed rozpoczęciem posiedzenia usiąść w fotelu premiera Mateusza Morawieckiego i liczyć się na nim do utraty tchu. Co gorsza była to tylko

gra wstępna;

w istocie para dewiantów postanowiła przeprowadzić test. „Zapewne zostawiliśmy w powietrzu i na fotelu kilka naszych homozarazków. Zatem jeśli premier po powrocie do Polski nadal będzie kochał swoją żonę i nie wniesie pozwu o rozwód, to sam będzie najlepszym dowodem na to, że cała narracja o zarazie, inwazji LGBT i homopropagandzie jest jedną wielką bujda! Czekamy na wynik eksperymentu!” – ogłosili po wyładowaniu w Warszawie. Premier rzecz jasna z żoną się nie rozwiódł, ale kto wie, jak będzie z Gowinem.

Naczelní geje Rzeczypospolitej nawołują także do organizowania podczas pandemii Marszów Równości online. Marsze Równości, choćby tylko wirtualne, Jezusowi są zaś nie w smak od czasu, gdy jego starszą przyklejono na drzwiach do kibla. Jeśli zatem chcemy, żeby za bożym wstawiennictwem epidemia koronawirusa przestała szaleć na tej ziemi, najpierw trzeba rozwiązać kwestię gejowską. I to definitywnie, bo bozia kocha Polskę, ale pedałów nie cierpi bardziej niż Żydów.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK
mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

REBUS 5



Kaczyński musiał zginąć

Powodów do zgładzenia Prezydenta Tysiąclecia było więcej niż do oddania na niego głosu.

Z okazji 10. rocznicy zamachu w Smoleńsku prezes Kaczyński, rasywy debeściak, zrobił to samo, co piloci tupolewa, czyli wbrew procedurom wylądował na cmentarzu, pięknie upamiętniając wyczyn sprzed dekady niż tysiąc pomników świętej pamięci prezydenta postawionych przed chałupą Borysa Budki. Wiceprezes Macierewicz jubileusz uczcił zaś, przypominając, iż przyczyną tragedii były eksplozje w lewym skrzydle oraz centroplacie samolotu. I dodając skromnie, że choć nie ma zamiaru nikogo obwiniać, „**bo nie taka jest rola przewodniczącego komisji powołanej w sprawie ponownego zbadania przyczyn katastrofy Tu-154**”, to jednak „**pan Putin nie przypadkiem rozdzielił wizyty w Katyniu pana Donalda Tuska i świętej pamięci profesora Lecha Kaczyńskiego**”, zatem wbrew zamiarom Macierewicza winnych wskazał. Były minister obrony nie ujawnił tajemnicy fatimskiej – o tym, że prezydent zginął w wyniku wybuchów zainicjowanych przez Putina spółkującego z Tuskiem, wiadomo od dawna, wiedzę tę Prawo i Sprawiedliwość posiadało na długo przed wykonaniem przez komisję Macierewicza wyczerpujących intelektualnie eksperymentów na parówkach i puszkach po piwie, które przeprowadzono wyłącznie po to, by materia dowodowy urozmaicić i definitywnie zamknąć gęby wyznawcom religii pancernej brzozy. Problem w tym, że ani Macierewicz, ani światli naukowcy na jego usługach nie wskazali dotychczas motywów przyświecających opracowcom, co jest poważnym uchybieniem. Wyłączamy ich.

Pijany niedźwiedź. Pierwszego powodu do zamachu na siebie Lech Kaczyński dostarczył 23 grudnia 2005 r., czyli w dniu zaprzysiężenia. W trakcie przemówienia inauguracyjnego wyraził się bowiem następująco: „**Drogą do wzmocnienia naszego poczucia wartości w stosunkach z innymi państwami jest odrzucenie narodowych kompleksów, ciągłego podnoszenia naszych słabości, chorobliwej tendencji do naśladownictwa także wtedy, gdy chodzi o zjawiska i podstawy wątpliwe, czy też jawnie szkodliwe. Aby być traktowanym jako duży europejski naród, trzeba chcieć nim być. Gdy się chce szacunku innych, trzeba najpierw szanować siebie. Istotną kwestią są nasze stosunki do Rosji, która pozostaje od wieków, mimo zmiennych kolei losu, naszym wielkim sąsiadem. Patrzymy na nią, uwzględniając historyczną perspektywę, zachowując cierpliwość i przekonanie, że nie ma obiektywnych powodów, dla których nie mogłyby być one dobre**”.

Po wysłuchaniu tego nad wyraz przenikliwego wywodu w głowach przywódców innych państw natychmiast zakwitła myśl, że pod przewodem Lecha Kaczyńskiego Polska przestanie być chłopcem do bicia i wnet stanie się mocarstwem, bo – jak powszechnie wiadomo – pozbawieni kompleksów i szanujący się Polacy są groźniejsi od pijanego niedźwiedzia. W Moskwie po wystąpieniu prezy-



denta powiało grozą, oczywiście jest bowiem, iż za dyplomatyczną frazą o braku obiektywnych powodów, dla których stosunki polsko-rosyjskie nie mogłyby być dobre, kryło się niemal wypowiedzenie wojny, zaś po Cudzie nad Wisłą rezultat zmagani wojennych łatwo przewidzieć. Putin zapewne już wtedy zadzwonił do Tuska, aby wstępnie omówić sprawę zamachu.

Wyrok zapadł, a kolejne wystąpienia świętej pamięci profesora Kaczyńskiego nie pozostawiły złudzeń, że wykonać go trzeba.

Bicie konia. Oto w 2006 r. Lech Kaczyński ogłosił, że nie wyznaje poglądu, iż PRL była formą sowieckiej okupacji. „**Narażę się radykałom, ale uważam PRL za bardzo kaleką, ale jednak formę państwowości polskiej. Na tyle jednak kaleką i podległą, że na nazwę III Rzeczpospolita niezasługującą. Olbrzymia przewaga III Rzeczypospolitej nad jej poprzedniczką polega na tym, że jest niepodległa. To jest z mojego punktu widzenia różnica taka jak między niebem a ziemią. Trzeba jednocześnie pamiętać, że III RP jest wynikiem szczególnego rodzaju kompromisu. To nie jest oczywiście żaden spisek w Magdalence. Jako uczestnik wszystkich spotkań w Magdalence mogę powiedzieć, że żadnego spisku tam nie było**” – stwierdził, ale

przeciętni odbiorcy komunikatu, o nieprzeciętnych analitykach Kremla nie wspominając, zdali sobie sprawę, iż Kaczyński w zakamuflowanej formie ujawnił najbardziej skrywany sekret III RP,

obwieszczać miastu i światu, że jest to państwo z dykty opanowane przez

prorosyjską agenturę, która w Magdalence zawarła z Wałęsą tajne porozumienie na temat podziału łupów. Stało się jasne, że Kaczyński nie jest pionkiem formatu Kwaśniewskiego, że to co najmniej laufer, a może nawet hetman zdolny do bicia konia. I że z taką figurą za sterami Polska wymknie się Moskwie spod kontroli i będzie prowadzić grę na własną rękę.

Siła małego. O tym, że śp. Lech Kaczyński jest graczem gotowym w imię polskiej racji stanu rozwalić szachownicę, Ruscy dowiedzieli się niebawem. „**Wraz ze swoim bratem należałem do nielicznych polityków, którzy postawili przed Polską cel: wejście do NATO. Dlaczego jestem takim entuzjastą NATO? Bo nic lepszego nie ma. Dlatego jestem gorącym zwolennikiem rozszerzania NATO, rozszerzania jego odpowiedzialności. Dlatego tak bardzo chcę, żeby Ukraina, Gruzja do NATO należały**” – powiedział prezydent podczas Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku, dowodząc, że do rozgrywki pragnie wciągnąć inne państwa należące do rosyjskiego kondominium. Putin zgrzytnął zębami i nie spał 3 noce, bo choć Gruzja i Ukraina do dziś pozostają jedynie potencjalnymi członkami Sojuszu Północnoatlantyckiego, słowa Lecha Kaczyńskiego dotknęły go do żywego.

Owszem, wkrótce prezydent tysiąclecia opuścił stolicę USA i perorował, że zależy mu na dobrych relacjach ze wschodnim sąsiadem, ale zaraz dodał, iż „**choć wielkość Rosji i Polski, a przez to siła oddziaływania na świat są bardzo różne, to jednak w dzisiejszym cywilizowanym świecie wielkość nie jest już jedynym kryterium**”. Odkrycie, że wielkość nie ma decydującego znaczenia, zasługiwało na pokojowego Nobla, Putinowi puściły nerwy, gdyż wyznaje pogląd odmienny.

Idea prometejska. Bezpośrednim impulsem do zabicia Lecha Kaczyńskiego były jednak jego starania o utworzenie międzynarodowej organizacji skupiającej państwa leżące w pobliżu mórz Bałtyckiego, Czarnego i Adriatyckiego – z Polską na czele. Idea nawiązywała do pomysłu międzymorza znanego od czasów II RP i od tamtej pory budzącego popłoch wśród naszych sąsiadów. Kaczyńskiemu trójmorza nie udało się powołać do życia, ale odbywał w tym celu liczne rozmowy, mnóstwo spotkań, budował relacje i przekonywał do współpracy inne kraje i, jak zapewnia dziś prezes Jarosław Kaczyński, „**mimo ograniczonych możliwości odnosił liczne sukcesy**”. Jerzy Lubach, publicysta „Gazety Polskiej”, uważa, że „**próba podjęcia przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego idei prometejskiej Międzymorza wywołała wściekłość – jawną na Wschodzie, a skrywaną na Zachodzie**” – i w rezultacie „**po tragicznym 10 kwietnia**” przyjaciele Lubacha „**od razu byli przekonani, że to nie żadna katastrofa, a Lecha Kaczyńskiego dosięgła po prostu zemsta Kremla**”. Przyjaciele pisarza i reżysera TVP przekonanie żywili słuszne, ale w świetle stwierdzenia, że wściekłość dopadła również Zachód, nie można wykluczyć, że w zamachu palce maczały także służby innych państw. To wersja prawdopodobna, albowiem trójmorze, choć w czasach Lecha Kaczyńskiego nie istniało, było bardzo niebezpieczną inicjatywą, gdyż miało niwelować dominację największych państw europejskich wrogich Polsce, czyli nie tylko Rosji, ale także Niemiec. To, jak wielką wagę miały starania Lecha Kaczyńskiego, zmierzające do utworzenia tej organizacji, w pełni wiadomo dopiero teraz, gdy trójmorze działa i – jak chce „Gazeta Polska Codziennie” – „**stanowi przyjazną alternatywę dla Unii Europejskiej**”.

Onanizm w konfesjonale. Gwóźdź do własnej trumny śp. Lech Kaczyński wbił w przemówieniu, które miał wygłosić 10 kwietnia 2010 r. Rosjanie znali jego treść dużo wcześniej i za wszelką cenę postanowili nie dopuścić, aby w świat poszły słowa: „**Tak jak kłamstwo katyńskie było fundamentem PRL, tak prawda o Katyniu jest fundamentem wolnej Rzeczypospolitej**”.

Cóż, przywódca, jakiego Polska nie zaznała od czasów Piasta Kołodzieja, musiał zginąć, gdyż zaprawdę powiedział Wam, powodów do jego zgładzenia było znacznie więcej niż do oddania na niego głosu. Organizatorom zamachu nawet nie sposób się dziwić, że sięgnęli po radykalne metody, bo żywy prezydent niechybnie pokrzyżowałby plany uczynienia z Polski montowni, a z Polaków kłęczących, pozbawionych godności zapluty kłaków, Putinowi i Merkel jedzących z ręki, czyli odmieniłby bieg historii, a to grzech cięższy niż onanizm w konfesjonale.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK
mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

75 lat temu
nastąpił koniec
wojny. A czego
początek?

II wojna światowa – zbliża się 75. rocznica Dnia Zwycięstwa. Czyba już ostatnia okrągła rocznica, której dożyli uczestnicy wojny. Co wyróżniało tę wojnę w historii konfliktów zbrojnych? Jaka była jej specyfika? Jak wyglądała w porównaniu z I wojną światową, przez długi czas zwaną Wielką Wojną?

Dwie światowe

Obie wojny stoczyły 2 podobne bloki państw. Jeden tworzyły Niemcy i ich sojusznicy, a drugi mocarstwa zachodnie oraz Rosja z licznymi mniejszymi sojusznikami. Różnice nie były wielkie. Z silniejszych państw Włochy i Japonia w pierwszej wojnie były sojusznikiem Niemiec, w drugiej zachowała neutralność. Mocarstwem sprawczym, inicjatorem wojny w obydwóch przypadkach były Niemcy. Przyczyny II wojny światowej po części wynikały z nie do końca lub niewłaściwie rozwiązanych problemów wojny poprzedniej. Z tego powodu niektórzy historycy skłonni są obie wojny postrzegać jak kolejne odsłony tego samego konfliktu, rozdzielone 20-letnim rozejmem. Jednak różnice między obydwoma wojnami są zbyt duże, aby się z tym zgodzić.

Pierwsza wojna była światową tylko umownie. W istocie toczyła się między mocarstwami europejskimi i ich pozaeuropejskimi posiadłościami. Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny dopiero pod jej koniec. Druga wojna stała się prawdziwie światową już 2 lata po wybuchu. Ogarnęła 80 procent terytorium i ludności globu. W Europie zaczęła się 1 września 1939 r. i przez ponad 2 lata pozostawała konfliktem lokalnym. W Azji zapoczątkowała ją wcześniej, 7 lipca 1937 r., napaść Japonii na Chiny. W 1941 r. nabrała wymiaru światowego wskutek wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej, a pół roku później japońsko-amerykańskiej i niemiecko-amerykańskiej.

Trwała w Europie 2081 dni, w Azji 4 miesiące dłużej. Pochłonęła 25 milionów ofiar militarnych, 2 razy więcej niż pierwsza. Także ponad 30 milionów ofiar cywilnych, 5 razy więcej niż pierwsza.

I wojnę światową poprzedził długi okres względnego pokoju w Europie. Być może dlatego narody europejskie weszły do wojny bez większych obaw, nawet z zadziwiającym entuzjazmem. Od Paryża i Londynu poprzez Berlin i Petersburg elegancja publiczności tłumnie i kwiatami żegnała latem 1914 r. wyruszające na front eszelony. Po obydwu stronach oczekiwano zwycięstwa przed Bożym Narodzeniem. Rzeczywistość okazała się inna i groźna. W 1939 r. narody miały jeszcze w żywej pamięci hekatombę pierwszej wojny, zatem z obawami i bez entuzjazmu szły na nową – nawet w Niemczech, gdzie chęć rewanżu za klęskę 1918 r. była żywa. Rządy większości państw ze względu na opinię publiczną starały się, aby odpowiedzialność za wojnę przynajmniej formalnie obarczyła przeciwnika. Znamienne, że 2 mocarstwa, które miały o losach wojny rozstrzygnąć, Stany Zjednoczone i Związek Radziecki, przystąpiły do niej w 1941 r. – dopiero wtedy, gdy zostały zaatakowane.

Niemiecki walec

Jesienią 1939 r. prawie wszyscy politycy mylili się w prognozach. Najczęściej spodziewano się powtórek z lat 1914–1918, czyli wojny zaciężnej. Stalin liczył na rewolucję w końcowej fazie takiej wojny. Mocarstwa zachodnie do wojny przystąpiły bez należytego przygotowania i mobilizacji zasobów, Wielka Brytania nie miała liczącej się armii lądowej. Jej zamorski amerykański sojusznik dysponował wojskami lądowymi na

REBUS 6



Wojna mocarstw

poziomie ówczesnej Polski w stanie pokoju (około trzystu tysięcy żołnierzy) i bez rezerw. Państwa te liczyły na to, że mają czas na stopniowe rozwinięcie potencjału, znacznie przewyższającego niemiecki i wystarczającego do zwycięstwa. W połowie 1940 r. polskie elity polityczne i wojskowe w większości stawiały na powtórkę poprzedniej wojny, i to w sensie dosłownym. Oczekiwano, że Niemcy ulegną potęgze Zachodu, Związek Radziecki podobnie, nam pozostanie rozbrajać niedobitki. Na takiej prognozie konstruowano plany Armii Krajowej aż do 1943 r.

Tymczasem już w połowie 1940 r. wszystkie te prognozy straciły sens. Okazało się, że Niemcy wyciągnęły wnioski z doświadczeń poprzedniej wojny i stworzyły prawie doskonałą armię, świetnie wyszkoloną, nowoczesnie wyekwipowaną i znakomicie dowodzoną. Bez trudu pokonały Francję i podporządkowały sobie prawie całą Europę. W ich ręku znalazły się zasoby wystarczające na długą wojnę, bez groźby głodu. Zabrakło jedynie siły do niezwłocznej inwazji na Wyspy Brytyjskie. Zdecydowały się zatem podbić wcześniej Związek Radziecki i z tej pozycji przesądzić o losie Brytyjczyków.

W I wojnie światowej Niemcy i ich sojusznicy nigdy nie mieli realnych szans na zwycięstwo. W drugiej również bilans zasobów był dla nich niekorzystny. Ale większość historyków tej wojny sądzi, że mimo to mogli ją wygrać. Według eksperta brytyjskiego Roberta A.C. Parkera w dwóch przypadkach: gdyby pokonali Wielką Brytanię przed wojną ze Związkiem Radzieckim lub Związek Radziecki przed przystąpieniem do wojny Stanów Zjednoczonych.

Potężnym wsparciem niemieckiej maszyny wojennej okazała się gospodarka. Innowacyjna i wydajna, odporna na bombardowania. Produkcja zbrojeniowa Rzeszy osiągnęła szczytowy poziom w 1944 r., rok przed klęską. Niemiecka armia otrzymywała od rodzimego przemysłu najbardziej nowoczesne wówczas czołgi średnie (Panzerkampfwagen V Panther), pierwsze na świecie balistycznie rakiety bojowe, samoloty odrzutowe, świetną artylerię przeciwpancerną, łodzie podwodne. Na szczęście wszystko za późno lub w niewystarczającej liczbie. W opinii francuskiego historyka wojny Philippe'a Masona („Armia Hitlera 1939–1945”) Niemcy hitlerowskie okazały się zdolne pokonać militarnie nie tylko każde inne mocarstwo, lecz również każdą koalicję dwóch mocarstw. Nie dały rady trzem, i to najpotężniejszym.

Dwa fronty

Fanatycznym antykomunistom nie podoba się kształt wojennej koalicji antyhitlerowskiej. Woleliby, aby po jednej stronie były mocarstwa demokratyczne, a po drugiej wszystkie totalitarne i aby poniosły one klęskę. To myślenie życzeniowe, i na dodatek spóźnione, zimnowojenne. W czasie wojny nikt z przywódców Zachodu tak nie rozumował, może jedynie politycy polscy, i to nie wszyscy. Przemyśle ze stalinowskim Związkiem Radzieckim dla Wielkiej Brytanii jawiło się w 1941 r. jedyną szansą ocalenia. Winston Churchill, informowany 20 czerwca 1941 r. przez amerykańskiego ambasadora o spodziewanym łada chwili ataku Niemiec na ZSRR, tak to skomentował: „Brzmi zbyt pięknie, aby było prawdą”. Sam Churchill, jak większość przywódców Zachodu, nie wróżył przyszłości przymierzu radziecko-niemieckiemu z 1939 r. Uważał je za chwilowe i taktyczne. Spodziewał się konfliktu tych państw i na to liczył. Nie obarczał ZSRR odpowiedzialnością za wybuch wojny. Ze zrozumieniem traktował aneksję wschodniej Polski. W przemówieniu radiowym do narodu 1 października 1939 r. mówił: „Rosja prowadzi chłodną



politykę własnych interesów. Wolelibyśmy oczywiście, aby rosyjskie armie stanęły na obecnej linii jako sojusznicy Polski, a nie najeźdźcy. Ale zajęcie tych pozycji przez armie rosyjskie było koniecznością w obliczu niemieckiego zagrożenia (...). Nie mogą przepowiadać postępowania Rosji. To zagadka owiana tajemnicą. Ale być może jest do niej klucz. Tym kluczem są rosyjskie interesy narodowe. Nie da się pogodzić z tymi interesami i bezpieczeństwem Rosji rozpanoszenie się Niemiec na wybrzeżu Morza Czarnego. Ani opanowanie przez nie państw bałkańskich i zniewolenie słowiańskich narodów Europy Południowo-Wschodniej”.

Churchill nie mylił się. 10 miesięcy później wizyta Mołotowa w Berlinie zakończyła się listą samych nieporozumień. Hitler sugerował ekspansję przeciwko Wielkiej Brytanii w rejonie Oceanu Indyjskiego, a Mołotow uparcie powracał do problemu Rumunii, Jugosławii, Polski, Finlandii. Gdy wyjechał, Hitler podpisał plan „Barbarossa” – dyrektywę do najazdu na ZSRR.

Amerykański bóg wojny

W ramach trójstronnej koalicji antyhitlerowskiej, która powstała po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny, autorem kluczowych decyzji przysądżających strategię wojenną, a po części również kształt ładu powojennego, był amerykański prezydent Franklin D. Roosevelt. Jedyny w historii USA prezydent wybrany kolejno na 4 kadencje (dwukadencyjność wtedy jeszcze nie obowiązywała). Roosevelt od jesieni 1939 r. konsekwentnie zmierzał do zaangażowania swego kraju w wojnę. Był przekonany, że supremacja Niemiec w Europie, a Japonii na Pacyfiku zagraża narodowym interesom USA. Tego prowojennego nastawienia nie podzielała jednak większość jego rodaków. Amerykanie w tym czasie masowo żywili nastroje izolacjonistyczne. Roosevelt zrezygnował, aż potencjalni przeciwnicy sami rozwiążą problem, atakując Stany Zjednoczone. Potem, już w stanie wojny, przejął w swe ręce inicjatywę strategiczną. Najpierw 2 tygodnie po ataku Japonii na Pearl Harbour, podczas konferencji z Churchillem zde-

cydował, że najpierw trzeba skupić się na wojnie z Niemcami, a dopiero po jej wygraniu rozprawić się z Japonią. Znaczna część amerykańskiej generacji takiego rozkładu priorytetów nie podzielała, ale racją była po stronie prezydenta. Niemcy jako znacznie silniejsze państwo były w stanie skutecznie wspierać Japonię i utrudniać jej pokonanie. Japonia miała dużo mniejsze możliwości.

Kolejne decyzje strategiczne Roosevelt powziął w drugiej połowie 1942 r. Po tym gdy załamanie się niemieckiego *Blitzkriegu* pod Moskwą potwierdziło zdolność ZSRR do przetrwania, zdecydował się postawić na radziecką kartę w wojnie lądowej w Europie. Miał na uwadze priorytety amerykańskiego społeczeństwa. Dotychczasowy przebieg wojny zapowiadał, że niemieckiej maszyny wojennej nie da się pokonać bez kilku milionów ofiar. Społeczeństwo amerykańskie na taką daninę krwi nie wyraziłoby zgody. Zatem

Roosevelt postanowił wygrać wojnę w Europie połączeniem amerykańskich zasobów gospodarczo-technicznych i radzieckich zasobów ludzkich. Amerykańskiej gospodarki z rosyjską krwią.

Zrobił wszystko, aby Stalina do takiej strategii zachęcić. Zapewnił Związkowi Radzieckiemu prawie nieograniczone dostawy materiałów i zaopatrzenia wojennego. Odrzucił propozycję Churchilla, aby aliancką inwazję do Europy skierować przez Bałkany w kierunku Węgier i Polski, uprzedzając w ten sposób zajęcie tych państw przez wojska radzieckie. Wybrał zgodny z postulatami Stalina wariant lądowania we Francji, nawet gdyby to oznaczało, że Europa Środkowo-Wschodnia znajdzie się w zasięgu armii radzieckiej. Wreszcie na konferencji w Casablance w lutym 1943 r. ogłosił militarnie ryzykowną i kosztowną zasadę: „Wojna aż do bezwarunkowej kapitulacji Niemiec”. Też po to, aby upewnić Stali-

na, że separatystyczne porozumienia w Hitlerem są wykluczone.

Miara Haldera

Ta strategia się sprawdziła. Na europejskim teatrze działań wojennych poległo 20 milionów żołnierzy: 10 milionów czerwonoarmistów, 5,5 miliona Niemców, w tym 80 procent na froncie wschodnim, 320 tysięcy Włochów, 380 tysięcy Brytyjczyków (znacznie mniej niż na I wojnie światowej), 240 tysięcy Amerykanów (też mniej niż na poprzedniej wojnie). Alternatywą tej strategii było w przekonaniu jej twórców znaczne przeciągnięcie wojny w czasie lub nawet utrzymanie się niemieckiego panowania w Europie na dziesięciolecia.

Radzieckie straty militarne na tej wojnie obrosły fałszywymi interpretacjami. Na te 10 milionów składa się 6 milionów poległych i zmarłych od ran oraz 4 miliony jeńców, którzy dostali się do niemieckiej niewoli i w dwóch trzecich w niej zginęli. 80 procent jeńców trafiło do niewoli w pierwszym półroczu wojny. Opinia potoczna – a także część historyków – widzi w tych milionach jeńców świadectwo niskiego morale Armii Czerwonej lub swoisty protest jej żołnierzy przeciwko komunizmowi i kolektywizacji. To legenda, przeczą jej wiarygodne źródła. Szef Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych III Rzeszy w latach 1939–1942 gen. Franz Halder prowadził poufny dziennik wojenny, w którym szczerze odnotowywał informacje i własne oceny. Od początku wojny na wschodzie notował systematycznie straty wojsk niemieckich w relacji do stanu wyjściowego i porównywał ten wskaźnik z poprzednimi operacjami, z kampanią wrześniową w Polsce i z wojną we Francji. Na tej podstawie oceniał siłę oporu nieprzyjaciela. W ZSRR od pierwszych tygodni wojny do końca służby Haldera we wrześniu 1942 r. mierzony tym wskaźnikiem opór wojsk radzieckich był zdecydowanie twardszy niż polskich i francuskich. Wehrmacht ponosił większe straty. Przez pierwsze tygodnie wojny Halder nie odnotował napływu jeńców. Pojawili się tysiącami dopiero po pierwszych kotłach, w których zostały zamknięte całe radzieckie armie. Te kotły to konsekwencja fatalnego dowodzenia Armią Czerwoną,

a zwłaszcza bezmyślnego wojskowo, a zbrodniczego moralnie rozkazu Stalina: „*Ni szaga nazad!*” („*Ani kroku do tyłu!*”).

O tym, jak to wyglądało w praktyce, świadczy los całego frontu zachodnio-południowego. W sierpniu 1941 r. 10 armii tego frontu (600 tysięcy żołnierzy), broniących się na linii Dniepru, stanęło w obliczu groźby okrążenia przez niemieckie związki szybkie, które sforsowały Dniepr na południu i północy. Dowodzący frontem generał pułkownik Michaił Kirponos zwrócił się do Naczelnego Dowództwa o zgodę na odejście na linię rzeki Desna i tam na skróconym froncie organizowanie dalszej obrony. Został przez Stalina zbesztany i zwymuszony do tchórz. Po kilku dniach, gdy sytuacja stawała się beznadziejna, Stalin radiogramem wyraził zgodę na odwrót. Tym razem jednak Kirponos odmówił wykonania rozkazu, zażądał potwierdzenia go na piśmie. Zanim rozkaz pisemny drogą lotniczą nad liniami niemieckimi dostarczono, było już za późno. Kocioł się zamknął. Po dwóch tygodniach walk i wyczerpaniu zasobów wojska frontu prawie w całości dostały się do niewoli. Gen. Kirponos i jego sztab zginęli w rejonie Połtawy z karabinami w ręku przy próbie wydobycia się z okrążenia. Latem 1942 r., gdy szaleństwo Naczelnego Wodza zostało pohamowane, a kontrola nad wojną znalazła się w ręku profesjonalistów, w notatkach gen. Haldera pojawił się nowy ton. Pozornie natarcie na Ukrainie rozwija się pomyślnie jak przed rokiem. Ale obraz wojny jest inny. Nie ma tysięcy jeńców ani ton porzuconego sprzętu. Przeciwnik odchodzi planowo. We wrześniu Halder dostał od Hitlera dymisję, a na horyzoncie już majaczył Stalingrad.

Tylko silni

W odróżnieniu od I wojny światowej druga szybko nabrała czysto mocarstwowego charakteru. Decyzje o wojnie i wpływ na jej przebieg znalazły się niepodzielnie z jednej strony w ręku Niemiec i Japonii, a z drugiej Stanów Zjednoczonych, Związku Radzieckiego i Wielkiej Brytanii. Możliwości militarne ich mniejszych sojuszników praktycznie straciły znaczenie, w konsekwencji ich siła polityczna także. Ta supremacja wielkich mocarstw była nie tylko rzeczywista, ale także otwarcie deklarowana. Każdą niesubordynację sojuszniczą (Włochy, Węgry) Niemcy likwidowały inwazją wojskową. Nie pacyfikowali się też zbytnio ich przeciwnicy, choć do przemocy się nie uciekali. Po prostu ignorowali mniejsze państwa. Wiosną 1943 r. brytyjski minister Anthony Eden w rozmowie z Rooseveltem na temat powojennych granic w Europie Wschodniej powiedział, że „**Polacy nie zgadzają się oddanie Związkowi Radzieckiemu Kresów Wschodnich**”. Na to amerykański prezydent wybuchnął: „**Polacy mogą chcieć lub nie. Wielkie mocarstwa decydują, co dostaną. Ja nie pojedę na konferencję pokojową, aby targować się z tuzinem mniejszych państw**”.

Końca wojny Roosevelt nie dożył, zmarł 12 kwietnia 1945 r. Ale i tak konferencji pokojowej podobnej do paryskiej z 1919 r. nie zwołano. O wszystkim zdecydowały dwie konferencje Wielkiej Trójki: w Jałcie (luty 1945 r.) i w Poczdamie (sierpień 1945 r.). Ten wielkomocarstwowy dyktant nie wynikał z antydemokratycznych fanaberii, lecz wyrażał realny układ sił. Akceptowany w świecie. Nawet 55 lat później, gdy w obliczu zjednoczenia Niemiec konieczne stało się zamknięcie powojennych z nimi rozliczeń, powierzono to zgodnie konferencji Wielkiej Czwórki (okupujące mocarstwa) i dwóm państwom niemieckim. Latem 1990 r. wynegocjowano w Paryżu, a we wrześniu podpisano w Moskwie traktat pod znamennym tytułem: „O ostatecznej regulacji w kwestii Niemiec”. Na słówko „**ostatecznej**” należy zwrócić uwagę naszym politykom, którzy ludzą siebie i naiwnych współobywateli wizją hojnych reparacji, jakie moglibyśmy ponoć jeszcze uzyskać na Niemczech. Jeśli chce się wzruszyć traktat z 1990 r., to najpierw trzeba by do tego przekonać jego głównych sygnatariuszy. Od Stanów Zjednoczonych poczynając.

M.Z.

Mały fiutek,
wielki rozum.
Albo odwrotnie.

Dwa metry pręcia

W telewizji mówią, że podczas przymusowego siedzenia w domu można wreszcie zrobić rzeczy, na które nie miało się wcześniej czasu. No to postanowiłem powiększyć sobie penis.

Jak powszechnie wiadomo, gdy tylko nie weźmie się pod uwagę wcześniejszej umieralności, późniejszej emerytury, mniejszych nakładów na leczenie typowych dla płci schorzeń, wyższego wskaźnika samobójstw i wypadków przy pracy, a także dużo częstszego bycia ofiarami morderstw czy konfliktów zbrojnych – to życie mężczyzny jest lepsze od życia kobiety.

Nie zawsze był to jednak pogląd dominujący. Już wielu starożytnych twierdziło, że posiadanie fujaży – obojętnie, długiej czy krótkiej – to bycie skazanym na mękę. Sofokles pisał, że posiadać penisa to „**być przykutym łańcuchem do szaleńca**”.

Według wiarygodnych statystyk medycznych przeciętny penis typowego Polaka mierzy średnio 14 cm. Zdarzają się u nas oczywiście chujy większe, nawet takie mierzące 168 cm, ale ten akurat zajęty jest ostatnio głównie organizacją wyborów.

Aby przedłużyć swój walor, zainwestowałem ponad 500 zł i zamówiłem 6 różnych specyfików mających z mojego przeciętnego siostra uczynić międzynarodowego cempiona. Postanowiłem zdywersyfikować metody i zamiast iść tylko w pigułki albo pompki, kupiłem po jednym przedmiocie z każdej – za przeproszeniem – gałęzi tego jakże prężnego przemysłu.

Decydującym kryterium była popularność wśród kupujących i deklarowana przez nich ocena skuteczności. I tak w czterech różnych sklepach nabyłem kolejno (pisownia oryginalna): 60 tabletek „PENIS-FIT zwiększające członka”; „PENIS XL DUO PACK zestaw powiększający penis”; „PENIS XXL bezpieczny krem na powiększenie członka”; „Size Master Pro POWIĘKSZANIE PENISA NOWOŚĆ film” oraz pompę do powiększania penisu „AIR CONTROL 21 cm”. Na dokładkę, gdyby wcześniejsze metody zawiodły, dorzuciłem stalowy „PRO EXPANDER na powiększanie penisu USA”.

Wszystkie te rzeczy, mogące zrobić ze mnie kalekę na resztę życia, przysłyły oczywiście pocztą – gdyż najważniejsze jest bezpieczeństwo.

1. Tabletki

To najtańsza, ale wbrew pozorom najbardziej ryzykowna forma terapii. Prącia pastylką raczej się nie uszkodzi, ale za to można dostać wzdęć, omamów, a nawet łupieżu. Co i służyć, bo wtedy mały penis szybko przestaje być problemem.

Producent zakupionych przeze mnie za 84 zł tabletek „**PENIS-FIT**” pochodził z Holandii – i to wzbudzało zaufanie – ale dystrybutor z Sochaczewa, co już nieco mniej.

Na ciemnofioletowym opakowaniu specyfiku widniał obrazek mężczyzny w przysiadzie wraz z wystającymi mu z nóg trzema wzwiedzionymi fiutami. Niekoniecznie był to efekt, na jaki liczyłem.

Sprzedawca reklamował produkt jako „**totalny hit, oparty na kompleksowej recepturze**”, dzięki któremu penis powiększy się do 3 cm, a obwód zwiększy się do 25 proc. Słowo „**kompleksowy**” – warto zauważyć – przy wciskaniu towaru niepewnym siebie klientom nie wydaje się marketingowo najszcześliwsze. Miałem łykać dwie tabletki dziennie, a pierwsze efekty zauważyć po niecałym tygodniu stosowania. I rzeczywiście tak było! Już po siedmiu dniach zauważyłem, że z opakowania ubyło 14 tabletek – i był to jedyny efekt kuracji.

Syberyjski korzeń żeń-szenia, będący głównym składnikiem suplementu, zapewne zadziałałby lepiej, gdybym go sobie przymocował. Penis ani drgnął, wciąż na miarce wskazując ten sam smutny wynik.



1



2



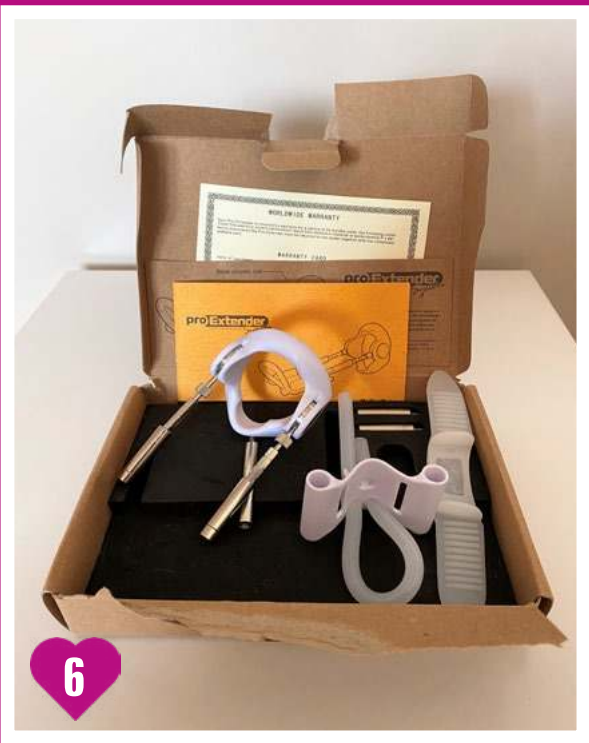
3



4



5



6

2. Krem

Wyprodukowany w Niemczech „**Penis XXL Creme**” (29 zł za 80 ml) wydawał woń masła, ale takiego z lodówki, do której nikt od dawna nie zaglądał, gdyż właściciel rozkładał się w wersalce.

Wszystko to dzięki zastosowaniu olejku jojoba, pochodzącego z Meksyku wynalazku, stosowanego od lat w kosmetyce, np. przy zapobieganiu powstawania rozstępów. Bardzo bym się cieszył, gdyby wystąpiły u mnie na członku rozstępy, niemniej po zużyciu połowy tubki „Penis XXL Creme” rozmiar nawet nie drgnął.

Sprzedawca uczciwie jednak zaznaczył, iż „**Penis XXL Creme**» **pozwała na uzyskanie maksymalnych rozmiarów Twojego członka**”. Moje najwyraźniej maksymalnie były takie, jakie mam.

3. Tabletki i krem

Już w przypadku placebo wiadomo, że to podane dożylnie wydaje się pacjentom skuteczniejsze niż podane doustnie. Dlatego jak na rozumnego człowieka przystało, uznałem, że zestaw tabletek plus krem prędzej powiększy mi penis niż same tabletki lub sam krem.

Trzecim przetestowanym produktem był „**Penis XL Duo**”, składający się z 30 pigułek i 30 ml kremu – całość za jedyne 79 zł. Tym razem sprzedawca zachwalał, że „**wyciąg z buzdyganka ziemnego wspomaga proces spermatogenezy**”, a „**amino kwas L-Arginina to prekursor tlenku azotu uważanego za neuroprzekaznik w procesach prowadzących do erekcji**”.

Co z czym i jak wymieszano, nie wiadomo – biały krem miał zapach emulsji do mebli. Na opakowaniu widniały przestrogi: „**wzmocnia erekcję**” oraz „**przechowywać z dala od dzieci**”, co

w przypadku wystąpienia obydwóch czynników naraz mogło dać niezręczny efekt: dziecko z erekcją.

Bity tydzień pucowałem pałę holenderskim kremem i nie pojawił się nawet wzwód – o zwiększeniu członka nie wspominając.

Rozczarowanie było jednak podwójne. Okazało się, że w opakowaniu tabletek znajdują się identyczne pigułki z syberyjskiego żeń-szenia, które łykałem 2 tygodnie wcześniej. Ten sam skład, ten sam producent i nawet ta sama fabryka. Oprócz mdłości – żadnego efektu. Od buzdyganka nie przybywa bzykanka.

4. Pompka

Według wszelkich raportów największe przeciętnie penisy posiadają czarnoskórzy, tuż za nimi plasują się biali, a na końcu Azjaci. Nic więc dziwnego, że pierwszy sprzęt, który zadziałał, pochodził z Chińskiej Republiki Ludowej.

Pompa do powiększania penisu „**AIR CONTROL 21 cm**” reklamowana była przez sprzedawcę jako profesjonalny system ssania i regulacji ciśnienia w cylindrze, wyposażony w zawór spustowy i tłokowy system podciśnieniowy. Z tak finezyjnym opisem produkt można było spokojnie wystawić na giełdzie części samochodowych.

Urządzenie – jak pisał sprzedawca – „**składa się ze szczelnie zamkniętego (z jednej strony) cylindra, którego wielkość jest na tyle duża, aby móc bezproblemowo pomieścić penis w stanie wzwodu. Po włożeniu penisu do cylindra, za pomocą pompki odsysamy powietrze z cylindra, tworzy się różnica ciśnień, która oddziałuje na penis w środku cylindra. Dzięki temu zjawisku jesteśmy w stanie, w krótkim okresie czasu zwiększyć rozmiary swojego członka o kilka centymetrów. Chwilę później następuje powrót do normalnych rozmiarów penisu, ale cały trik polega na tym, by czynność wykonywać regularnie – po kilkunastu dniach stosowania pompki możemy osiągnąć trwałe rezultaty**”.

W istocie tak właśnie było. Za każdym razem, gdy pompowałem maszyną, penis rozciągał się, aż trzeszczało. Gdy jednak uderzałem paluchem w zawór spustowy – wracał do pierwotnego stanu.

Zabawa była dość osobliwa, bo sprzęt sterczał, a żadnego podniecenia nie było. Na nieszczęście mężczyźni zwykle dzieje się odwrotnie. Zabawa skończyła się po tygodniu. Podczas szesnastego dnia pompowania usłyszałem głuche młasknięcie i bałem się, że to żołądek oddzieliła się od ciała. Na szczęście jebnął zaworek. Pompka była jednak warta wydanych 65 zł, bo po naprawie dzięki wytworzeniu próżni kanapki pakowane przeze mnie do pracy dłużej zachowują świeżość.

5. Powiększacz chiński

Urządzenie „**Size Master Pro POWIĘKSZANIE PENISA NOWOŚĆ film**” składało się z 13 koniecznych do zmontowania elementów, do których – o zgrozo – nie znalazłem w opakowaniu instrukcji.

Z kartonu wysypały się 3 rolki taśmy klejącej, 3 plastikowe kapturki z metalową sprzączką, 4 nakładki silikonowe, końcówka zasysająca na sprężynie i 2 pasy z rzepami.

Za 269 zł oczekiwałem, że urządzenie samo się zmontuje, zaczepli na członku i powiększy go bez jakiegokolwiek ludzkiej ingerencji. Polski sprzedawca, zdając sobie sprawę z braku instrukcji, na aukcji internetowej podał link do filmu-poradnika. Tu niestety zaszło nieporozumienie, bo po kliknięciu otwierał się klip, na którym migaly 2 samochodowe kierunkowskazy, zapewne przeznaczone na handel w innym ogłoszeniu. Marzył mi się członek zachodzący na zakrę-

tach, niech będzie z kierunkowskazami – ale to nie było to. W końcu udało się odnaleźć prawdziwy film. Kręcony był komórką w ciemnościach przez chińską parę. Ona kamerowała, on instruował.

– Tso tsi ci goń cio gen ći – mówił pan Chińczyk i zsunął napletek.

– Wyn gon ći ken ći – dodał i nałożył na zwiotczały penis silikonowy kapturek. Potem inny silikon naciągnął na plastik i całość wywinął na lewą stronę.

– Hyn si ko han czo – mówił do kamery, instalując całość na członku i tak ściskając penis, że aż piszczał. Coś pokazywał ręką – że teraz niby jest bardzo mało, ale zaraz będzie bardzo dużo.

– Dziako cija czon, cika dzej czon – tłumaczył, zapinając się pasem z rzepami i potem zaczepiając członek o taki plastikowy dynks, którego ja w swoim opakowaniu nie znalazłem.

Na tym projekcja się zakończyła – ściągnął towar z członka i na ile znam mandaryński, podziękował widzom za uwagę.

Niestety film nijak nie przystawał do tego, co kupilem – tak jak gdyby składając kredens z IKEA, posługując się instrukcją do uruchomienia pralki.

A polski sprzedawca zapewniał: „Innowacyjna konstrukcja ekspandera umożliwia noszenie go przez 8-10 godzin dziennie. W efekcie powiększenie penisa uzyskujemy w krótkim czasie. Urządzenie jest bardzo wygodne i niewidoczne pod ubraniem”.

I obiecywał:
– Dłuższy członek;
– Grubszy członek;
– Większa żołądź;
– Twardsze erekcje;
– Wyprostowanie penisa;
– Zwiększenie wytrzymałości podczas stosunku;
– Zwiększenie pewności siebie”.

Niestety jedyna rzecz związana w tym wypadku z pewnością była taka, że z pewnością poczułem się zrobiony na szaro. Gdyby ktoś poszukiwał mało używanego, prawie pachnącego nowością niekompletnego zestawu „Size Master Pro”, proszę o kontakt na podany poniżej e-mail. Dołożę instrukcję od pralki.

6. Powiększacz amerykański

Ostatnią nadzieją pozostał amerykański stalowy „PRO EXPANDER”. Co tu dużo mówić, za całe 48,60 zł otrzymałem produkt z najwyższej półki. W eleganckim kartoniku na miękkiej gąbeczce znajdowały się wspaniałej jakości części ze stali nierdzewnej i tworzywa. W komplecie instrukcja z obrazkami, międzynarodowa 2-letnia gwarancja oraz kalendarz do zaznaczania postępów w miesiącach i centymetrach. Do tego informacja, że produkt przeszedł w Europie testy medyczne, na co ma 4 certyfikaty, i płyta CD z filmem instruktażowym.

Według oświadczenia producenta osiemnastu pacjentów nosiło PRO EXPANDER przez 12 godzin dziennie, 7 dni w tygodniu przez 2 do 24 tygodni. Działali na penisa z siłą od 900 g do 1,2 kg. Średni osiągnięty wynik po 1100 godzinach dawał 2,8 cm wzwidzionej kuśki więcej.

Podniecony stanąłem więc do walki o przypływ męskości. Pierwszym

błędem było przemycie urządzenia spirytusem tuż przed włożeniem na członek. Po dwudziestu minutach kąpieli, a następnie wymyciu wrzątkiem (urządzenia, nie członka, oczywiście), nastąpiło pierwsze rozczarowanie: najmniejszy możliwy wariant skręcanego urządzenia i tak okazał się zbyt duży na me wdzięki.

Nie wiem, czy amerykańska technologia do efektu zakładała chodzenie przez prawie pół roku ze wzwodem po 12 godzin dziennie, ale dopiero po przeróbce szlifierką (urządzenia, nie członka, oczywiście) udało mi się założyć przedłużacz. Nie mieścił się w slipach ani w dżinsach. Ciągnął niemiłosiernie, a regulacja dawała wybór – albo boli wyrwana z trzewi żołądź, albo wbijająca się w jaja obudowa. O tym BBC czy „The New York Times” – których zainteresowaniem producent chwalił się na stronie internetowej – zapewne nie doniosły.

W ten oto sposób moje badania, prowadzone zgodnie z dziennikiem w dniach 8 lutego – 18 kwietnia, dobiegły końca.

• • •

Zamiast usiąść i zapłakać, oddałem się lekturom, które szybko przyniosły pocieszenie. Po pierwsze udało mi się ustalić, że nie we wszystkich kulturach na przestrzeni wieków wielki penis był uważany za wartość. Np. Tybetańczycy wierzyli, że jeśli przy kucnięciu członek dotyka pięty – to właściciel nie zazna w życiu szczęścia. Podobnie twierdzili Hindusi – za dużą kuśka oznaczać miała nici ze spółdzenia synów i zdobycia majątku. Starożytni Grecy też woleli prącia małe, duże uważając za prymitywne i barbarzyńskie.

Ulgę zakompleksionym przynosi też biologia – wybadano, że długie czarne penisy są mniej twarde niż spręty białych czy Azjatów, a to też ma podczas bzykania znaczenie.

Nieprawdą ponad wszelką wątpliwość okazuje się także pogląd, że na podstawie wzrostu, długości nosa czy rozmiaru stopy da się wywnioskować informację o wielkości penisa.

Znany francuski malarz Henri de Toulouse-Lautrec mierzył 152 cm, był tęgi, ale wśród paryżanek dorobił się przydomku „Imbryk” z powodu posiadania długiej kuśki.

Do zadowolenia kobiety (które nie są lepsze, bo same powiększają sobie cyce) wystarczy według badaczy ledwie 10-centymetrowy ptasek. Im grubszy, tym lepszy, bo sama długość o niczym jeszcze nie decyduje, tym bardziej, jeśli penisa nie umie się używać.

Mało tego, według ludzi nauki decydującym w procesie prokreacji czynnikiem okazuje się wale nie duży penis, ale duże jądra. Które to – jeśli Urban zasponsoruje – postaram się powiększyć już w następnym numerze.

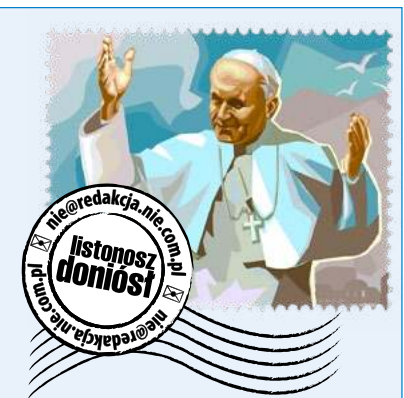
MICHAŁ MARSZAŁ
michal.marszal@redakcja.nie.com.pl

Siła wiary

Ograniczono do pięciu osób udział w obrzędach religijnych. Osobiście jestem przeciwny tego rodzaju ograniczeniu. Jeśli ktoś jest tak bardzo religijny, że musi osobiście biegać na msze, bez względu na okoliczności, to niech biega. Żadnych ograniczeń. Jeśli ktoś chce, aby ksiądz wkładał mu do buzi obślinionymi palcami oplatek, to nie przeszkadzajmy mu w tym. Jeśli ktoś chce całować figurki, właśnie polizane przez tysiące jemu podobnych, to niech to robi. Pojawiła się wielka i niezwykle rzadka okazja, aby wierzący, a zwłaszcza dewoci i inni „religianci”, mogli się przekonać o boskiej potęgze, boskiej doskonałości i świętości. Przecież pojawiają się wypowiedzi księży, że ksiądz ma ręce święte, więc żaden wirus czy bakteria tych świętych dłoni się nie ima. Żaden Bóg nie pozwala, aby mikroby wykorzystywały obrzędy ku jego czci. Dla ludzi wierzących w bóstwa wiara

przewyższa zjawiska obiektywnie dostrzegalne wszelkiej maści: fizyczne, chemiczne, biologiczne, zwłaszcza te naukowo wytłumaczalne. Zatem pozwólmy odbywać wszelkie zgromadzenia i obrzędy religijne bez jakichkolwiek ograniczeń. Ale tylko religijne. Pozostałe ograniczenia, oparte na naukowych lub racjonalnych podstawach, powinny oczywiście pozostać na czas epidemii. Wierzący mogą stosować swoje zasady w swoich kręgach, a niewierzący mają prawo do przestrzegania zasad potwierdzonych naukowo.

Epidemie pojawiały się w historii ludzkości wielokrotnie. W czasach minionych, z których pozostały kroniki czy inne relacje, religia pozwalała wytłumaczyć naturę epidemii, jej przyczyny, a zwłaszcza pozwalała zidentyfikować winowajców i doprowadzić do ich skutecznego ukarania. Czasami karanie „sprawców” zarazy przybierało rozmiary pogromów czy maso-



wych mordów, ale cóż to za kara wobec skutków epidemii. Każda epidemia kiedyś kończyła się, być może wyłącznie wskutek stosowania obrzędów religijnych. Mamy więc od dawna niespotykaną okazję udowodnienia przez ludzi religijnych skuteczności wiary w opanowaniu i wygaszeniu epidemii.

DJK

Nyczowi do sztambucha

Kard. Kazimierz Nycz w szoku na widok pustych kościołów w Wielkanoc z powodu koronawirusa „Nigdy czegoś takiego nie przeżyłem. Tego się nie da opisać”.

Otóż, panie Nycz, już teraz przyzwyczajaj się pan do pustych kościołów jako świętyń, ale jak one zmieniają charakter biznesu na inny, na przykład na galerię, puby czy dyskoteki (co na zachodzie staje się coraz powszechniejsze), to znowu zapelnia się tłumnie klientami. Wybierze się pan do pubu, zamówi przy barze (dawnym ołtarzu) dobrego drinka (a nie kwaśne wino mszalne), na nurze będzie wyginać się była zakonnica (choć w wieku emerytalnym wygibasy już nie będą takie powabne) i przekona się pan, że klientela jest nawet bardziej zadowolona niż podczas dawnych mszy. Z uwagi na brak tacowego i ogromnych funduszy państwowych nie będzie już pan mieszkał w pałacu, tylko w skromnej kawalerce w bloku (w sam raz adekwatnej dla starego kawalera), nie będzie się pan przemieszczał limuzyną z szoferem, tylko komunikacją publiczną razem z zapoconą

gawiedzią, będzie pan polował na przeceny przecen w Biedronce, a zafajdane kalesony będzie pan musiał sobie - o zgrozo! - sam prać, bo na służbę nie będzie kasy. Tych wspaniałych szat i dyndydałek z dawnego zatrudnienia szkoda byłoby nie wykorzystać, więc mógłby się pan przyłączyć do Parady Równości, gdzie na pewno by pan zrobił furorę, a i może znalazł nareszcie prawdziwą miłość w ziemskim partnerze, choć zakażonym tęczową zarazą, ale przynajmniej nie koronawirusem.

J.B.

Nie dla Kosiniaka

Propozycja pani Wolk-Łaniewskiej, żeby zagłosować na Kosiniaka-Kamysza, bo ma teraz o dwa punkty procentowe więcej niż Kidawa-Błońska, jest do kitu. Pan Kosiniak robi dobre wrażenie, stara się umocnić obraz swojej partii (z Kukizem – fuj!), ale

zastąpienie nim Kaczyńskiego to działanie według zasady lepsza kiła niż mogiła. Przypomnę jedno z działań pana Kosiniaka-Kamysza z 2016 r.

W audycji Jacka Żakowskiego poseł Kosiniak skrytykował ustawę „Za życiem” (4000 zł dla kobiety, która urodzi niepełnosprawne dziecko). Powiedział: „To najbar-

dziej prymitywna realizacja obietnicy złożonej przez premier Szydło”. Tego samego dnia Kosiniak-Kamysz wraz z całym klubem PSL głosował za przyjęciem ustawy. Czyli takie samo gówno, jak Duda będzie nam wciskał, jeśli zostanie prezydentem. Nie warto.

PIRS

Zbrodnie pislamskie

Pragnę zwrócić na jeden niezauważony przez nikogo aspekt dotyczący karania przez policjantów obywateli na podstawie niezgodnego z prawem „prawa” uchwalonego przez PiS. Rzecznicy policji bronią niegodnych i często bezprawnych interwencji policji, tłumacząc to faktem, że policja nie jest od interpretowania prawa. Otóż jest to nieprawda. Rządzące Polską od 1990 r.

władze wywodzące się z tzw. „Solidarności” oraz ustanawiane przez nie instytucje w ostatnich 30 latach określiły jednolitą linię orzecniczą dotyczącą wymagania od policjantów nie tylko interpretacji prawa, ale także wymagania świadomości, czy egzekwowane przez nich prawo faktycznie jest prawem. Byli komendanci wojewódzcy MO karani są za zbrodnie komunistyczną polegającą na wykonywaniu rozkazów

związanych z wprowadzeniem stanu wojennego, gdyż powinni oni byli mieć świadomość, że w chwili przystąpienia do działań nie był jeszcze opublikowany dekret o stanie wojennym. Tak samo wszyscy obecni funkcjonariusze policji powinni w przyszłości ponieść karne konsekwencje swych działań podejmowanych bez podstaw prawnych.

Jacek ze Szczecina

REKLAMA

Majówkowa oferta PRZEGLĄDU

PRZEWIDUJEMY 70 ZŁ

KTO ODPOWIEDZIA ZA KŁĘSKĘ WRZESNIOWA 45 zł

Przewidywanie 42 zł

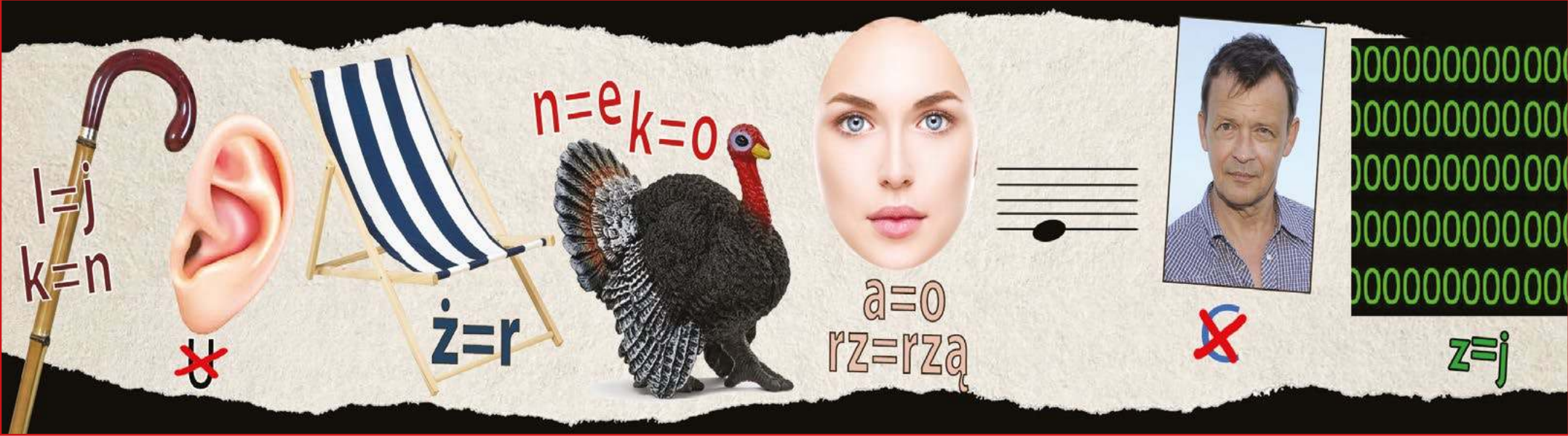
Przewidywanie 43 zł

NOWA HUTA 49 zł

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nieregulowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

REBUS 7



Kup sobie dziennikarza

Pisowskie rządy dewastują resztki honoru mediów publicznych – od lat uległych wszelkiemu zwierzchnictwu. Resztki cnoty spakowano wraz z kartonami ostatnich wywalonych pracowników. Oni, choć na bruku, radzą sobie znakomicie, powoli urządzając kolejną rewolucję mediów.

Szczęki rekina. Dziennikarze na abonament, utrzymywani z deklarowanych przez odbiorców miesięcznych lub jednorazowych wpłat, to coraz bardziej potężna ławica na oceanie medialnego życia. Małe rybki w grupie radzą sobie imponująco, ale po akwieniu pływają też wielkie, głodne kolejnego sukcesu, rekiny biznesu. Jednym z nich jest Apple – gigant technologiczny z Kalifornii w zeszłym roku przypuścił ofensywę na płacie usługi abonamentowej. Na celowniku gry mobilne, serwis z filmami i serialami, ale także płatna platforma z periodykami.

Z „Apple News” na początku tego roku korzystało około 100 milionów osób, a usługa dostępna jest jedynie w USA, Wielkiej Brytanii, Kanadzie i Australii. Ilu ludzi z tej znacznej liczebnej grupy skusiło się na płatną wersję, nie wiadomo, ale w niespełna rok po uruchomieniu przybyło 15 milionów nowych klientów. Jak to działa? Za niecałe 10 baksów miesięcznie czytelnik dostaje dostęp do kilkudziesięciu tygodników, miesięczników i innych periodyków w wersji cyfrowej. Pośród nich takie tytuły jak „New York Magazine”, „Time”, „Vogue”, „People”, „National Geographic” – starzy wydawcy rynku prasowego szukający nowych form sprzedaży. Są także nowe, całkowicie cyfrowe magazyny. Zalet takiego rozwiązania jest sporo, stare media uzupełniają sprzedaż papierową, uniezależniają się częściowo od reklamodawców, a takie finansowanie to pewny i stały przychód. Wady? Zależność od największej korporacji technologicznej świata, potencjalna cenzura ze strony firmy, która w kwestii ekologii czy praw pracowniczych wciąż wysłuchuje od dziennikarzy zasadnie stawianych pytań. No i marża. Marne 10 dolców Apple dzieli na wydawnictwa, zabierając sobie z tego jeszcze prowizję. Reszta trafia do fir-



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

my, a ile z tego faktycznie do dziennikarza, który nad zawartością serwisu się napoił? Nie wiadomo.

Problem stanowi także możliwość kreowania. Aplikacja podpowiada wybrane artykuły i periodyki, tworząc przy tym narzędzie potężnego rażenia na niedyscyplinowanych wydawców. Kto i na podstawie jakiego klucza decyduje, czy tekst pojawi się w eksponowanym miejscu, a może nawet na stronie głównej, nie zależy ani od redaktora, ani od wydawcy, lecz od agregatora treści, czyli samego Apple. Podobne serwisy gromadzące treści, głównie bezpłatne, prowadzą właściwie wszyscy dostawcy oprogramowania na telefony komórkowe, tablety, telewizory i komputery. Te urządzenia to najpopularniejsze nośniki informacji dla współczesnego człowieka. Co odbiorca czyta, kiedy i dlaczego, zależy dziś zazwyczaj od dostawcy oprogramowania, który może faworyzować pewne treści, pomijając, czasem celowo, inne. Zupełnie bezkarnie – jak przystało na rekina. Ale wróćmy do naszej ławicy rybek mniejszych.

Borowanie „Trójki”. Najświeższym przykładem jest zebranie się do kupy dziennikarzy byłej radiowej „Trójki” – anteny specyficznej, ale ambitynej i wartościowej, a takich utrzymanych z podatków ostatnimi czasy naprawdę mało. Po głośnym odejściu Wojciecha Manna, wyrzuceniu Anny Gacek i wcześniejszym rozstaniu z właściwie wszystkimi głosami definiującymi tę rozgłośnię, wiatr w żagle nabrała grupa „Ratujmy Trójkę”. Początkowo garstka oburzonych zwolenników słuchaczy, zrzeszająca się na Facebooku, dziś prawie 90-tysięczna grupa i spółka o identycznej nazwie z udziałami Magdaleny Jethon, Jana Chojnackiego, Piotra Jedlińskiego i Wojciecha Manna. Stare głosy zabierają się za robienie nowego radia, bo słuchacze się zrzucili, wpłacając w 4 dni ponad 400 tys. zł.

Podobną drogą poszedł Tomasz Sekielski po odejściu z TVP. Historia filmu „Tylko nie mów nikomu” jest dziś traktowana jak jedno z większych zwycięstw niezależnego dziennikarstwa, a przecież w wyniku finansowego suk-

cesu powstał też kolejny film, którego premiera została przesunięta ze względu na pandemię. Powstaje także kolejny – o SKOK-ach. Codzienną pracę dziennikarską z bezpośrednich wpłat patronów realizuje też Rafał Gębura – były dziennikarz „Newsweeka”, obecnie autor jednego z najpopularniejszych talk-show w Polsce „7 metrów pod ziemią”, Eliza Michalik, Jakub Wąty i wielu innych, często także zupełnie niszowych publicystów.

Gwiazdki w umowie. Wszystkie wymienione nazwiska i twory medialne łączy jedna firma – Patronite. To portal, który umożliwia zbiórki w formie cyklicznej lub jednorazowej wpłaty na konkretny cel. Podobne twory funkcjonują na całym świecie jako zjawisko *crowdfundingu* (zbitkę angielskich słów „crowd” – tłum, i „funding” – finansowanie). Najpopularniejszy na świecie Kickstarter gromadzi najczęściej innowatorów technologicznych. Największa w historii zbiórka przyniosła ponad 20 mln dolarów i dotyczyła smart-zegarka na kilka lat przed popularyzacją tego typu urządzeń. Internetowe zbiórki są dziś coraz popularniejszą formą wspierania artystów, satyryków, twórców filmowych i wielu innych, często startujących od zera, odważniaków z przeróżnych dziedzin życia. Nieprawdę głosi jednak ten, kto prawi o całkowitej ich niezależności. Podobnie jak w przypadku „Apple News” i innych platform pośredniczących w dostarczaniu treści, tak

na platformach crowdfundingowych również istnieć może cicha cenzura, pomijanie twórców, ukrywanie ich profili pod setkami innych, rzekomo popularniejszych.

A i samo to, czy na platformie się znajdziemy, też nie zależy wyłącznie od woli samego twórcy.

Sekielski zebrał kasę na swoje filmy, bo znaleźli się chętni, ale też dlatego, że Patronite, z którym współpracuje, zgodził się umieścić jego zbiórkę na już wtedy popularizującej się platformie. Mann i pozostałe osobowości z „Trójki” znajdują finansowanie na swoje radio, bo znaleźli się wspierający tych dziennikarzy odbiorcy, ale także dlatego, że platforma zaakceptowała ich plan. Ilu planów nie zaakceptowano? Nie wiemy. Jakże pomysły i którzy twórcy zostali odrzuceni? Tym nikt się nie chwali, a nietrudno zauważyć, że w perspektywie popularizującej się formy zbiórek stanowi to może jedno z ważniejszych źródeł burzenia niezależności dziennikarskiej i determinowania autocenzury, skoro nawet konkurujący ze sobą dziennikarze i media finansowani będą ze zbiorów prowadzonych na jednej platformie.

Czy forma abonamentowa, zarówno ta prowadzona przez konkretny technologiczny, jak i przez portale zbiórkowe, wyprze konkretny medialny i tradycyjny wydawnictwa? Oczywiście nie. Może je wspomagać, agregować treści, łączyć fundusze na niszowe projekty, ale tak długo, jak istnieje zapotrzebowanie na publicystykę i prężne maszyny wielkich stacji informacyjnych, tak długo potrzebny będzie wielki kapitał – prywatny bądź publiczny. Potrzebne też będą elity, kształcące się i edukujące kolejne pokolenia w kuźniach talentów, jakimi są regularne redakcje. Sekielski nie nakręciłby swojego filmu, gdyby nie lata doświadczeń z tradycyjnych mediów. Nie tylko ze względu na brak warsztatu. Po prostu nikt by go nie znał. Byli dziennikarze „Trójki” tworzą nowe radio nie dlatego, że znają się z sąsiedztwa i wpadli na taki pomysł. Mają za sobą dekady pracy i warsztat nabyty od poprzedników, a także rozpoznawalność, jaką niosą za sobą lata pracy na ogólnopolskiej antenie. Takie dziennikarstwo – kolektywne i elitarne – nigdy nie może się skończyć, bo to nowe nigdy bez niego nie przetrwa.

ADAM LISZEWSKI

REBUS 8



Z CZARNEJ DUPY się wyrwało

■ Zdziwia mnie pewność, z jaką niektórzy biskupi i księża twierdzą, że **epidemia** nie jest **karą Bożą**. Nawet pobieżna znajomość Pisma Świętego pozwala zauważyć, że Pan Bóg wielokrotnie posługiwał się wobec ludzi znakami, zsyłając kłęski, plagi, dopuszczając zarazy.

Jan Pospieszalski, „Gazeta Polska”, 15 kwietnia

■ Osoby sugerujące możliwość jakiegokolwiek powiązania **koronawirusa z karą Bożą** spotyka lawina hejtu. (...) Bo jak to – zapytają?! Ludzie cierpią, a tu straszyć ich jeszcze niebieskimi karami? Tak nie wolno! (...) W karze nie chodzi o zniszczenie człowieka, lecz o uratowanie go przed nim samym. Skazony grzechem pierwotnym człowiek biegnie bowiem niekiedy w niepohamowanym tempie ku przepaści. (...) Ktoś mógłby zaopono-

wać, twierdząc, że Bóg owszem, może ingerować w życie ludzi, ale nie musi tego czynić poprzez kary. Owszem, jednak nie zawsze pomagają łagodne napomnienia. Gdy **ludzkość pijana grzechem** pędzi ku śmierci, niekiedy konieczny okazuje się wstrząs. Doczesne cierpienie może okazać się jedynym środkiem uniknięcia wiecznego – albo większego cierpienia doczesnego.

Marcin Jendrzczak, PCh24.pl, 17 kwietnia

■ **Zamknięte kościoły**, nieograniczone mordowanie **nienarodzonych**. Ten często przytaczany dziś obraz jest brutalnie szczerym podsumowaniem stanu duchowego cywilizacji zachodniej naszych dni. W reakcji na zagrożenie epidemiologiczne błyskawicznie pozbawiono katolików dostępu do sakramentów, ale żaden rząd nie pomyślał o ukróceniu krwawego procederu aborcyjnych „kliniek”. Także w Polsce te same środowiska, które gardłowały przeciwko otwartym kościołom jako rzekomym rozsądnym chorobą dziś domagają się w iście piekielnym stylu zgody na zabijanie niewinnych.

Paweł Chmielewski, PCh24.pl, 17 kwietnia

■ Słowo „pandemia” kryje w sobie echo słów, które wydawało się, że zniknęły już

z naszego języka. Słów wydawało się, że archaicznych: „zaraza”, „mór”, „pomór”. Dziś to słowo wraca z nową siłą. Towarzyszy mu drugie słowo – „**kryzys**”. „Kryzys” to pojęcie, które będzie padało w najbliższych tygodniach i może nawet miesiącach. (...) Dla mnie pierwszą warstwą kryzysu jest **warstwa kulturowo-religijna**, bo przecież żyliśmy w ostatnich dekadach, latach i miesiącach tak jakby Bóg nie istniał. Zadułani we własne siły, we własny postępek, we własną rozumność, moc. A teraz oto szukamy rozpaczliwie wsparcia u Boga.

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, Radio Maryja, 18 kwietnia

■ Marzy mi się choć jeden kapłan, który pojedzie na stołeczne Aleje Ujazdowskie i stanie pod Urzędem Rady Ministrów z transparentem „Pozwólcie wiernym przychodzić do Mnie!”. Może też być bardziej osobiste: „Pozwólcie nam zapraszać do kościoła więcej wiernych”, albo „Nie lękajcie się! Mamy miejsce i środki, by było bezpiecznie! Damy radę” lub też: „Nasze **świątynie nie są gorsze, niż sklepy!**”.

Radek Molenda, „Idziemy”, 15 kwietnia

■ Mamy w naszym państwie do czynienia

nia z **reglamentowaną wolnością praktyk religijnych**. Jak długo rząd zamierza ciągnąć tę restrykcyjną politykę – tego od polityków dowiedzieć się nie sposób. Premier wraz z ministrem zdrowia przedstawili plan odchodzenia od obostrzeń gospodarczych, ale ani słowem nie zająknęli się o tym, czy w kolejnych etapach będzie zwiększana dopuszczalna liczba wiernych w kościele! To zdumiewające, biorąc pod uwagę, że politycy PiS wielokrotnie powołują się na „wartości chrześcijańskie”.

Krzysztof Kratiuk, PCh24.pl, 19 kwietnia

■ Każdego roku **mordowanych** jest ponad 40 mln **nienarodzonych dzieci**. Takimi wynikami nie mogli „pochwalić się” ani narodowi socjaliści, ani bolszewicy razem wzięci. Mogą to jednak uczynić zwolennicy liberalizacji prawa aborcyjnego. Zabijają znacznie wydajniej niż wszystkie wirusy, obozy śmierci i gulagi.

prof. Paweł Skrzydlewski, Radio Maryja, 19 kwietnia

■ Niestety **bakcyl walki z życiem nienarodzonych** tak się przyjął, że większe szkody przynosi narodowi i więcej ogarnął nienarodzonych Polaków aniżeli ostatnia grypa, o której powiedziano, że

zachorowało na nią milion Polaków. Więcej Polaków choruje na bakcyl walki z życiem nienarodzonych, i to śmiertelnie.

prof. Grzegorz Kucharczyk, Radio Maryja, 19 kwietnia

■ Przez ostatnie lata widzieliśmy akcje petycyjne, widzieliśmy apele, widzieliśmy listy Konferencji Episkopatu Polski, poszczególnych biskupów. To wszystko musi trwać. Musi powstać jednoznaczne wyrażenie, ale też poparte konkretnymi wyborami politycznymi społeczeństwa, że bez zaprowadzenia **ochrony życia Prawo i Sprawiedliwość**, Zjednoczona Prawica nie może liczyć na kontynuację swoich rządów. To jest jeden z najważniejszych elementów, jeżeli chodzi o zaprowadzenie ładu prawnego do obrony cywilizacji życia w Polsce. Jeżeli ktoś robi uniki i robi te uniki już przez drugą kadencję, nie jest w stanie zdobyć się na zrobienie chociażby gestu w postaci usunięcia z prawa aborcji eugenicznej – to przestaje być wiarygodnym obrońcą podstawowych wartości.

Jerzy Kwaśniewski, prezes Ordo Iuris, Radio Maryja, 17 kwietnia

Wybrał
WALDEMAR KUCHANNY
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

Gdy durnie
byli burakami.
Albo odwrotnie.

Dupa Laty

Wiem, jak się robi propagandę. Pracowałem w „Trybunie Ludu”, i to w czasach gierkowskich. Miałem taki epizod w zawodowej karierze, zatem naprawdę z bliska widziałem, jak wmawia się ludziom, że białe jest białe, a czarne czarne.

Ktoś powie: pracował w dziale sportowym, co może wiedzieć o propagandzie politycznej. Otóż może. Sport tylko z pozoru nie miał politycznego oblicza. Mieliśmy do dyspozycji

ostatnią stronę

gazety, a w weekendy także przedostatnią. Dużo miejsca... I nigdy nam nie zabrano ani szpalty, nawet wówczas, gdy w numerze drukowano wielostronicowe przemówienie polskiego albo radzieckiego przywódcy. Tego skracać nie było wolno. Zabierano miejsce na łamach innym: kulturze, historii, ekonomii i co się tam jeszcze drukowało. Strony sportowe były – jeśli można tak powiedzieć o organie Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – święte.

Wcale nie z antysocjalistycznych przekonań nie czciliśmy 1 Maja, kolejnych rocznic Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej ani 22 Lipca, co było obowiązkowe na innych sportowych łamach. Byliśmy politycznie neutralnym państwem w państwie; nawet w drukarni mieliśmy oddzielny od całej redakcji boks. A jednak to właśnie była propaganda...

„Trybunę Ludu” drukowano w dużym nakładzie, już nawet dokładnie nie pamiętam jakim, tym bardziej że zmieniał się w zależności od dnia tygodnia, ale jednego jestem pewien: właściciele i redaktorzy współczesnych dzienników mogą marzyć o drukowaniu i sprzedawaniu tylu egzemplarzy.

Coś musiało gazetę sprzedawać. Decyzja była oczywista: sport i program telewizyjny. Po to ludzie wykupywali z kiosków gazetę. A o tym, że nie ma sportowców niemieckich, są tylko sportowcy z NRD lub z RFN, nikt nam nie musiał przypominać. Każdy miał w sobie

wewnętrznego cenzora.

Patrząc na dzisiejsze media, zwłaszcza na to, co pokazuje się w TVP, widzę, że ten cenzor wciąż ma się dobrze. Ja się zestarzałem. On nie!

Poczytność „Trybuny Ludu” opierała się na sporcie i programie telewizyjnym. Oglądalność dzisiejszej TVP też ma dwie podpory: sport oraz disco polo.

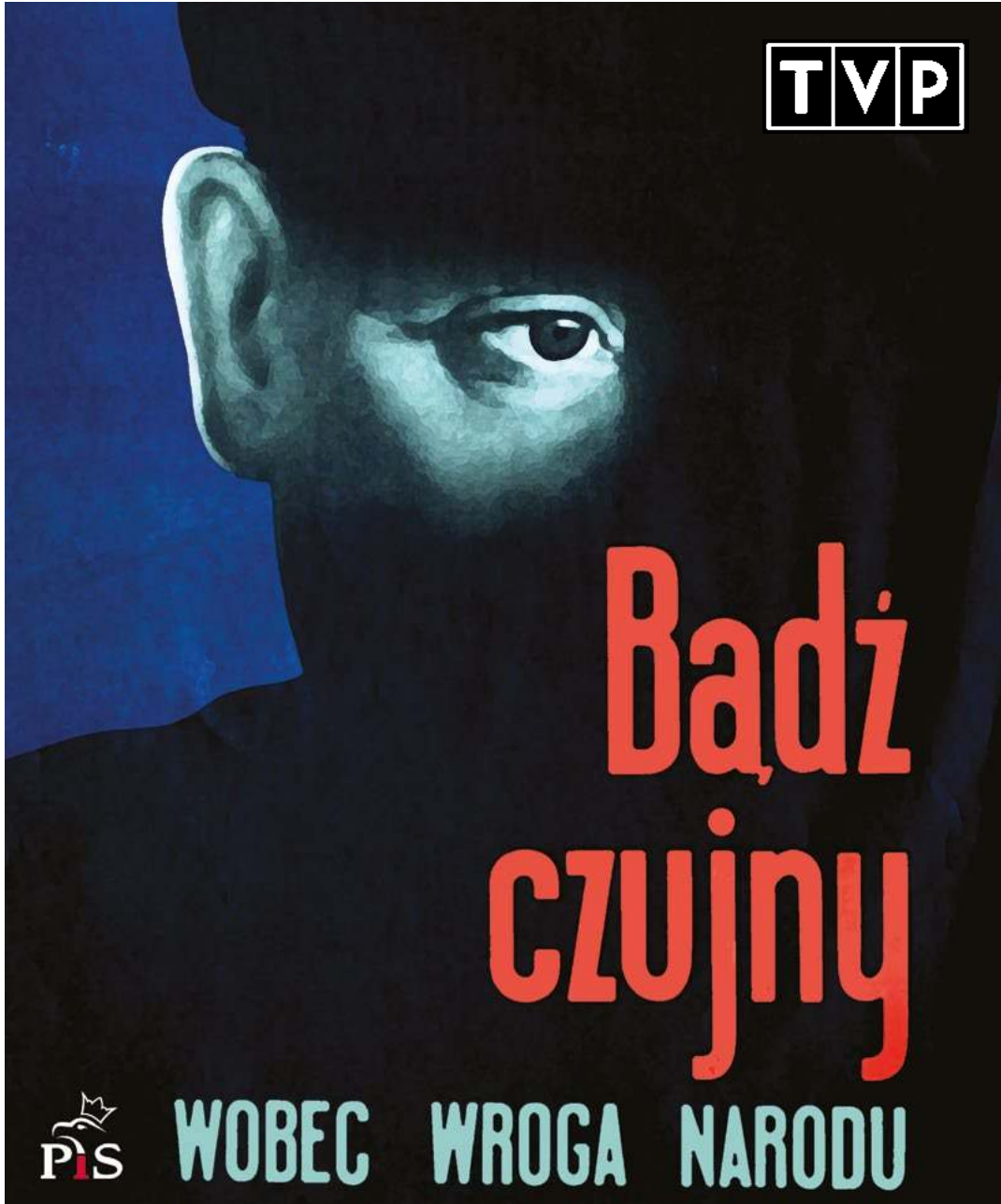
Żeby bardziej upodobnić „Trybunę Ludu” do normalnej gazety, co jakiś czas i w różnych jej miejscach wytłano neutralne, rzeczywiste apolityczne informacje. Dokładnie to samo robią teraz telewizyjne „Wiadomości”. W moich „trybunalskich” czasach za słusne uznawano np. oznajmienie ogółowi obywateli w osobnym artykule, że po wiosennych sztormach rybacy wypłynęli na łowiska po śledzie, dorsze i flądry albo że sadownicy przygotowują się do zbioru jabłek. Ale nawet tu czały się polityczne zagrożenia...

Swego czasu, i to na pierwszej stronie, tytuł krótkiej informacji głosił: „Trwa zbiór czerwonych duraków”. Naprawdę (znam kulisy incydentu) nie był to sabotaż ani krecia robota finansowanych z Zachodu garstek – pozał się, Boże – opozycjonistów. To był zwyczajny wypadek przy pracy. Gazety składało się z ołówianych czcionek, w lustrzanym odbiciu. Dopiero na odbitkach, a później w druku, nabierały normalnego wyglądu. Niestety polegało na tym, że „b” w lustrzanym odbiciu wygląda jak „d”; ktoś się pomylił, wstawił niewłaściwą czcionkę, korekta nie zauważyła i wybuchła afery.

„Trybuna Ludu” miała nie tylko najlepszy dział sportowy w codziennej prasie, miała także najlepsze korektorki. Po opisanych incydencie ubyła z ich grona jedna...

Dzisiaj z partyjno-rządowych mediów także co i rusz kogoś się wywala. Ciekawe dlaczego, przecież od dawna nigdzie nie używa się szkodliwego dla zdrowia ołowiu.

Z tytułami w ogóle bywał problem. Nad głównym (czołówkowym) na pierwszej stronie naradzał się zazwyczaj sztab kilku najtęższych



redakcyjnych głów. Debatowano, spierano się, przedstawiano słowa – tak żeby

efekt końcowy

uderzał z pierwszej strony niczym pięść. Swego czasu partia rzuciła hasło zwalczania bumelan-tów, chuliganów, cinkciarzy i wszelkiego rodzaju niebieskich ptaków, określanych krótko jako „**pasożyty społeczne**”. Redakcyjne konsylium tak długo i mozolnie debatowało nad czołowym tytułem, aż efekt uznało za więcej niż zadowalający. Uzgodniony po dyskusjach tytuł brzmiał: „Przeciw zwalczaniu pasożytnictwa społecznego”. Gazeta już się drukowała, zanim ktoś połapał się w tym idiotyzmie i sporo egzemplarzy trafiło na makulaturę.

Wiele koleżanek i kolegów z „Trybuny...” już wymarło, inni – jak ja – pędzą smętne życie emerytów. Okazuje się jednak, że gildia tytułarzy trzyma się dobrze. Odnoszę takie wrażenie zwłaszcza wówczas, gdy czytam paski ukazujące się na dole ekranu w programach informacyjnych TVP. Widzę tam jedno celne i mocne zdanie, uderzające w przeciwników niczym pięść: „**Europa budzi się z imigracyjnego letargu**”; „**Nie ma zgody na sędziów złodziei**”; „**Uzurpatorzy sukcesu zwołennikom zmian w sądach**”; „**Polski sukces budzi zazdrość w Europie**”; „**Zwolennicy totalnej opozycji nie chcą, by UE pomagała polskiemu rolnikom**”; „**Kolejki do lekarzy stają się przesłaością**”. Wreszcie coś neutralnego: „**Kupujemy i jedzmy polski miód**”. W jakiś przedziwny sposób czytanie tego sprawia mi przyjemność. Zawsze miło jest wspominać młodość i lata.

Krytyka w „Trybunie...” wcale nie była zabroniona. Przeciwnie – była pożądana. Stawiano tylko jeden warunek – ma to być

krytyka konstruktywna,

nie żadne krytykanctwo. Za Gierka nie ukrywano więc przed społeczeństwem pewnych nie-

dostatków, np. zniknięcia papieru toaletowego z półek sklepowych albo notorycznego braku sznurka do snopowiązałek w okresie żniw. Żeby krytyka mogła być krytyką konstruktywną, należało wskazać sposób rozwiązania problemu. Trudność polegała na tym, że w istniejącym systemie gospodarczym braku w zaopatrzeniu były problemem nierozwiązywalnym. Ale i z tym koleżanki oraz koledzy z partyjnego organu dziarsko sobie poradzili. Krytyczny artykuł kończył zdaniem: „**Trzeba zrobić wszystko, żeby było lepiej**”. Zdanie zrobiło w redakcji prawdziwą furorę, powtarzano je przy różnych okazjach, cholera wie, czy przypadkiem i ja go gdzieś nie wruciłem, krytykując słabe wyniki polskich sportowców.

Kiedyś naprawdę sam znalazłem się w centrum prawdziwej krytyki. Umówiłem się na dłuższy wywiad z Grzegorzem Latą w warszawskim hotelu „Grand”, w którym zatrzymała się kadra narodowa. Zapukałem grzecznie do pokoju i uchyliłem drzwi. Król strzelców leżał na łóżku, odwrócił się do mnie dupą i polecił krótko, żebym spierdalał. Coś mnie podkusiło i opisałem to w sumie nieistotne zdarzenie na łamach, oczywiście pomijając takie słowa jak „**dupa**” czy „**spierdalać**”, bo partyjni byli święci od Gowina. Może faktycznie poczułem się w tym momencie jak obrażony przedstawiciel klasy pracującej, w każdym razie napisałem, że reprezentant Polski potraktował w ten sposób nie mnie, bo osobiście mi to zwisa (znów, rzecz jasna, użyłem jakiegoś eleganckiego zwrotu), ale w mojej osobie obraził kibiców, którzy przecież ciężko pracują po to, żeby obywatel Lato mógł realizować swoją sportową pasję.

Za Gierka rozluźniono nieco rygory. Można było skrytykować jakiś tekst z „Trybuny...”, byle nie był to tekst pryncypialny. No i wszyscy rzucili się na mnie. O moim niedużym artykule napisano chyba wszędzie, począwszy od satyrycznego tygodnika „Szpilki”, przez pisma młodzieżowe i branżowe, na „Kulturze” i „Poli-

tyce” skończywszy. Jedni brali moją stronę, inni przeciwną. Doświadczyłem czegoś, co w epoce internetu nazywa się hejtem, może nawet byłem w tej dziedzinie pionierem. Niestety wzięło się z tego, że sportowych tekstów nikt, włącznie z przystawiającym na odbicie pieczęć cenzorem, przed drukiem nie czytał, a jeśli czytał, to po łebkach. Wszyscy mieli zaufanie do tkwiącego w każdym dziennikarzu wewnętrznego cenzora, a sport wydawał się tematem politycznie bezpiecznym. Gdyby

ktoś inteligentny

przeczytał wystukaną przeze mnie na maszynie kartkę, wyrzuciłby ją do kosza, bo przecież to wszystko nie miało sensu. Naprawdę ważniejszy był papier toaletowy i sznurek do snopowiązałki, niż odwracający się dupą do młodego dziennikarza napastnik Stali Mielec.

Grzegorza Latę mogłem skrytykować, ale były tematy, które żadnej, nawet najłagodniejszej krytyce nie podlegały. Niechby ktoś spróbował napisać coś złego o Związku Radzieckim, wyleciałby z pracy tak szybko, jak dziennikarz TVP, któremu zaświtałaby nieszczęsna myśl przyczepić się do episkopatu albo do prezesa Kaczyńskiego. Poza krytyką znajdował się też Komitet Centralny PZPR (ale za Gierka już nie jego organ prasowy), Wojsko Polskie, Milicja Obywatelska, a także – co było dla mnie dużym zaskoczeniem – Kościół katolicki, któremu przyłożyć wolno było tylko na wyraźne polecenie z KC PZPR, bo te dwie potężne instytucje toczyły ze sobą jakąś zawiłą grę, wykraczającą poza możliwości poznawcze szeregowych pismaków.

Za granicą zawsze jest

jakiś wróg.

Dzisiejsi propagandyści stawiają sprawę jasno: Polsce zagraża Federacja Rosyjska oraz Unia Europejska. Do USA mają szacunek zbliżony do tego, jakim dawniej otaczano towarzyszy radzieckich. „Trybuna Ludu” miała korespondentów zagranicznych w kilku krajach, właściwie nie wiadomo po co, bo takie same teksty mogli pisać w redakcji, a znajomość języka obcego nie była dla nich obowiązkowa.

Dziennikarze TVP też z góry wiedzą, co powiedzieć i pokazać, mogliby nie ruszać się z ul. Woronicza.

Wyjątkiem jest korespondentka TVP z Watykanu, która musi być na miejscu, bo jej mąż jest członkiem papieskiej Gwardii Szwajcarskiej.

Gdyby wymusnęło się jej coś nieprawomyślnego, nie tylko w Polsce wywalono by ją z roboty, ale jeszcze miałaby piekło w domu.

Za komunę wróg był jeden i generalnie nazywał się „**Zachód**”. Głównym zadaniem korespondentów „Trybuny Ludu” w krajach zachodnich było krytykowanie wszystkiego, co widzą wokół siebie, zwłaszcza konsumpcyjnego stylu życia, z którego mogli do woli korzystać. Przede wszystkim jednak mieli obowiązek podejmowania kolacji w restauracji dziennikarzy z centrali, którzy z jakiejś okazji pojawiali się w kraju ich rezydentury. Powiem uczciwie, że choć wysyłany bywałem na Zachód na różne zawody, dla kolegów korespondentów okazywałem się mało kłopotliwy. Zwykle wymawiałem się brakiem czasu, co było tylko połowicznie zgodne z prawdą; po prostu wolałem wolny czas spędzać z zagranicznymi kolegami z branży, zwłaszcza z Rosjanami i z Finami, bo wyżej sobie cenili – podobnie jak ja – mocne trunki od piwa (Czesi i Niemcy), nie mówiąc już o winie (Włosi, Francuzi).

Gdy z

fotela emeryta

oglądał telewizję i czytał niektóre gazety, odnoszę wrażenie, że moi następcy, czyli koledzy robiący dziś propagandę, nie tylko czerpią ze starych sprawdzonych wzorów, ale twórczo je rozwijają. Mam dla nich jednak niemiłą refleksję. My też bardzo się staraliśmy, a jednak na końcu wszystko się rozpieprzyło. Na szczęście.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
w.mittelstaedt@op.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – redaktor naczelny,
Przemysław Œwikliński, Waldemar Kuchanny
(zastępcy red. nac.),
Mateusz Cieślak, Małgorzata Daniszewska, Bożena Dunat,
Tadeusz Jasinski, Michał Marszał, Marta Micińska,
Maciej Mikolajczyk, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wolf-Laniewska,
Krzysztof Olejnik, Włodek Kierus (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL NIE@redakcja.nie.com.pl

Współpraca: „Daniszewska i córka s.c.”

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 0-801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. (koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informacje o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl

Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc.,
3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont.,
L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Prenumerata elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl
1 numer – 3 PLN, 5 wydań – 15 PLN, 13 wydań – 39 PLN, 26 wydań – 78 PLN, 52 wydania – 156 PLN

Numer zamknięto: str. 1–32 – 22.04.2020 r.



– A znacie to? Przychodzi Kidawa-Błońska do koronawirusa, koronawirus pyta, co pani jest, a ona że bojkot. Dobrze, nie? – zapytał prezydent Andrzej Duda, a potem się roześmiał.

Minister Łukasz Szumowski też pewnie by się uśmiechnął, ale wołał się upewnić, czy mu wolno, dlatego spojrzął na premiera Mateusza Morawieckiego, który z tych samych powodów popatrzył na prezesa Jarosława Kaczyńskiego.

Kaczyński siedział ponury jak trup.

– Nie – odpowiedział Szumowski.

– Co nie? – spytał Duda.

– Niedobry dowcip – poparł Szumowskiego Morawiecki.

– Znam jeszcze jeden. Przychodzi Kosiniak na Powązki, a koronawirus na to: do mnie się nie przychodzi, tylko przyjeżdża... Też niedobry?

– Nie – odpowiedział milczący dotychczas wicepremier Jacek Sasin.

Duda nie dawał za wygraną.

– To ostatni – powiedział. – Przychodzi Biedroń na pocztę, a tam Hołownia w rękawiczkach i masce...

– Dosyć! – nadszpedzanie głośno przerwał mu prezes. – Zamknij się, bo skończysz jak Gowin.

Duda nie zapytał, jak skończył Gowin, chociaż ciekawość go zżerała jak infekcja zwykła zżerać płuca.

– A jak skończył Gowin? – Duda wyręczył Szumowski.

– Na śmietniku historii – odpowiedział Sasin.

– Aha... – zachnął się Szumowski i obiecał sobie w myśli, że już nie zada żadnego pytania. Rozmowa zmierzała w niebezpiecznym kierunku.

– Przejdźmy do meritum – zmienił temat premier. – Będziemy gotowi na dziesiątego.

– Na siedemnastego – poprawił go Sasin.

– Ile? – zapytał Kaczyński.

– Dwadzieścia, ale poprawimy na czterdzieści – odparł wicepremier. – I dziewięćdziesiąt.

– Co czterdzieści? Co dziewięćdziesiąt? – zapytał całkiem skołowany Duda.

– Czterdzieści to frekwencja, a dziewięćdziesiąt to procent głosów oddanych na ciebie – wyjaśnił premier.

– Dziewięćdziesiąt? Całkiem nieźle... – pokiwał głową prezydent.

– Albo? – Kaczyński spojrzął na Sasina.

– Albo za rok.

– Nie o takie albo mi chodzi – warknął prezes. – Za rok to będzie wojsko na ulicy.

– No to siedemnastego – zgodził się Sasin.

– Poprawcie z czterdziestu na pięćdziesiąt pięć – polecił Kaczyński.

Duda nie wiedział, jak zareagować, dlatego na wszelki wypadek zrobił minę głupszą niż zwykle.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



by blagier Urban

Świętego Eliasza

Minister Zbigniew Ziobro twierdzi, że jesienią gospodarka stanie na nogi. Gdyby zaś na jesień przełożyć wybory, to epidemia nabierze wtedy na sile. Sprzeczność ta wskazuje, że minister sprawiedliwości jest elastycznym myślowo politykiem. W wywiadzie dla „Do Rzeczy” Ziobro przekonuje też, że opozycja pragnie, żeby społeczeństwo wyzdychało i ona działa w tym kierunku.

Świętej Teodory

Także u Lisickiego Wojciech Wyganowski zapowiada, że wojsko i policja będą zabezpieczać wybory. Policja podlega rządowi, wojsko też, a również Dudzie, kandydatowi PiS na prezydenta. Wybory więc będą wolne. Od niespodzianek. Tamże Rafał Ziemkiewicz pisze, że część opozycji „przekroczyła granice zdrady narodowej”, co pachnie aresztowaniami.

Świętej Matyldy

PiS chce karać za nauczanie o seksie, z którego powstaje życie, za to urodzone dzieci będą się uczyć zabijania, ćwicząc tę sztukę na polowaniach. I twierdzi, że to liberałowie głoszą cywilizację śmierci.

Świętego Izebusza

Wróćmy do tygodnika Lisickiego. Drukuje on rozmowę z jednym z niepolityczalnej ilości zastępców Ziobry Marcinem Romanowskim. Nad nią widnieje nagłówek: „Promocja”. Oznacza to, że ministerstwo rozmówcy płaci za drukowanie myśli swojego wiceszefa. Funduje też ono, więc formułuje pytania do resortu. Romanowski wzywa do sadzania za znieważenie narodu lub Rzeczpospolitej, a wiadomo, że naród tworzą narodowcy, a RP równa się ekipie PiS. Zamierza też ścigać za antypolskie zniezwagi dokonywane przez cudzoziemców za granicą, chyba więc każe ich porywać. Chce też poprzez procesy cywilne ścigać od kalających wielomilionowe

odszkodowania. Rząd groźniejszy jest od wirusa.

Świętej Konstancji

Obchodzono 500-lecie śmierci Rubensa i zarazem 10-lecie śmierci pasażerów tupolewa oraz przybycie na Okęcie towarzysza tupolewa, antonowa pełnego masечek, po które na lotnisko przybył premier i rząd. Maskowanie się będzie mu w przyszłości potrzebne.

Świętej Eleonory

Przeciw światowym i europejskim obiektom dziedzictwa kulturalnego (np. Wieliczka) Gliński ustanowił nasze polskie dziedzictwo. Na listę wpisano wycinanki kurpiowskie, krzyżaki, czyli budowle z pięciu tysięcy skorupki jajecznych, i babski comber, czyli, jak rozumiem, damskie dupsko.

Świętego Polikarpa

Amerykańska gazeta „The Wall Street Journal” pochwaliła m.in. Polskę za walkę z koronawirusem, a red. Sakiewicz wywiódł z tego wniosek. Wniosek ten brzmi: Polska jest krajem demokratycznym. Wiatrak do piernika ma więcej, bo piecze się go z maki, bywa jeszcze, że mielonej siłą wiatru.

Świętej Anastazji

Dostałem e-mail: „Jurek, w telewizjach komentatorzy pieprzą w kółko to samo. Może ty powiedziałbyś coś nowego?”. Po pierwsze Jurek to jest Owsiak. Do mnie zwracać się należy: „Panie Urban”. Po drugie powiem coś nowego. Gdy kryzys gospodarczy, więc i bezrobocie, wejdą w ostrzejszą fazę, nastąpi fala rabunków. Towarzyszące im zabójstwa jako przyczyna zgonów konkurować będą ze śmiertelnymi skutkami koronawirusa.

Świętego Makarego

W moim wieku (87) większe jest prawdopodobieństwo, że zdechnę ze starości

niż zejście za sprawą wirusa w koronie. Mimo to żyję w ścisłej izolacji. Zamknąłem się nie tyle ze strachu przed śmiercią, ile przed męką duszenia się.

Świętego Antonia

Przyszłość ludzkości jest w rękach badaczy szukających szczepionki. Ciekawe, ile oni zarabiają w USA.

Świętego Oswalda

Daniszewska leży na szelzongu przed telewizorem, a z nią wyleguje się Azor. Gdy ona zamyka telewizor, cisza budzi pudła. Gdy premier Morawiecki odpowiadał na pytania mediów, pies nawet pochrapywał.

Świętego Albina

Za naszym ażurowym płotem Konstantin wydawał się martwy. Teraz z rzadka pojawiają się samochody, rowerzyści i przechodnie. Przestałem więc mieć uczucie, że leżę na cmentarzu.

Świętego Tycjana

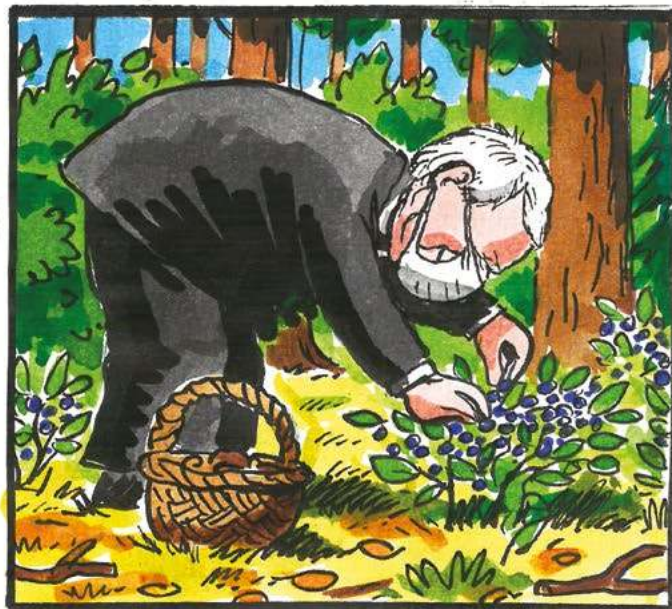
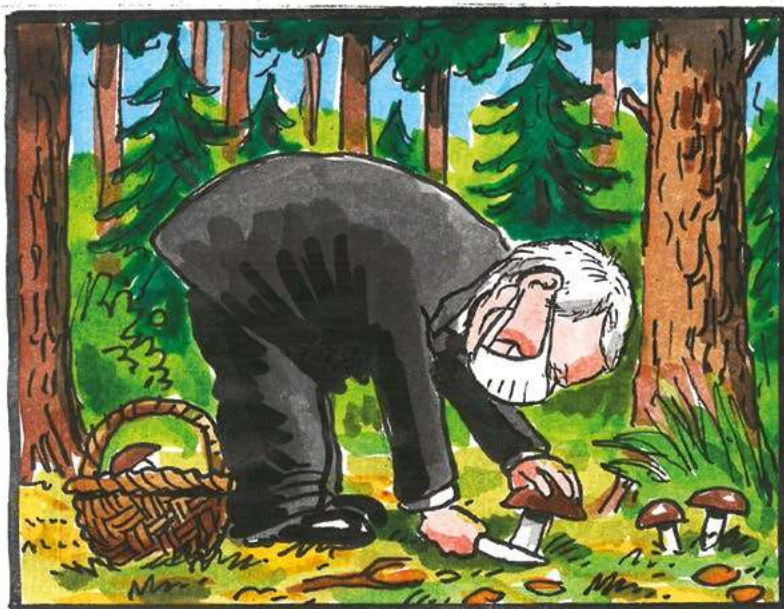
Bywalczy pobliskiego sklepu z piwem, ale także z prawdziwym alkoholem, wszczęli kłótnię przed wejściem i podjęli szarpaninę. Donoszę, że nie zachowywali dwumetrowego odstępu. O jakich to rewelacjach ja, kurwa, piszę! O tym mianowicie, jak bardzo skurczył się, skundlał świat, który oglądam bez kamer, gołym okiem.

Świętej Kunegundy

Ustawowe dopuszczenie dzieci do polowań to za mało. Nakazałbym także wycieczki szkolne do rzeźni. Przy tym popieram polowania z małoletnimi. Po pierwszych zastrzelonych chłopczykach większość sejmowa i kasta myśliwych będą mieli się z pyszna. Małe dzieci wzrostem, pyskiem i miną przypominają dziki, łatwo więc będzie się pomylić. Cel! Pa!

sekr@redakcja.nie.com.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 95



RYS. RYSZARD DĄBROWSKI